

EDYCJA W 50. ROCZNICĘ ŚMIERCI PISARZA

**Kłopoty  
to moja  
specjalność**



C&T

**Raymond Chandler**



## Kłopoty to moja specjalność

1

Anna Halsey była w średnim wieku, miała nalaną twarz, jakieś 120 kilogramów wagi i czarną, kosztowną suknię. Jej czarne oczy błyszczały jak guziki od kamaszy — policzki, miękkie jak sadło, miały mniej więcej tę samą co ono barwę. Siedziała za czarnym biurkiem podobnym do grobowca Napoleona, paląc papierosa w czarnej cygarniczce, niewiele krótszej od zwiniętego parasola.

— Potrzebuję człowieka — oświadczyła. Patrzyłem, jak strzepuje popiół na błyszczący blat biurka; szare cząstki przesuwwały się i kłębiły w przeciągu od otwartego okna.

— Potrzebuję człowieka wystarczająco przystojnego, żeby poderwać dziewczynę o wyrafinowanym guście, a równocześnie na tyle twardego, żeby nie dał mu rady buldożer. Potrzebny mi facet umiejący zagrać wygadanego bywalca barów, jak Fred Allen, tylko lepszy, a przy tym taki, który dostawszy w łeb skrzynką od piwa pomyśli, że to tylko klaps jakiejś pięknej rączki.

— To drobiazg — powiedziałem. — Musisz tylko zaangażować drużynę baseballową New York Yankees, Roberta Donata i zespół Yacht Club Boys.

— Chyba nadałbyś się, gdyby cię trochę odpućować — powiedziała Anna. — Dwadzieścia dziennie plus wydatki. Od lat nie zlecałam nikomu żadnego zajęcia, ale to wykracza już poza moje możliwości. Zajmuję się delikatnymi aspektami pracy detektywa i zarabiam na życie bez nadstawiania głowy. Zobaczmy, czy spodobaś się Gladys.

Przełożyła cygarniczkę do drugiej ręki i nacisnęła jakiś guzik dużej, czarnej, zdobnej niklem centrali telefonicznej.

— Kochanie, przyjdź wysypać moją popielniczkę — powiedziała. Nastąpiła chwila oczekiwania.

Drzwi otwały się i weszła wysoka blondynka, ubrana lepiej od księżnej Windsoru. Z gracją przesunęła się przez pokój, wysypała popielniczkę Anny, poklepała ją po tłustym policzku i wyszła, rzucając mi po drodze przelotne spojrzenie.

— Chyba się zarumieniła — orzekła Anna, gdy drzwi się zamknęły. — Wydaje mi się, że ciągle jeszcze masz coś w sobie.

— Zarumieniła się — akurat! Tak jak ja jestem umówiony na kolację z Gary Cooperem — powiedziałem. — Przestań zawracać głowę i powiedz, o co chodzi.

— Chodzi o wymanewrowanie pewnej dziewczyny. Rudej, bardzo pociągającej panienki. Pracuje jako przynęta u właściciela domu gry, a poza tym omotała synka jednego bogacza.

— Co mam z nią zrobić?

— Wydaje mi się, że to dość nieprzyjemna sprawa, Filipie — westchnęła Anna. — Jeżeli była już gdziekolwiek notowana, masz odgrzebać tę sprawę i oznajmić, że o wszystkim wiesz. Jeżeli nie — co jest bardziej z prawdopodobne, bo pochodzi z dobrej rodziny, musisz sam to jakoś rozegrać. Od czasu do czasu przychodzi ci chyba do głowy jakiś pomysł, co?

— Nie pamiętam już, kiedy mi się to ostatnio zdarzyło. Kto jest właścicielem domu gry, a kto bogaczem?

— Marty Estel.

Podniosłem się już z fotela, kiedy przypomniałem sobie, że od miesiąca interesy idą kiepsko i że potrzebuję pieniędzy.

Usiadłem z powrotem.

— Oczywiście, możesz narazić się na pewne kłopoty — powiedziała Anna. — Nigdy nie słyszałam, żeby Marty sprzątnął kogoś w biały dzień na środku ulicy, ale wiadomo, że w interesach nie ma zwyczaju żartować.

— Kłopoty to moja specjalność — powiedziałem. — Dwadzieścia pięć dziennie i dwieście pięćdziesiąt, jeżeli załatwię sprawę.

— Ja też muszę coś z tego mieć — stęknęła Anna.

— W porządku. Miasto roi się od ludzi gotowych pracować za grosze. Miło mi było zobaczyć cię w tak dobrej formie. Do zobaczenia, Anno.

Tym razem wstałem. Moje życie nie jest wiele warte, ale cena, jaką wyznaczyłem, nie była wygórowana. Marty Estel miał opinię faceta dość bezwzględnego, posiadającego dobrych pomocników i popieranego przez właściwych ludzi. Jego lokal znajdował się na Cyplu, w zachodniej części

Hollywood. Wiadomo było, że nie zrobi żadnego prymitywnego numeru, ale gdy już przystąpi do akcji — sprawa będzie wyglądać poważnie.

— Siadaj, zgadzam się — warknęła Anna. — Biedna, stara, złamana kobieta usiłuje prowadzić ekskluzywną agencję detektywistyczną mając do dyspozycji tylko własny tłuszcz i zrujnowane zdrowie. A więc zabierz mi ten ostatni grosz i śmieję się ze mnie.

— Co to za dziewczyna? — spytałem, wróciwszy na fotel.

— Nazywa się Harriet Huntress. Trzeba przyznać, że to nazwisko bardzo do niej pasuje. Mieszka w El Milano, na North Sycamore numer 1900. Bardzo wytwornie. Ojciec zbankrutował w trzydziestym pierwszym i wyskoczył przez okno swojego biura. Matka nie żyje. Młodsza siostra jest w prywatnej szkole, gdzieś w Connecticut. Może to ci się na coś przyda.

— Kto to wszystko wygrzebał?

— Mój klient ma fotokopie weksli, które Marty dostał od tego szczeniaka. W sumie pięćdziesiąt patyków. Szczeniak, który jest adoptowanym synem starego, twierdzi jak dziecko, że weksle nie są autentyczne. Klient oddał więc fotokopię do ekspertyzy facetowi nazwiskiem Arbogast, który ponoć zna się na takich sprawach. Początkowo zgodził się i trochę się podowiadawał, ale podobnie jak ja jest za gruby, żeby za tym chodzić, więc wycofał się z całej sprawy.

— Będę mógł z nim pogadać?

— Nie widzę przeszkód. — Potakująco poruszyła swymi licznymi podbródkami.

— Czy ten twój klient ma jakieś nazwisko?

— Synu, czeka cię wielka przygoda. Możesz go spotkać osobiście, i to zaraz.

— Poproś pana Jeetera, kochanie — powiedziała, naciskając ponownie przycisk telefonu.

— Ta Gladys... — powiedziałem. — Czy ona ma jakiegoś stałego adoratora?

— Odczep się od Gladys! — niemal krzyknęła Anna. — Zarabiam dzięki niej osiemnaście tysięcy rocznie na sprawach rozwodowych. Każdy, kto ją tknie palcem, panie Marlowe, jest już niemal pogrzebany.

— Kiedyś musi ulec — powiedziałem. — Dlaczego nie miałbym akurat znaleźć się wtedy pod ręką?

W tym momencie otwarły się drzwi, więc trzeba było przerwać rozmowę.

Nie widziałem go poprzednio w sekretariacie, musiał więc czekać w prywatnym gabinecie. Nie był tym zachwycony. Wszedł szybkim krokiem, pospiesznie zamknął za sobą drzwi, nerwowo wyszarpnął z kieszeni kamizelki cienki, ośmioboczny platynowy zegarek i zaczął się w niego wpatrywać.

Wysoki, siwawy blondyn, ubrany w modnie skrojony flanelowy garnitur w prążki z małym, bladoczerwonym pączkiem róży w butonierce. Miał ostrą, pozbawioną wyrazu twarz, nieznacznie podpuchnięte oczy, trochę jakby za grube wargi. W ręku trzymał hebanową laseczkę ze srebrną gałką, na nogach miał kamasze. Wyglądał na eleganckiego sześćdziesięciolatka, ale uznałem, że musi mieć chyba jakieś dziesięć lat więcej. Wydał mi się niesympatyczny.

— Dwadzieścia sześć minut — powiedział lodowatym tonem. — Tak się składa, że mój czas jest cenny. Ceniąc go zarobiłem bardzo dużo pieniędzy.

— No cóż, usiłujemy zaoszczędzić nieco pańskich pieniędzy — wycodziła Anna. Ona też nie czuła do niego sympatii. — Przykro mi, że pan czekał, ale chciał pan zobaczyć wybranego przeze mnie człowieka, więc musiałam po niego posłać.

— Nie wydaje mi się odpowiedni — stwierdził Jeeter, obrzucając mnie nieprzychylnym spojrzeniem. — Uważam, że powinien to być ktoś bardziej przypominający dżentelmena...

— Pan nie jest chyba tym Jeeterem z „Drogi tytoniowej”? — spytałem.

Zbliżył się do mnie powoli, unosząc nieco swą laskę. Jego lodowate oczy wbiły się we mnie jak szpony.

— Pan mnie obraża — powiedział. — Mnie, człowieka o takiej pozycji.

— Chwileczkę, panowie... — zaczęła Anna.

— Żadne: chwileczkę — przerwałem. — Ten osobnik stwierdził, że nie jestem dżentelmenem. Może to normalne dla kogoś o jego pozycji, jakakolwiek ona jest, ale człowiek tak mało ważny jak ja nie przyjmuje od nikogo aroganckich uwag. Nie może sobie na to pozwolić. Chyba, oczywiście, że było to niezamierzone.

Jeeter zeszywniał i spojrzał na mnie z uwagą. Znowu wyjął zegarek i zerknął na jego tarczę.

— Dwadzieścia osiem minut — stwierdził. — Przepraszam pana, młody człowieku. Nie chciałem być nieuprzejmy.

— To doskonale — powiedziałem. — Ja też od początku wiedziałem, że pan nie jest tym Jeeterem z „Drogi tytoniowej”.

Moja uwaga o mały włos nie skłoniła go do nowego wybuchu, zdecydował się jednak ją zignorować. Nie bardzo wiedział, o co mi właściwie chodzi.

— Skoro już poznaliśmy się, chciałem zadać panu kilka pytań — powiedziałem. — Czy jest pan gotów dać tej pannie Huntress jakąś niewielką sumę — tytułem odszkodowania?

— Ani centa — warknął. — Niby z jakiego powodu?

— To zwyczaj powszechnie przyjęty — odpowiedziałem. — Przypuśćmy, że wyszłaby za niego. Czy on jest zamożny?

— Na razie dostaje tysiąc dolarów miesięcznie z tego, co zapisała mu moja zmarła żona, jego matka. — Pochylił nieco głowę. — Kiedy skończy dwadzieścia osiem lat... Będzie miał o wiele za dużo pieniędzy.

— Trudno się dziwić, że dziewczyna robi, co może — powiedziałem. — Zwłaszcza w obecnych czasach. A jak z Marty Estelem? Czy z nim jest pan skłonny dojść do jakiegoś porozumienia?

Jeeter ścisnął swe szare rękawiczki w dłoni, na której widać było wyraźnie fioletowe żyłki.

— Dług jest nie do wyegzekwowania. To zysk z hazardu.

Anna wydała z siebie znużone westchnienie; cząsteczki popiołu przesunęły się po blacie jej biurka.

— Jasne — powiedziałem. — Ale ludzie żyjący z hazardu nie mogą sobie pozwolić na to, żeby ich nabierano. Bądź co bądź, gdyby pański syn wygrał, Marty musiałby mu zapłacić.

— To mnie nie interesuje — chłodno stwierdził Jeeter.

— No tak, ale niech pan pomyśli, jak czuje się Marty, siedząc w domu z wekslami na pięćdziesiąt tysięcy, które nie są warte ani centa. Chyba nie daje mu to spokojnie spać.

Jeeter zamyślił się na chwilę.

— Chce pan powiedzieć, że istnieje groźba wymuszenia? — spytał niemal łagodnie.

— Trudno powiedzieć. Prowadzi ekskluzywny lokal, ma wśród klientów sporo znanych ludzi z filmu. Musi dbać o swoją reputację. Ale działając w tej branży zna różnych ludzi. Mogą się wydarzyć rozmaite rzeczy, i to z dala od miejsca, w którym Marty będzie akurat przebywał. W dodatku nie jest on niedołągą. Umie chodzić za swoimi sprawami.

Jeeter znowu spojrzął na zegarek i to, co na nim zobaczył, wyraźnie go rozdrażniło. Gwałtownym ruchem schował go ponownie do kieszeni kamizelki.

— To już pańskie zmartwienie — stwierdził sucho. — Prokurator okręgowy jest moim osobistym przyjacielem. Jeśli sprawa ta przekracza pańskie możliwości...

— No tak — powiedziałem. — Ale mimo to zniżył się pan do wizyty u nas. Nawet mając okręgowego prokuratora w kieszeni kamizelki... razem z tym zegarkiem.

Jeeter włożył kapelusz, naciągnął jedną rękawiczkę, stuknął laską w czubek swego buta, potem podszedł do drzwi i otworzył je.

— Wymagam rezultatów i płacę za nie — rzucił chłodno. — Płacę natychmiast. Niekiedy nawet płacę hojnie, choć nie mam opinii rozrzutnego. Myślę, że rozumiemy się nawzajem.

Niemal zmrużył jedno oko i wyszedł z pokoju. Automatyczne drzwi zamknęły się za nim bezgłośnie. Spojrzałem na Annę i uśmiechnąłem się do niej.

— Czarujący, co? — spytała.

Wydusiłem z niej dwadzieścia dolarów — na wydatki służbowe.

## 2

Arbogast, o którego mi chodziło, nazywał się John D. Arbogast i miał biuro na Sunset, niedaleko Ivar. Zadzwoiłem do niego z budki telefonicznej. Głos w słuchawce należał do grubego mężczyzny: słychać w nim było ciche sapanie, jakby człowiek ten wygrał właśnie konkurs jedzenia ciastek.

— Pan John D. Arbogast?

— Tak.

— Mówi Filip Marlowe, prywatny detektyw. Zajmuję się sprawą, w związku z którą przeprowadzał pan pewne ekspertyzy. Klient nazywa się Jeeter.

— Tak?

— Czy mogę wpaść i porozmawiać z panem na ten i ornat, jak tylko coś zjem?

— Tak.

Odwiesił słuchawkę. Doszedłem do wniosku, że nie jest człowiekiem rozmownym.

Zjadłem lunch i pojechałem do jego biura. Znajdowało się na wschód od Ivar, w starym, dwupiętrowym, murowanym budynku, niedawno odnowionym. Na parterze mieściły się sklepy i restauracja. Zaraz za drzwiami wejściowymi zaczynały się proste, szerokie schody, prowadzące na drugie piętro. W spisie lokatorów przeczytałem: John D. Arbogast, pokój 212. Wszedłem na górę i znalazłem się na szerokim korytarzu, biegnącym równoległe do ulicy. W czwartych drzwiach po prawej stronie stał jakiś mężczyzna w kitlu. Miał na czole okrągłe lustro na elastycznym pasku, zsunięte nieco do tyłu. Na jego twarzy malowało się jakby zakłopotanie. Wszedł na powrót do swego gabinetu, zamykając za sobą drzwi.

Skierowałem się w przeciwną stronę i doszedłem mniej więcej do połowy korytarza. Na drzwiach położonych dalej od ulicy dostrzegłem napis: JOHN D. ARBOGAST. BADANIE AUTENTYCZNOŚCI DOKUMENTÓW. PRYWATNA AGENCJA WYWIADOWCZA. WEJŚCIE. Drzwi otwały się lekko, ukazując niewielką, pozbawioną okien poczekalnię, w której ujrzałem kilka foteli, trochę pism ilustrowanych i dwie niklowane popielniczki na wysokich nóżkach. Paliły się dwie lampy stojące i jedna pod sufitem. Na drugim końcu taniego, ale grubego i nowego dywanu znajdowały się drzwi, a na nich napis: JOHN D. ARBOGAST. BADANIE AUTENTYCZNOŚCI DOKUMENTÓW. GABINET PRYWATNY.

Gdy otwarłem drzwi, rozległ się brzęczyk, który zamilkł dopiero, kiedy drzwi się zamknęły. Potem zapadła cisza. Poczekalnia była pusta. Drzwi do gabinetu pozostały zamknięte. Podeszedłem i przybliżyłem do nich ucho — z pokoju nie dochodził żaden odgłos rozmowy. Zapukałem. To również nic mi nie dało. Spróbowałem przekreślić klamkę. Nie stawiała oporu, otworzyłem więc drzwi i wszedłem do gabinetu.

Dwa zwrócone ku północy okna były częściowo zasłonięte firankami i szczelnie zamknięte. Parapety pokrywała warstwa kurzu. Było tam również biurko, dwie szafki na papiery, zwyczajny dywan, zwyczajne ściany. Na oszklonych drzwiach po lewej stronie umieszczony był napis: JOHN D. ARBOGAST. LABORATORIUM.

Pomyślałem, że chyba zapamiętam to nazwisko.

Pokój, w którym stałem, był niewielki. Wydawał się niemal zbyt mały nawet dla spoczywającej nieruchomo na krawędzi biurka pulchnej dłoni, trzymającej grubego ołówek, podobny do ołówek używanych przez stolarzy. Przegub dłoni był zupełnie pozbawiony włosów. Zapięty mankiet niezbyt czystej koszuli wystawał z rękawa marynarki. Reszta rękawa znajdowała się poza biurkiem i była niewidoczna. Biurko było niezbyt duże — mężczyzna więc nie mógł być bardzo wysoki. Z miejsca, gdzie stałem, widziałem tylko jego dłoni i końce rękawów. Spokojnie przeszedłem na powrót przez poczekalnię, zamknąłem drzwi zewnętrzne, tak by nie można było ich otworzyć od strony korytarza, zgasłem wszystkie trzy lampy i wróciłem do gabinetu. Okrążywszy biurko znalazłem się po jego drugiej stronie.

Istotnie był gruby, niezwykle gruby, o wiele grubszy niż Anna Halsey. Widziałem tylko część jego twarzy, chyba tak dużej jak piłka do koszykówki. Nawet w tej chwili miała ona przyjemny, różowy kolor. Jej właściciel klęczał na podłodze. Głowę opierał o ostrą wewnętrzną krawędź wycięcia w biurku. Lewa



dłoń spoczywała płasko na podłodze, przyciskając do niej skrawek żółtego papieru. Palce były na tyle rozstawione, na ile można rozstawić tak grube palce; między nimi widoczny był żółty świstek. Wydawało się, że mężczyzna z całej siły przyciska dłoń do podłogi, ale było to złudzenie. Utrzymawał go w tej pozycji jego własny tłuszcz. Złożone jak scyzoryk ciało upierało się na niezwykle szerokich biodrach; zwały tłuszczu utrzymywały go w tym położeniu. Żeby go przewrócić, trzeba by ze dwóch dobrych zawodników z drużyny futbolowej. W danym momencie wizja ta nie była bardzo przyjemna — ale mimo to przyszła mi do głowy. Przerwałem oględziny i wytarłem pot z karku, choć dzień nie był szczególnie ciepły.

Miał siwe, krótko przycięte włosy i szyję pofałdowaną jak akordeon. Na niewielkich stopach, tak często potykanych u grubych mężczyzn, miał lśniące czarne buty, wciśnięte jednym bokiem w dywan i schludnie ułożone obok siebie. Wyglądało to bardzo nieprzyjemnie. Jego ciemnemu garniturovi przydałaby się pralnia chemiczna. Pochyliłem się i zagłębiłem palce w nie kończących się pokładach tłuszczu na jego szyi. Zapewne znajdowała się tam gdzieś tętnica, ale nie mogłem jej wyczuć, a zresztą jemu na nic nie była już potrzebna. Pomiedzy zwalistymi kolanami opartymi o dywan dostrzegłem ciemną plamę, która rozszerzała się coraz bardziej...

Przyklękawszy obok niego uniosłem obrzękłe palce, przytrzymujące żółtą kartkę. Były chłodne, ale nie zimne, miękkie i trochę lepkie. Kartka została wydartą z notesu. Dobrze byłoby, gdyby zawierała jakąś wiadomość, ale nie znalazłem jej. Były tam tylko jakieś niewyraźne, nic nie znaczące znaki — żadnych słów, nawet żadnych liter. Próbowałem coś napisać, kiedy do niego strzelono — może nawet wydawało mu się, że pisze — ale udało mu się jedynie nabazgrać coś jak kura pazurem.

Potem osunął się na ziemię, nadal trzymając kartkę, przygwoździł ją do podłogi tłustą dłonią, zacisnął gruby ołówek w drugiej ręce, wsparł się na swych ogromnych biodrach i w tej pozycji skonał. John D. Arbogast. Badanie autentyczności dokumentów. Gabinet prywatny. Cholernie prywatny. Trzykrotnie powiedział do mnie „tak” przez telefon.

I tak go znalazłem.

Wytarłem klamki chustką do nosa, pogasiłem światła w poczekalni, zatrzasnąłem pierwsze drzwi w taki sposób, żeby z zewnątrz nie można było ich otworzyć, wyniosłem się z korytarza, z budynku i z okolicy. Wydawało mi się, że nikt nie widział mojego wyjścia. Tak mi się wydawało.

Hotel El Milano, zgodnie z tym, co powiedziała Anna, mieścił się pod numerem 1900 na ulicy North Sycamore i zajmował niemal cały jej odcinek między dwoma przecznicami. Zaparkowałem samochód niedaleko ozdobnego podjazdu i przeszedłem wzdłuż budynku w kierunku bladoniebieskiego neonu palącego się nad bramą podziemnego garażu. Pochylnia z poręczami zaprowadziła mnie do jasno oświetlonego wnętrza, pełnego błyszczących aut i chłodnego powietrza. Schludny Murzyn o dość jasnej skórze, w nienagannie czystym kombinezonie z niebieskimi mankietami wyszedł na moje spotkanie z oszklonej dyżurki. Jego i czarne włosy były tak gładko zaczesane, jakby był dyrygentem orkiestry tanecznej.

— Ma pan chwilę czasu? — spytałem.

— Tak i nie, sir.

— Pod hotelem stoi mój samochód, który trzeba trochę przetrzeć. Gotów jestem zapłacić za to jakieś pięć dolarów.

Nie udało się. Trafiłem na niewłaściwego człowieka. Jego brązowe oczy wyrażały czujną obojętność.

— To dużo za przetarcie samochodu, sir. Czy pańska propozycja obejmuje coś więcej?

— Troszeczkę. Czy wóz panny Harriet Huntress jest na miejscu?

Obejrzał się. Wzrok jego przesunął się po błyszczącym szeregu aut w kierunku kanarkowo żółtego kabrioletu, który był równie nie rzucający się w oczy, jak klozet na trawniku przed domem.

— Tak, sir. Jest w garażu.

— Chciałbym dowiedzieć się, jaki jest numer jej apartamentu i jak mogę dostać się na górę bez przechodzenia przez hall. Jestem prywatnym detektywem.— Pokazałem mu swą odznakę. Obejrzał ją. Jej widok nie wprowadził go w lepszy humor.

— Pięć dolarów to spora suma dla człowieka pracującego na życie, sir — powiedział z ledwo dostrzegalnym uśmiechem. — Ale troszkę za mała, żebym dla niej ryzykował posadę. Różnica jest mniej więcej taka, jak odległość stąd do Chicago. Proponuję, żeby zaoszczędził pan te pięć dolarów i spróbował wejść tak jak wszyscy.

— Niezwykły z pana facet — powiedziałem. — Ciekaw jestem, co z pana wyrośnie.

— Jestem już dorosły, sir. Mam trzydzieści cztery lata, miłą żonę i dwoje dzieci. Do widzenia panu. — Odwrócił się na pięcie.

— No cóż, do widzenia — odpowiedziałem. — I proszę wybaczyć, jeśli poczuł pan ode mnie whisky. Właśnie przyjechałem z Butte.

Wróciłem pochylnią na górę i powlokłem się wzdłuż budynku w kierunku miejsca, od którego powinienem był zacząć swą wizytę. Mogłem się spodziewać, że pięć dolarów i odznaka na nic mi się nie przydadzą w takim hotelu jak El Milano.

Murzyn prawdopodobnie właśnie dzwonił do recepcji.

Hotel był to wielki, pokryty sztukateriami budynek w stylu mauretańskim. Przed jego frontem stały wielkie ozdobne latarnie i duże palmy daktylowe. Do wejścia, które znajdowało się w wewnętrznym boku litery L, wchodziło się po marmurowych schodach, pod sklepieniem wyłożonym kalifornijską mozaiką.

Portier otworzył mi drzwi i znalazłem się w środku. Hall hotelu okazał się niewiele mniejszy niż boisko sportowe. Pokryty był bladoniebieskim dywanem, pod którym położono warstwę gumowej gąbki. Był tak miękki, że miałem ochotę poturlać się po nim trochę. Dobrnąłem do recepcji, oparłem łokieć na ladzie i stałem się przedmiotem obserwacji bladego, chudego recepcjonisty z krótkim wąsikiem. Muskając go palcami spojrzał ponad moim ramieniem i utkwiał wzrok we wschodniej wazie, w której zmieściłby się tygrys.

— Czy panna Huntress jest u siebie?

— Jakie nazwisko mam jej podać?

— Marty Estel.

Ten podstęp nie okazał się wcale bardziej skuteczny niż tamten w garażu. Recepcjonista nacisnął jakiś przycisk znajdujący się pod jego lewą stopą. Niebiesko złocone drzwi ulokowane w głębi recepcji otworzył potężnie zbudowany jasny blondyn ze śladami popiołu na kamizelce. Z zamyślonym wyrazem twarzy oparł się o ladę i zaczął wpatrywać się w wazę, jak gdyby rozważał, czy nada się na spluwaczkę.

— Pan nazywa się Marty Estel? — recepcjonista podniósł nieco głos.

— Zostałem przez niego przysłany.

— To jednak pewna różnica, prawda? A jak brzmi pańskie nazwisko, sir, jeśli można zapytać?

— Zapytać można — odparłem. — Można nie otrzymać odpowiedzi. Takie otrzymałem polecenie. Przykro mi, że jestem uparty i tak dalej.

Moje maniery nie spodobały mu się. W gruncie rzeczy w ogóle nie był mną zachwycony.

— Obawiam się, że nie będę mógł pana zaanonsować — oznajmił chłodno.  
— Panie Hawkins, czy mogę zasięgnąć pańskiej rady w tej sprawie?

Blondyn przestał wpatrywać się w wazę i przysunął się wzdłuż lady aż do miejsca, z którego mógłby dosięgnąć mnie pałką policyjną.

— O co chodzi, panie Gregory? — ziewnął.

— Niech was diabli wezmą — powiedziałem. — I wasze damy także.

Hawkins wykrzywił twarz w uśmiechu.

— Chodź pan do mojego biura. Spróbujemy wyjaśnić, kim pan naprawdę jest.

Poszedłem za nim do klitki, z której przed chwilą wyszedł. Była wystarczająco obszerna, żeby pomieścić maleńkie biurko, dwa krzesła, wysoką na pół metra spluwaczkę i otwartą skrzynkę cygar. Hawkins przysiadł na biurku i uśmiechnął się do mnie życzliwie.

— Nie rozegrał pan tego bardzo delikatnie, co?. Jestem detektywem hotelowym. Mów pan, o co chodzi.

— Czasem lubię rozgrywać sprawy delikatnie — powiedziałem — a czasem mam ochotę zachowywać się jak walec drogowy. — Wyjąłem portfel i pokazałem mu odznakę oraz małą fotokopię mojej licencji detektywa, umieszczoną za celuloidową szybką.

— Człowiek z branży, co? — kiwnął głową. — Trzeba było od razu zwrócić się do mnie.

— Jasne. Tylko że w ogóle nie wiedziałem o pańskim istnieniu. Chcę się zobaczyć z tą dziewczyną, z Harriet Huntress. Ona mnie nie zna, ale mam do niej interes. Nie jest to interes hałaśliwy.

Przesunął się trochę w bok i wetknął cygaro w przeciwległy kąt ust. Popatrzył na moją prawą brew.

— O co chodzi? Po co próbował pan przekupić tego na dole? Dają panu jakieś pieniądze na koszty służbowe?

— Możliwe.

— Jestem równym facetem — oświadczył. — Ale muszę dbać o interesy gości.

— A pański zapas cygar już się niemal kończy — powiedziałem, patrząc na jakieś dziewięćdziesiąt sztuk, hodujących się w skrzynce. Wziąłem do ręki dwa, i powąchałem, owinąłem je w dziesięciodolarowy banknot i odłożyłem na powrót do skrzynki.

— To ładnie z pańskiej strony — ucieszył się. — Mailibyśmy się chyba dogadać. Jak pan chce to załatwić?

— Powiedz pan jej, że jestem od Marty Estela. Przyjmie mnie.

— Jeśli wyniknie z tego jakaś afera, stracę posadę.

— Nie straci pan. Mam za sobą wpływowych ludzi.

Sięgnąłem po swoją dziesiątkę, ale Hawkins odsunął moją rękę.

— Zaryzykuję — mruknął.

Podniósł słuchawkę telefonu, poprosił o połączenie z apartamentem 814 i zaczął nucić pod nosem jakąś melodię. Jego mruczenie przypominało odgłosy, jakie wydaje wymiotująca krowa. Nagle pochylił się ku przodowi, na jego twarzy rozlał się przymilny uśmiech.

— Panna Huntress? — zaczął mówić stłumionym glosom.— Tu Hawkins, detektyw hotelowy. Hawkins, tak. Oczywiście, pani zna mnóstwo ludzi. No więc, jest w moim biurze pewien człowiek, który chce się z panią zobaczyć i przekazać wiadomość od pana Marty Estela. Nie możemy go wpuścić na górę bez pani polecenia, ponieważ nie chce nam podać swojego nazwiska... Tak jest, Hawkins, detektyw hotelowy, proszę pani. Tak, mówi, że nie zna go pani osobiście, no moim zdaniem wygląda w porządku... Tak jest. Dziękuję pani bardzo. Zaraz skieruję go na górę.

Odłożył słuchawkę i lekko poklepał ją dłonią.

— Brakowało tylko odrobiny muzyki w tle — zauważyłem.

— Może pan jechać na górę — powiedział marzycielskim głosem. Bezmyślnie sięgnął do skrzynki i wyjął z niej złożony banknot. — Cudo! — dodał cicho. — Za każdym razem, gdy o niej pomyślę, muszę wyjść z hotelu i obejść cały blok. Chodźmy.

Znowu znaleźliśmy się w hallu. Hawkins podprowadził mnie do windy, wskazując gestem, że mogę wejść do środka.

Przez zamykające się drzwi kabiny ujrzałem, że zmierza w kierunku wyjścia, udając się zapewne na przechadzkę dokoła bloku.

Winda wyposażona była w dywan, lustro i wbudowaną lampę. Wznosiła się bezgłośnie jak rtęć w termometrze. Drzwi otwały się z cichym syknięciem. Krocząc po mchu, który służył jako dywan, doszedłem korytarzem do drzwi z numerem 814. Nacisnąłem umieszczony z boku niewielki przycisk; wewnątrz rozległ się melodyjny dźwięk dzwonka i drzwi otworzyły się.

Miała na sobie wizytową suknię z bladozielonej wełny i niewielki kapelusik, który unosił się z jednej strony jak motyl. Oczy błękitne jak lazuryt były szeroko rozstawione i nadawały jej twarzy inteligentny wyraz. Ciemnorude włosy przypominały barwą przygasający, ale ciągle jeszcze niebezpieczny płomień. Była zbyt wysoka, by uchodzić za ślicznotkę. Była mocno, ale nie przesadnie umalowana, a papieros wyciągnięty w moim kierunku zaopatrzone był w ustnik

o długości mnie więcej trzech cali. Nie wyglądała na osobę twardą, ale sprawiała wrażenie dziewczyny oblatanej i umiejącej wyciągać wnioski ze swych doświadczeń.

Obrzuciła mnie chłodnym spojrzeniem.

— Cóż to za wiadomość ma mi pan przekazać, chłopcze o brązowych oczach?

— Muszę wejść do środka — odparłem. — Nie umiem rozmawiać na stojąco.

Roześmiała się bez większego zainteresowania. Przeszedłem się obok czubka jej papierosa i znalazłem się w długim, dość wąskim pokoju, pełnym pięknych mebli, kotar i różnych innych rzeczy. W kominku palił się ogień; wielkie polano umieszczone było nad płomieniem małego palnika gazowego. Wschodni jedwabny dywan leżał przed elegancką różową kanapą koło wytwornego kominka; obok na niskim stolyczku stała butelka szkockiej whisky i woda sodowa oraz wiaderko z lodem. Było tam wszystko, czego potrzeba mężczyźnie, by czuł się jak w domu.

— Niech pan lepiej weźmie sobie drinka — powiedziała. — Zapewne nie umie pan rozmawiać bez szklanki w ręku.

Usiadłem i sięgnąłem po whisky. Dziewczyna zajęła głęboki fotel i założyła nogę na nogę. Pomyślałem o Hawkinsie, odbywającym spacer wokół bloku. Stwierdziłem, że jego opinia nie była całkowicie bezpodstawna.

— A więc przysłał pana Marty Estel — stwierdziła, dając mi gestem do zrozumienia, że nie będzie pić.

— Wcale go nie znam.

— Tak właśnie przypuszczałam. O co chodzi? Marty ucieszy się na wieść, że posługuje się pan jego nazwiskiem.

— Trzęsę się ze strachu. Dlaczego pozwoliła mnie pani wpuścić na górę?

— Z ciekawości. Spodziewałam się lada dzień wizyty kogoś takiego jak pan. Nigdy nie chowam głowy w piasek. Jest pan czymś w rodzaju detektywa, co?

Zapalając papierosa potwierdziłem ruchem głowy.

— Prywatnym. Chcę pani zaproponować pewną drobną transakcję.

— Proponuj pan — ziewnęła.

— Ile pani żąda za zostawienie w spokoju młodego Jeetera?

Ziewnęła jeszcze raz.

— I to ma być interesująca propozycja?

— Niech pani nie będzie taka groźna. Mówię uczciwie. Ile pani żąda? Czy też uważa pani moje pytanie za obraźliwe?

Uśmiechnęła się. Miała bardzo miły uśmiech.

— Jestem teraz nieźle ustawiona. Nie muszę żądać. Sami mi wszystko przynoszą, i to w ozdobnym opakowaniu ze wstążkami.

— Stary jest dość twardy. To gruba ryba.

— Ryby nie mają głosu.

Przytaknąłem ruchem głowy i wypilem łyk z mojej szklanki. Była to dobra whisky. W gruncie rzeczy była doskonała.

— On uważa, że należy panią wymanewrować. Zostawić na lodzie. Ja mam na ten temat odmienne zdanie.

— A jednak pracuje pan dla niego.

— Wydaje się to zabawne, no nie? Istnieje zapewne jakiś sprytny sposób rozegrania tej całej sprawy, ale w tym momencie nie przychodzi mi on po prostu do głowy. Czy pani jest skłonna przyjąć jakąś sumę i jaką?

— Co by pan powiedział o pięćdziesięciu kawałkach?

— Pięćdziesiąt dla pani i tyleż dla Marty Estela?

Roześmiała się.

— Powinien pan wiedzieć, że Marty nie życzyłby sobie, bym się wtrącała do jego spraw. Mówiłam tylko o własnych.

Założyła nogę na nogę w inny sposób. Wrzuciłem do swojej szklanki jeszcze jedną kostkę lodu.

— Miałem na myśli pięćset — powiedziałem.

— Pięćset czego? — Na jej twarzy pojawił się wyraz niepewności.

— Dolarów, nie Rolls Royce'ów.

Roześmiała się głośno.

— Śmiesz mi pan. Powinna pana wysłać do wszystkich diabłów, ale lubię mężczyzn o brązowych oczach.

— Traci pani tylko czas. Nie mam ani centa.

Uśmiechnęła się i wetknęła w usta następnego papierosa. Poderwałem się, by podać jej ogień. Uniosła wzrok i spojrzała mi w oczy. W jej źrenicach świeciły drobne isierki.

— Może ja już mam kilka centów — szepnęła.

— Chyba dlatego wynajął takiego grubego faceta, aby nie mogła go pani owinąć sobie wokół palca. — Wróciłem na swoje miejsce.

— Kto wynajął grubego faceta?

— Stary Jeeter zatrudnił grubasa nazwiskiem Arbogast. Zajmował się tą sprawą przede mną. Nie wiedziała pani o tym? Został sprzątnięty dziś po południu.

Powiedziałem to zupełnie obojętnym tonem licząc, że ją zaskoczę, ale nie drgnęła nawet. Nadal uśmiechała się prowokacyjnie kącikami ust. Nie zmienił się też wyraz jej oczu. Westchnęła niemal bezgłośnie.

— Czy ten fakt musi mieć jakiś związek z moją osobą? — spytała spokojnie.

— Nie wiem. Nie wiem, kto go zamordował. Zginął w swoim biurze, koło południa albo trochę później. Być może ta śmierć nie łączy się w ogóle ze sprawą Jeetera. Ale zdarzyła się w samą porę. Tuż po tym, jak zlecono mi tę sprawę, ale jeszcze zanim zdążyłem z nim porozmawiać.

— Rozumiem. — Kiwnęła głową. — A pan uważa, że to posunięcie w stylu Marty'ego. I oczywiście zawiadomił pan policję?

— Oczywiście nie zrobiłem tego.

— To nieco komplikuje pańską sytuację, przyjacielu.

— No tak. Ale zacznijmy mówić o cenie. I lepiej, żeby była ona niewysoka. Cokolwiek bowiem zrobią policjanci ze mną, z pewnością do Marty'ego i do pani zabiorą się ostro, usłyszawszy o tej historii... jeśli o niej usłyszą.

— A więc drobny szantaż — stwierdziła chłodno dziewczyna. — Myślę, że tak to można nazwać. Niech pan nie posuwa się w stosunku do mnie zbyt daleko, chłopcze o brązowych oczach. Nawiasem mówiąc, czy pan mi się przedstawił?

— Nazywam się Filip Marlowe.

— Harriet Huntress — moja rodzina figurowała niegdyś w Rejestrze Towarzystw. Pochodzę z bardzo dobrej rodziny. Stary Jeeter doprowadził mojego ojca do bankructwa. Zrobił to w sposób zgodny z literą prawa, jak zwykle postępują dranie w jego rodzaju — ale tak czy owak zrujnował go. Ojciec popełnił samobójstwo, matka umarła, a moja młodsza siostra jest w szkole na Wschodnim Wybrzeżu, i naprawdę choler nie mało mnie obchodzi, w jaki sposób zdobywam pieniądze na jej utrzymanie. A niebawem zajmę się być może starym Jeeterem, nawet jeśli w tym celu będę musiała wyjść za jego syna.

— Pasierba, adoptowanego syna — powiedziałem. — W ogóle nie są spokrewnieni.

— Ale zaboli go to równie mocno, przyjacielu. A chłopiec będzie miał za kilka lat mnóstwo podłużnych, zielonych papierków. Zrobię nie najgorszy interes, nawet jeśli pije trochę za dużo.

— Nie powiedziałaaby mu pani tego w oczy, wytworna damo.

— Nie? To obejrzyj się, tajniaku. Powinieneś umyć lepiej uszy.

Szybko wstałem i odwróciłem się. Stał o dwa kroki ode mnie. Wyszedł z jakichś drzwi i bezgłośnie zbliżył się po dywanie, a ja byłem zbyt zajęty



wymądrzaniem się, by go usłyszeć. Potężnie zbudowany blondyn w sportowym tweedowym garniturze i rozpiętej pod szyją koszuli, w której wycięciu widoczna była apaszka. Twarz była zaczerwieniona, a błyszczące nienaturalnie oczy miały mętnawy wyraz. Jak na tak wczesną porę dnia, był już nieźle pijany.

— Zjeżdżaj stąd, dopóki możesz chodzić o własnych nogach! — warknął na mnie. — Słyszałem wszystko. Harriet może o mnie mówić, co jej się podoba. Lubię to. Spływaj, zanim wduszę ci zęby do gardła!

Dziewczyna zaśmiała się za moimi plecami. Nie podobało mi się to. Zrobiłem krok w kierunku wysokiego blondyna. Przymrużył nieco oczy. Mimo swej potężnej budowy nie był trudnym do pokonania przeciwnikiem,

— Znokautuj go, kochanie — powiedziała chłodno dziewczyna. — Lubię patrzeć, jak pod takim twardym facetem uginają się kolana.

Odwrociłem się w jej stronę z drwiącym wyrazem twarzy. Zrobiłem głupstwo. Zapewne nie był zbyt groźny, ale w nieruchomy cel zdołał mimo wszystko trafić. Uderzył mnie w momencie, gdy oglądałem się przez ramię. Cios taki jest bardzo bolesny. Zdzielił mnie z całej siły z boku w szczękę.

Próbowałem rozstawić nogi, by odzyskać równowagę, i pośliznąłem się na jedwabistym dywanie. Poleciałem głową naprzód sam nie wiem, w którą stronę, i wyrznąłem w jakiś twardy przedmiot.

Przez krótki moment widziałem nad sobą niewyraźnie jego zaczerwienioną twarz, na której malował się wyraz pogardliwego triumfu. Chyba było mi go trochę żal — nawet w tym momencie.

Ciemność zamknęła się nade mną — straciłem przytomność.

#### 4

Gdy ją odzyskałem, poczułem, że światło płynące z okien naprzeciwno wdziera mi się prosto w oczy. W tyle głowy odczuwałem ból. Dotknąłem tego miejsca dłonią — było lepkie. Powoli odwróciłem się na drugi bok, jak kot poruszający się po nieznanym mu domu, uniosłem się na kolana i sięgnąłem po butelkę whisky stojącą na stoliku obok kanapy. Jakimś cudem poprzednio jej nie zrzuciłem. Padając, uderzyłem w rzeźbioną nogę fotela, przypominającą kształtem łapę jakiegoś zwierzęcia. To było o wiele bardziej bolesne niż cios młodego Jeetera. Czulem wyraźnie na szczęce obolały punkt, ale nie warto było się nad tym rozwodzić.

Dźwignąłem się na nogi, pociągnąłem łyk whisky i rozejrzałem się po pokoju. Nie dostrzegłem nic godnego uwagi. Pokój był pusty i cichy. Unosił się w nim

niewyraźny zapach dobrych perfum. Takich perfum, na które nie zwraca się uwagi aż do momentu, gdy ich zapach niemal zniknie—jak ostatni wiszący na drzewie liść. Raz jeszcze pomacałem głowę, przyłożyłem chustkę do lepkiego miejsca, doszedłem do wniosku, że nie warto się nim specjalnie zajmować, i wypilem następny łyk whisky.

Usiadłem z butelką na kolanach, wsłuchując się w odległy szum samochodów. Panna Harriet Huntress była miła. Miała paru nieodpowiednich znajomych, ale kto z nas ich nie ma? Nie miałem prawa krytykować jej za to. Wypiłem jeszcze trochę whisky. Poziom płynu w butelce znacznie się już obniżył. Whisky była łagodna i gładko przechodziła przez gardło, nie drażniąc przełyku jak niektóre inne alkohole, jakie zdarzyło mi się pić. Łyknąłem jeszcze odrobinę. Głowa przestała mnie już boleć. Czuję się znakomicie. Mógłbym odśpiewać arię z „Pajaców”. Tak, była miła. Jeśli sama płaci za swój apartament, to postępuje bardzo słusznie. Byłem po jej stronie. Była wspaniała. Poczęstowałem się znowu jej whisky.

W butelce było jeszcze sporo. Potrząsnąłem nią łagodnie, wsunąłem do kieszeni płaszcz, jakoś wetknąłem na głowę kapelusz i wyszedłem z pokoju. Dotarłem do windy nie wpadając na ściany korytarza, spłynąłem nią w dół i wkroczyłem do hallu.

Hawkins, detektyw hotelowy, znowu stał oparty o ladę i wpatrywał się w orientalną wazę. Ten sam recepcjonista skubał brązowy wąsik. Uśmiechnąłem się do niego. Odwzajemnił mój uśmiech. Hawkins uśmiechnął się do mnie. Odwzajemniłem jego uśmiech. Wszyscy byli bardzo mili.

Trafiłem w drzwi za pierwszym razem, dałem portierowi dwie dziesięciocentówki i zszedłem po schodach w kierunku chodnika prowadzącego ku ulicy, na której zostawiłem wóz. Zapadał nagły kalifornijski zmrok. Wieczór był piękny. Na zachodzie dostrzegłem Wenus; błyszczała jak uliczna latarnia, jak życie, jak oczy panny Huntress albo jak butelka whisky. Ta myśl przypominała mi o pewnej sprawie. Wyjąłem kanciastą butelkę, zaaplikowałem sobie skromny łyżeczek, zakręciłem korek i schowałem ją z powrotem. Zostało w niej jeszcze dość whisky, by z jej pomocą dotrzeć do domu.

W drodze powrotnej pięciokrotnie przejechałem skrzyżowanie na czerwonych światłach, ale widać dopisywało mi szczęście, bo nikt mnie nie zatrzymał. Zaparkowałem wóz mniej więcej naprzeciw domu, w którym mieszkałem, mniej więcej przy krawężniku. Wsadziłem klucz w zamek, przekręciłem go, wszedłem do środka i namacałem kontakt. Zażyłem jeszcze trochę mojego specyfiku,

zanim zdecydowałem się na kolejny wysiłek. Następnie ruszyłem w stronę kuchni, by wziąć trochę lodu i lemoniady i zrobić sobie prawdziwego drinka.

Miałem wrażenie, że w mieszkaniu unosi się jakiś dziwny zapach, którego początkowo nie potrafiłem określić — jakby woń jakiegoś lekarstwa. Nie przyniosłem do mieszkania nic, co by tak pachniało, nie czułem też tego zapachu wychodząc poprzednio z domu. Byłem jednak w zbyt dobrym nastroju, by się nad tym zastanawiać. Szedłem w stronę kuchni i byłem już mniej więcej w połowie drogi.

Dwaj mężczyźni z rewolwerami w rękach wyszli mi na spotkanie niemal równocześnie z drzwi garderoby, znajdujących się obok rozkładanego łóżka. Twarz wyższego wykrzywiona była uśmiechem. Miał nasunięty na czoło kapelusz i trójkątną twarz o podbródku ostrym jak szpic asa karo, oczy ciemne i wilgotne, nos zaś tak bezkrwisty i blady, jakby ulepiono go ze stearyny. Używał pistoletu Colt Woodsman z długą lufą i odpilowaną muszką. Oznaczało to, że uważa się za dobrego strzelca.

Towarzyszył mu niski, przypominający teriera szczeniak z gołą głową. Miał szpeciniaste rude włosy, wyblakłe, pozbawione wyrazu oczy, odstające uszy i na nogach przybrudzone białe mokasyny. Rewolwer w jego ręku wydawał się dla niego zbyt ciężki, miałem jednak wrażenie, że dobrze się czuje trzymając go w ten sposób. Oddychał hałaśliwie szeroko otwartymi ustami i za każdym razem docierała do mnie fala zapachu, który wyczułem poprzednio: mentol.

— Ręce do góry, draniu! — warknął.

Podniosłem ręce. Nie miałem wyboru. Mały zatoczył łuk i podszedł do mnie z boku.

— Spróbuj nam powiedzieć, że będziemy za to odpowiadać — mruknął drwiąco.

— Będziecie za to odpowiadać — powiedziałem.

Wysoki w dalszym ciągu uśmiechał się beztrósco, a jego nos nadal wydawał się ulepiony ze stearyny. Mały splunął na mój dywan.

— Dobra! — zbliżył się do mnie z szyderczym wyrazem twarzy i zamachnął się swym wielkim rewolwerem w kierunku mojej szczęki.

Zrobiłem unik. W zwykłych warunkach musiałbym takie postępowanie — zważywszy okoliczności — przyjąć bez protestów. Ale czułem się lepiej niż zwykle. Byłem w stanie pokonać cały świat. Stawić czoła bandom uzbrojonych napastników. Złapałem małego za gardło, mocnym szarpnięciem przyciągnąłem go do siebie i uderzyłem w jego dłoń, wytrącając z niej rewolwer, który spadł na

podłogę. Wszystko poszło gładko. Nieprzyjemny był tylko jego oddech. Na ustach pojawiły mu się pęcherzyki śliny. Wypluwał jakieś ciche przekleństwa.

Wysoki nadal stał bez ruchu, śmiejąc się drwiąco i nie robiąc użytku z broni. Miałem wrażenie, że w jego, oczach pojawił się jakby wyraz niepokoju, ale byłem zbyt zajęty, żeby się o tym upewnić. Nadal trzymając małego schyliłem się za tą osłoną i podniosłem rewolwer. Był to błąd. Należało sięgnąć po własny.

Odepchnąłem faceta od siebie; zatoczył się na krzesło, upadł i zaczął kopać je z wściekłości. Wysoki roześmiał się.

— Spluwa nie ma iglicy — powiedział.

— Posłuchaj — zaapelowałem do niego z przejęciem. — Wypiłem sporo dobrej whisky i gotów jestem jechać gdzie trzeba i załatwiać różne sprawy. Nie zabierajcie mi zbyt wiele czasu. O co wam chodzi, chłopcy?

— Raz jeszcze ci mówię, że nie ma w niej iglicy — powiedział Białonosy. — Spróbuj, a przekonasz się. Nigdy nie daję Frisky'emu nabitej spluwy. Jest zbyt impulsywny. Umiesz posługiwać się rękami, bracie. To ci muszę przyznać.

Frisky usiadł na podłodze, znowu splunął na dywan i zaśmiał się głośno. Skierowałem lufę wielkiego rewolweru w dół i nacisnąłem spust. Rozległ się suchy trzask, choć z wyważenia broni wnosiłem, że jest nabita.

— Nie zamierzamy zrobić ci nic złego — uspokoił mnie Białonosy. — Tym razem nie. Może następnym... Kto wie? A może zrozumiesz przestrożę. Chodzi o to, żebyś przestał interesować się sprawą małego Jeetera. Rozumiesz?

— Nie.

— Nie zamierzasz nas posłuchać?

— Ależ tak. Tylko, że nie rozumiem. Kto to jest mały Jeeter?

Moje pytanie nie rozbawiło go. Lekko pogroził mi swoim długim pistoletem.

— Powinieneś popracować nad swoją pamięcią, bracie, a także zrobić coś z tymi drzwiami. Same się otwierają. Wystarczyło, że Frisky na nie dmuchnął.

— To potrafię zrozumieć — powiedziałem.

— Oddaj moją spluwę! — zaskowytał Frisky. Wstał z podłogi, ale tym razem zaczął molestować nie mnie, lecz swego towarzysza.

— Odczep się, bałwanie — krzyknął wysoki. — Mamy tylko przekazać facetowi wiadomość. Nie zamierzamy go rozwalić. W każdym razie nie dziś.

— Mów za siebie! — warknął Frisky, usiłując wyszarpnąć mu z ręki pistolet. Białonosy bez trudu odepchnął go na bok, ale w czasie tego interludium zdążyłem przerzucić rewolwer do lewej ręki i wyciągnąć swego Lugera. Pokazałem go Białonosemu. Kiwnął głową, ale widok broni nie zrobił na nim, jak się zdawało, wielkiego wrażenia.

— Jest sierotą — powiedział ze smutkiem. — Pozwalam mu włóczyć się ze mną. Nie zwracaj na niego uwagi, chyba żeby cię ugryzł. Będziemy już szli. Wiesz, o co chodzi. Przestań się interesować młodym Jeeterem.

— Mam w ręku rewolwer — odparłem. — Kto to jest młody Jeeter? A może, zanim wyjdziecie, wezwiemy tu policję?

Białonosy uśmiechnął się ze znużeniem.

— Człowieku, noszę ze sobą ten małokalibrowy pistolet, bo umiem się nim posługiwać. Jeżeli myślisz, że jesteś lepszy ode mnie, spróbuj.

— Okey — powiedziałem. — Czy znasz niejakiego Arbogasta?

— Spotykam tylu ludzi... — Znowu uśmiechnął się ze znużeniem. — Może tak, może nie. Do zobaczenia koleś. Uważaj na siebie.

Podszedł do drzwi nieco bokiem, tak że przez cały czas znajdowałem się w zasięgu jego broni. Ja także trzymałem go na muszce i cała sprawa sprowadzała się do tego, kto pierwszy naciśnie spust i strzeli celniej i czy w ogóle warto strzelać, i czy mnie uda się w cokolwiek trafić po wypiciu tak dużej ilości whisky która przyjemnie rozgrzewała mi żołądek. Pozwoliłem mu odejść. Nie wyglądał mi na mordercę, ale mogłem się mylić.

Mały zaatakował mnie ponownie, w momencie kiedy nie zwracałem na niego uwagi. Wyszarpnął mi z lewej ręki swój duży rewolwer, podbiegł do drzwi, raz jeszcze splunął na dywan i wybiegł z pokoju. Białonosy osłaniał jego odwrót. Miał długą, pociągłą twarz, biały nos, wystający podbródek i wyraz znużenia na twarzy. Wiedziałem, że go zapamiętam.

Cicho zamknął za sobą drzwi i zostałem na środku pokoju jak głupi, z rewolwerem w ręku. Słyszałem, ja winda wjeżdża na górę, potem schodzi w dół i zatrzymuje się. Nadal stałem w tym samym miejscu. Nie wydawało się prawdopodobne, żeby Marty Estel chcąc kogoś nastraszyć wynajmował taką parę błaznów. Zastanawiałem się nad tym przez chwilę, ale nie doszedłem do żadnych wniosków. Przypomniałem sobie, że mam jeszcze pół butelki whisky i zacząłem się z nią naradzać.

Półtorej godziny później czułem się dobrze, ale nadal nie miałem żadnej koncepcji. Po prostu chciało mi się spać.

Obudził mnie natarczywy dzwonek telefonu. Zasnąłem siedząc w fotelu, co było poważnym błędem: ocknąłem się z uczuciem, że mam usta pełne włochatego koca, z piekielnym bólem głowy, z guzem na potylicy i drugim na szczęce. Nie były większe od rajskiego jabłka, ale mimo to dość bolesne. Czułem się fatalnie — jak amputowana noga.

Dowlokłem się do telefonu, opadłem na stojące obok krzesło i podniosłem słuchawkę. Zabrzmiał w niej głos podobny do grzechotania kostek lodu.

— Pan Marlowe? Mówi Jeeter. Poznaliśmy się dziś przed południem, prawda? Obawiam się, że byłem wobec pana trochę sztywny.

— Sam jestem trochę sztywny. Pański syn rąbnął mnie w szczękę. To znaczy pański pasierb czy raczej adoptowany syn, czy też kim on tam jest.

— Jest moim pasierbem, a zarazem adoptowanym synem. Doprawdy? — Miałem wrażenie, że to go dość interesowało. — A gdzie go pan spotkał?

— W apartamencie panny Huntress.

— Ach, rozumiem. — Nastąpiła nagła odwilż. Kostki lodu stopniały. — To bardzo interesujące. I cóż powiedziała panna Huntress?

— Była zadowolona. Była zadowolona, że rąbnął mnie w szczękę.

— Rozumiem. A dlaczego on to zrobił?

— Kazała mu się ukryć. Podśluchał fragment naszej rozmowy. To go tak rozgniewało.

— Rozumiem. Przyszło mi do głowy, że może trzeba będzie jednak wypłacić jej jakąś sumę, oczywiście niewielką, tytułem wynagrodzenia za to, że pójdzie nam na rękę. Naturalnie tylko w wypadku, gdy uda nam się ją do tego skłonić.

— Cena wynosi pięćdziesiąt kawałków.

— Obawiam się, że...

— Niech pan nie udaje — warknąłem. — Pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Pięćdziesiąt kawałków. Zaproponowałem jej pięćset... Po prostu tak na żarty.

— Odnoszę wrażenie, że traktuje pan całą tę sprawę w sposób raczej beztroski — odburknął. — Nie jestem do tego przyzwyczajony i wcale mnie to nie zachwyca.

Ziewnąłem. Diabelnie mało mnie obchodziło, czy zostanę zwolniony, czy też nie.

— Niech pan posłucha, panie Jeeter. Potrafię znakomicie tracić czas, ale równocześnie myślę stale o sprawach zawodowych. A ta sprawa ma wiele dość niezwykłych aspektów. Właśnie przed chwilą we własnym mieszkaniu zostałem napadnięty przez dwóch facetów z rewolwerami, którzy polecili mi, żebym przestał zajmować się sprawą Jeetera. Nie widzę powodu, dla którego cała gra miałaby przebiegać aż tak ostro.

— Boże Świąty! — W jego głosie czuło się strach. — Myślę, że najlepiej będzie, jeśli przyjdzie pan zaraz do mnie do domu, żebyśmy mogli to wszystko omówić. Wyślę po pana wóz. Czy może pan przyjechać natychmiast?

— Tak... Ale mogę przyjechać sam. Ja...

— Nie. Wysyłam samochód z szoferem. Ma na imię George. Może pan całkowicie mu ufać. Powinien być za jakieś dwadzieścia minut.

— W porządku — powiedziałem. — Zdażę więc tymczasem wypić mój obiad. Niech pan mu każe zaparkować za rogiem Kenmore, przodem do ulicy Franklina. — Odłożyłem słuchawkę.

Wziąwszy kolejno gorący i zimny prysznic i przebrawszy się, poczułem się człowiekiem bardziej zasługującym na szacunek. Wypiłem dwie porcje whisky, dla odmiany niezbyt duże, włożyłem lekki płaszcz i wyszedłem na ulicę.

Samochód był już na miejscu. Dostrzegłem go na bocznej ulicy, mniej więcej w połowie bloku. Wyglądał jak nowy dom towarowy w dniu otwarcia. Miał dwie przednie lampy, przypominające reflektor umieszczony na dziobie statku, dwa pomarańczowe światła przeciwmgielne zamontowane przy przednim zderzaku i parę lamp bocznych, tak dużych, jak zwykle reflektory i czołowe. Podszedłem bliżej i zatrzymałem się. Z mroku wyszedł jakiś mężczyzna, odrzucając za siebie energicznym ruchem niedopałek papierosa. Był wysoki i dobrze zbudowany; miał ciemne włosy, czapkę z daszkiem, kurtkę rosyjskiego kroju z pasem *a la* Sam Browne, błyszczące wysokie sztylpy i bryczesy, tak szerokie jak spodnie zawodowego majora armii angielskiej.

— Pan Marlowe? — Uniósł dłoń w rękawicze, dotykając wskazującym palcem daszka czapki.

— Zgadza się — odparłem. — Spocznij. Czyżby był to samochód starego Jeetera?

— Jeden z jego samochodów. — Mówił chłodnym głosem, w którym wyczułem utajoną arogancję.

Otworzył tylne drzwi. Wsiadłem, zapadając się w miękkie siedzenie. George wsunął się za kierownicę i uruchomił swój ogromny pojazd. Odbił od krawężnika i skręcił w następną ulicę, robiąc mniej więcej tyle hałasu, co wsuwany do portfela banknot. Jechaliśmy na zachód. Wydawało się, że' płyniemy z prądem, a jednak wyprzedzaliśmy wszystkie inne samochody. Przemknęliśmy przez centrum Hollywoodu, a potem przez jego zachodnią część, zjechaliśmy na Cypel i minawszy jego światła znaleźliśmy się w spokojnym chłodzie Beverly Hills, w miejscu, w którym bulwar przecina wąska droga.

Szybko przejechawszy Beverly Hills zaczęliśmy wspinać się biegnącą wśród pagórków szosą i kiedy w oddali widać już było oświetlone budynki uniwersytetu skręciliśmy gwałtownie na północ, wjeżdżając do Bel-Air. Sunęliśmy teraz długimi, wąskimi, pozbawionymi chodnika uliczkami, wśród

wysokich murów o wielkich bramach wjazdowych. Światła wielkich rezydencji lśniły dyskretnie w zmroku późnego wieczoru. Było zupełnie pusto. Jedynym dźwiękiem, jak słyszeliśmy, był odgłos sunących po betonowej nawierzchni opon. Jeszcze jeden skręt w lewo i dostrzegłem tabliczkę z napisem: Calvello Drive. W połowie ulicy George zjechał nieco na prawą stronę jezdni, aby skręcić w lewo w wysoką, potężną bramę z kutego żelaza. W tym momencie nastąpiło coś nieoczekiwanego.

Tuż za bramą rozbłysły nagle dwa światła; rozległo się wycie klaksonu i odgłos pracującego na dużych obrotach silnika. Jakiś samochód ruszył pędem wprost na nas. George jednym drgnięciem przegubu naprostował kierownicę, zahamował i zsunął prawą rękawiczkę, wykonując wszystkie te czynności równocześnie.

Samochód kołysząc światłami, nadal pędził prosto na nas.

— Cholerny pijak — zaklął przez ramię George.

Może miał rację. Wszędzie pełno pijaków w samochodach. Może miał rację. Osunąłem się na podłogę, wyciągnąłem spod pachy mojego Lugera i sięgnąłem w kierunku klamki... Otworzyłem nieco drzwi i wychyliłem się poza próg. Reflektory oślepiły mnie, więc szybko cofnąłem głowę i wysunąłem ją ponownie, gdy smuga światła przesunęła się trochę dalej.

Tamten samochód zatrzymał się gwałtownie. Drzwi otworzyły się hałaśliwie i wyskoczyła z nich z wrzaskiem jakaś postać wymachując rewolwerem.

— Ręce do góry, dranie! — wrzasnął na nas Frisky.

Poznałem go po głosie.

George położył lewą dłoń na kierownicy, ja zaś utworzyłem swe drzwi nieco szerzej. Na jezdni podskakiwał i wrzeszczał drobny człowieczek. Od strony małego, ciemnego samochodu, z którego wysiadł, nie dochodził żaden dźwięk, z wyjątkiem szumu silnika.

— Jesteśmy uzbrojeni! — darł się Frisky. — Wysiadać i ustawić się obok siebie, wy sukinsyny!

Kopnięciem otworzyłem drzwi i zacząłem wysiadać trzymając rewolwer przy boku w opuszczonej dłoni.

— Sam tego chciałeś! — ryknął mały.

Prędko rzuciłem się na podłogę. Trzymany przez niego pistolet wypluł z siebie ognisty płomyk. Ktoś widać zamontował w nim iglicę. Usłyszałem tuż za sobą dźwięk tłuczonego szkła. Zerknąłem w bok i choć w tym akurat momencie nie było to wskazane — i ujrzałem, że George robi ruch ręką tak płynny, jak



lekka zmarszczka przesuująca się po powierzchni wody. Uniosłem Lugera i już miałem nacisnąć spust, gdy tuż obok mnie zagrzemiał strzał. To George.

Nie nacisnąłem spustu. Już nie było potrzeba.

Ciemny samochód zerwał się gwałtownie i wściekle popędził drogą wiodącą w dół. Ryk jego silnika oddalał się szybko. Człowieczek nadal zataczał się groteskowo i na środku jezdni w odbijającym się od murów świetle.

Na twarzy Frisky'ego widoczna była rozszerzająca się ciemna plama. Wypuszczony z ręki rewolwer upadł na beton. Wreszcie ugięły się pod nim krótkie nogi; upadł na bok i potoczył się po jezdni, a potem nagle znieruchomiał.

— No tak — powiedział George i powąchał wylot lufy swego rewolweru.

— Niezły strzał. — Wysiadłem z samochodu i patrzyłem na zwłoki, które wyglądały jak zmięty kawał nie wiadomo czego. Przybrudzona biel jego mokasynów lśniła odrobinę w poświacie rzucanej przez reflektory samochodu.

— Dlaczego myślisz, że to mój strzał, bracie? — spytał George podchodząc nieco bliżej.

— Bo ja nie strzelałem. Przyglądałem się, jak wspaniale wyciągasz rewolwer z tej pochwy na biodrze. Byłeś szybszy od światła.

— Dziękuję, stary. Oczywiście chodziło im o pana Geralda. Zwykle przywożę go z klubu mniej więcej o tej porze, gdy już wypije swoją porcję i przegra w brydża, ile trzeba.

Podeszliśmy bliżej i pochyliliśmy się nad leżącym. Nie było się specjalnie czemu przyglądać. Po prostu martwy człowieczek, zboczony krwią, z dużą dziurą w głowie.

— Przygaś trochę te cholerne światła! — warknąłem. — I wynośmy się stąd szybko.

— Dom jest po drugiej stronie ulicy — głos George był tak spokojny, jakby przed chwilą strzelał do tarczy, a nie do człowieka.

— Jeeterowie nie mogą mieć z tym nic wspólnego, jeśli chcesz zachować swą posadę. Powinieneś sam na to wpaść. Wrócimy do mnie i zaczniemy wszystko od początku.

— Rozumiem — powiedział szybko i wskoczył na powrót do wielkiego samochodu. Zgasił światła przeciwmgielne oraz lampy boczne, ja zaś usiadłem obok niego na przednim siedzeniu.

Wróciliśmy na prawą stronę jezdni i ruszyliśmy ku szczytowi wzgórza. Obejrzałem się, by zobaczyć, co się stłukło. Była to mała tylna szybka ze zwykłego szkła. Brakowało sporego kawałka. Jeśli komuś przyszłoby do głowy

dopasować do siebie jej fragmenty, mogłyby stanowić pewnego rodzaju dowód. Nie sądziłem, by miało to jakieś znaczenie, ale mogłem się mylić.

Pod samym szczytem wzgórza minęła nas wielka limuzyna, jadąca w dół. Palila się w niej umieszczona pod sufitem lampka; we wnętrzu samochodu, niczym w oświetlonej szklanej gablocie, siedziała sztywno jak na paradzie para starszych ludzi. On miał na sobie strój wieczorowy, biały szalik i cylinder, ona ubrana była w futra i brylanty.

George minął ich spokojnie, przyspieszył i wykonawszy gwałtowny skręt w prawo wjechał w ciemną przecznicę.

Jadą na kolację, wystrojeni jak cholera — powiedział cedząc powoli słowa. — Założę się, że nawet nie zadzwonią na policję.

— Jasne. Wracajmy do domu i napijmy się whisky — odparłem. — Wciąż jeszcze nie lubię zabijania ludzi.

## 5

Siedzieliśmy u mnie, trzymając w ręku szklanki, w których znajdowało się nieco whisky należącej poprzednio do panny Huntress, i przyglądaliśmy się sobie przez ich dno. George wyglądał sympatycznie bez czapki. Miał ciemnobrązowe włosy, układające się w łagodne fale, i lśniące, śnieżnobiałe zęby. Sącył whisky paląc równocześnie papierosa. Jego bystre, czarne oczy połyskiwały chłodno.

— Studiowałeś w Yale? — spytałem.

— W Dartmouth, jeżeli już tak bardzo cię to interesuje.

— Wszystko mnie interesuje. Ile wart jest w dzisiejszych czasach dyplom wyższej uczelni?

— Trzy stówy i uniform służbowy — powiedział powolnym głosem.

— Co to za facet, ten młody Jeeter?

— Wysoki, dobrze zbudowany blondyn, gra nieźle w golf, uważa się za cholernego podrywacza, pije dużo, ale jak dotąd, nie rzyga jeszcze ludziom na dywany.

— A stary Jeeter?

— To taki, co może dałby ci dziesięć centów, gdyby akurat nie miał przy sobie pięciocentówki.

— No, no, mówisz tak o swoim chlebodawcy?

George wykrzywił twarz w uśmiechu.

— Jest tak skąpy, że najchętniej chodziłby boso, że nie zdzierać butów. Zawsze mówiłem, co myślę. Może dlatego właśnie jestem tylko szoferem. Dobra ta whisky,

Nalałem nam następną porcję, opróżniając w ten sposób butelkę. Wróciłem na swój fotel. — Myślisz, że ci dwaj rewolwerowcy czekali pana Geralda?

— A na kogo? Zwykle przywożę go do domu mniej więcej o tej porze. Dziś było inaczej. Miał okropnego kaca i wybrał się później. Jesteś detektywem, więc wiesz o całej sprawie, no nie?

— Kto ci powiedział, że jestem detektywem?

— Tylko detektyw może zadawać tak cholernie dużo pytań.

— Akurat. Zadałem ci wszystkiego sześć pytań, twój szef bardzo ci ufa. Pewnie ci powiedział.

Ciemnowłosa mężczyzna skinął głową z lekkim uśmiechem i wypił łyk whisky.

— Cała sprawa wydaje się dość jasna — powiedział. — Gdy samochód zaczął skręcać w kierunku podjazdu, ci faceci zabrali się do roboty. Jakoś nie wydaje mi się, żeby mieli zamiar kogoś zastrzelić, i chodziło im tylko o zastraszenie. Ale ten mały był niepoczytalny.

Przyglądałem się brwiom George'a. Były ładne, czarne, błyszczące jak końska grzywa.

— Trudno przypuścić, żeby Marty Estel wybierał dobie takich pomocników.

— Jasne. Może właśnie dlatego wybrał sobie takich.

— Jesteś bystry. Moglibyśmy się dogadać. Tylko, że zastrzelenie tego małego chłystka komplikuje nieco sprawę. Co zamierzasz w związku z tym zrobić?.

— Nic.

— Okey. Gdyby udało im się jakoś do ciebie dotrzeć, a potem ustalić, że kula pochodzi z twojego rewolweru, gdybyś, w co wątpię, miał jeszcze wtedy ten rewolwer — Zapewne uznają, że działałeś w obronie własnej. Pozostaje jeden problem.

— Jaki? — George dopił swą drugą szklanekę whisky, zapalił nowego papierosa i uśmiechnął się uprzejmie.

— Trudno jest rozpoznać samochód z przodu, i to w nocy. Mimo tych wszystkich świateł. Skąd wiedzieli, że nie są to goście do Jeetera?

Wzruszył ramionami i kiwnął głową.

— Jeśli chodziło o zastraszenie, efekt byłby ten sam. Gospodarze dowiedzieliby się o tym i stary mógłby zgadnąć, kto wysłał tych facetów i w jakiej sprawie.

— Do diabła, naprawdę jesteś bystry — powiedziałem z uznaniem. W tym momencie zadzwonił telefon.

Bardzo wyraźny i opanowany głos angielskiego lokaja poinformował mnie, że — o ile jestem panem Filipem Marlowe — chciałby ze mną rozmawiać pan Jeeter. Zaraz potem usłyszałem jego chłodny, nieprzychylny głos.

— Trzeba przyznać, że nie spieszy się pan z wykonywaniem poleceń — warknął. — Czy też może mój szofer...

— Owszem, przyjechał tu, panie Jeeter — odparłem. — Ale zdarzył nam się pewien kłopot. George panu o tym opowie.

— Młody człowieku, kiedy życzę sobie, żeby coś zrobiono...

— Niech pan posłucha, panie Jeeter. Miałem ciężki dzień. Pański syn rąbnął mnie pięścią w szczękę i padając rozciąłem sobie głowę. Kiedy dowlokłem się półżywy do swego mieszkania, zostałem napadnięty przez dwóch rewolwerowców, którzy kazali mi przestać zajmować się sprawą Jeetera. Robię, co mogę, ale czuję się dość słabo, więc proszę mnie nie straszyć.

— Młody człowieku...

— Niech pan posłucha — powiedziałem przejętym głosem — jeśli chce pan decydować o całym przebiegu tej gry, niech pan sam rozdaje karty. Może też pan oszczędzić sobie masę pieniędzy, zatrudniając kogoś, kto będzie słuchał rozkazów. Ja muszę rozgrywać według własnej metody. Czy nie odwiedziły pana dziś wieczorem gliny?

— Gliny? — odpowiedział jak echo kwaśnym tonem. — Chodzi panu o policjantów?

— Zgadza się... chodzi mi o policjantów.

— Dlaczego miałbym przyjmować jakichś policjantów? — spytał niemal gburowatym tonem.

— Przed pańską bramą leżał pół godziny temu pewien sztywny. Mówiąc „sztywny”, mam na myśli nieżywego człowieka. Jest bardzo mały. Może pan łatwo zmieść go na śmietniczkę, jeśli by panu przeszkadzał.

— Mój Boże! Czy mówi pan poważnie?

— Tak. Co więcej, strzelał on do George'a i do mnie. Rozpoznał samochód. Musiał czatować tam na pańskiego syna, panie Jeeter.

Zapadła pełna napięcia cisza.

— Wydawało mi się, że mówił pan o martwym mężczyźnie — odezwał się bardzo chłodnym głosem Jeeter. — Teraz mówi pan, że do was strzelał.

— To było wtedy, kiedy jeszcze nie był martwy — odparłem. — George panu o tym opowie. George...

— Przyjeżdżajcie tu natychmiast! — wrzasnął do słuchawki. — Natychmiast, słyszy pan? Natychmiast!

— George panu wszystko opowie — powiedziałem cicho i odłożyłem słuchawkę.

George spojrział na mnie chłodno. Wstał i włożył czapkę.

— Okey, bracie — powiedział. — Być może kiedyś uda mi się oddać ci jakąś przysługę. — Ruszył w kierunku drzwi.

— Nie mogłem inaczej. Wszystko zależy od niego. Będzie musiał się zdecydować.

— Bzdury — rzucił George oglądając się prze ramię. — Szkoda twojego gadania, szpiclu. Cokolwiek byś powiedział, będzie to dla mnie tylko niepotrzebna czcza gadanina.

Otworzył drzwi, a potem zamknął je za sobą zostawiając mnie siedzącego na miejscu z telefonem w ręku i z otwartymi ustami, w których miałem tylko własny język i uczucie niesmaku.

Przeszedłem do kuchni i potrząsnąłem butelką whisky, ale była pusta. Otworzyłem flaszkę żytniej i wypilem niewielki łyk; wydała mi się gorzka. Odczuwałem jakiś niejasny niepokój. Miałem przeczucie, że będę go odczuwał jeszcze o wiele silniej, zanim uda mi się zakończyć całą sprawę.

Chyba minęli się z Georgem o ułamki sekundy. Usłyszałem, że winda rusza w górę, niemal natychmiast po zatrzymaniu się na dole. Potem przybliżający się odgłos kroków na korytarzu. Uderzenie pięścią w drzwi. Podeszedłem i otworzyłem.

Jeden ubrany był na brązowo, drugi na granatowo. Obaj byli wysocy, ocieżali i znudzeni.

Mężczyzna w brązowym ubraniu zsunął kapelusz na tył głowy gęsto owłosioną ręką.

— Filip Marlowe? — spytał.

— Zgadza się — odparłem.

W trudno zauważalny sposób zmusili mnie do cofnięcia się do pokoju. Ten w granatowym ubraniu zamknął drzwi. Ten w brązowym wyjął odznakę policjanta, pozwalając mi ujrzeć błysk złota i emalii.

— Porucznik Finlayson, z Wydziału Zabójstw — powiedział. — To jest Sebold, mój współpracownik. Jesteśmy bardzo mili i uprzejmi, dopóki ktoś nas rozdrażni. Słyszeliśmy, że dość chętnie posługujesz się rewolwerem.

Sobold zdjął kapelusz i zmierzwił dłonią swe przyprószone siwizną włosy. Potem bezgłośnie przeszedł do kuchni.

Finlayson usiadł na brzegu krzesła i dotknął szczęki paznokciem swego kciuka, kwadratowym jak kostka lodu i żółtym jak plaster z gorczycy. Był starszy i nie tak przystojny jak Sebold. Miał niedbały sposób bycia, charakterystyczny dla wytrawnych policjantów, którzy nie zrobili wielkiej kariery.

— Co to znaczy: chętnie posługuję się rewolwerem? — spytałem siadając.

— Mam na myśli strzelanie do ludzi.

Zapaliłem papierosa. Sebold wyszedł z kuchni i zajrzał do garderoby znajdującej się za ukrytym w ścianie łóżkiem.

— O ile wiemy, masz licencję prywatnego detektywa — powiedział ponuro Finlayson.

— Zgadza się.

— Pokaż. — Wyciągnął rękę. Podąłem mu swój portfel. Przejrzał jego zawartość i wręczył mi go z powrotem. — Masz rewolwer?

Kiwnąłem potakująco głową. Wyciągnął po niego rękę. Sebold wyszedł z garderoby. Finlayson powąchał Lugera, wyjął magazynek, cofnął zamek i ustawił rewolwer w taki sposób, że do lufy dostawało się od strony zamka nieco światła. Mrużąc oczy zajrzał do wylotu lufy. Przekazał rewolwer Seboldowi, ten obejrzał go w taki sam sposób.

— Chyba nie — powiedział. — Czysty, ale nie na tyle. Na pewno nie był czyszczony w ciągu ostatniej godziny. Jest na nim nieco kurzu.

— Zgadza się.

Porucznik podniósł z dywanu wyrzuconą łuskę, wcisnął ją do magazynka i wsunął magazynek na miejsce. Oddał mi rewolwer. Umieściłem go na nowo pod pachą.

— Wychodziłeś dziś wieczorem? — spytał rzeczowym tonem.

— Nie opowiadajcie mi całej fabuły — powiedziałem. — Występuję tylko w małym epizodzie.

— Cwaniak — stwierdził Sebold beznamiętnym głosem. Raz jeszcze potarł dłonią włosy i otworzył szufladę biurka. — Żartowniś. Mógłby pisać do gazet. Lubię z takimi rozmawiać, kiedy mam pod ręką pałkę.

Finlayson westchnął ciężko.

— Wychodziłeś dziś wieczorem?

— Jasne. Kilka razy. O co chodzi?

— Dokąd? — spytał, ignorując moje pytanie.

— Byłem na kolacji. Złożyłem kilka wizyt w sprawach zawodowych.

— Gdzie?

— Przykro mi, chłopcy. Każdy zawód ma swoje tajemnice.

— Miał też gościa — powiedział Sebold, podnosząc szklanę George'a i obwąchując ją. — Niedawno, w ciągu ostatniej godziny.

— Nie jesteś chyba aż takim znawcą — odezwałem się do niego kwaśno.

— Czy byłeś na przejażdżce wielkim Cadillacem? — kontynuował śledztwo Finlayson, wciągając głęboko powietrze. — W kierunku zachodniej części Los Angeles?

— Byłem na przejażdżce Chryslerem, w kierunku Vine Street.

— Najlepiej chyba będzie po prostu zabrać go ze sobą — powiedział Sebold, przyglądając się swym paznokciom.

— Najlepiej chyba będzie, jeśli przestaniecie udawać pogromców gangsterów i powiecie mi, o co wam chodzi. Nie mam nic przeciwko współpracy z policjantami, chyba że zachowują się tak, jakby prawo zupełnie ich nie obowiązywało.

Finlayson przyglądał mi się uważnie. Moje słowa nie zrobiły na nim żadnego wrażenia. Wszystko, co mówił Sebold, też nie robiło na nim żadnego wrażenia. Miał swoją koncepcję i trzymał się jej jak pijany płotu.

— Czy znasz małego łobuza nazwiskiem Frisky Lavon? — westchnął. — Pracował kiedyś jako wykidajło. Potem doszedł do wniosku, że może robić różne kanty na własną rękę. Zajmował się tym przez jakieś dwanaście lat. Nosi przy sobie rewolwer i zachowuje się jak dureń. Ale dziś przerwał swą działalność — gdzieś tak koło pół do ósmej. Zrezygnował na zawsze, z powodu kuli w głowie.

— Nigdy o nim nie słyszałem — oświadczyłem.

— Czy sprzątnąłeś kogoś dziś wieczorem?

— Muszę sprawdzić w swoim notesie.

Sebold pochylił się ku mnie uprzejmie.

— Czy nie miałbyś ochoty dostać w mordę? — zapytał.

Finlayson szybkim ruchem wyciągnął przed siebie rękę.

— Przestań, Ben. Uspokój się. Posłuchaj, Marlowe. Może zabraliśmy się do tego w niewłaściwy sposób. Nie mówimy o morderstwie. Mogło to być zabójstwo zgodne z prawem. Znalaziono zwłoki tego Frisky Lavona dziś wieczorem na Calvello Drive w Bel-Air.

Na środku ulicy. Nikt nic nie widział ani nie słyszał. Chcemy się więc czegoś dowiedzieć.

— W porządku — burknąłem. — Ale jaki ma to związek ze mną? I trzymaj tego stroiciela fortepianów z daleka ode mnie. Ma ładny garnitur i czyste paznokcie, ale za bardzo lubi popisywać się swoją odznaką policjanta.

— Niech cię diabli wezmą — powiedział Sebold.

— Dostaliśmy dziwny telefon — odezwał się Finlayson. — Dlatego właśnie zainteresowaliśmy się twoją osobą. Nie rozbijamy się całkiem na ślepo. Poza tym szukamy rewolweru kaliber 45. Jeszcze nie ustalono, jakiej marki.

— To cwaniak. Wrzucił go pod bar u Levy'ego — burknął Sebold.

— Nigdy nie miałem czterdziestki piątki — powiedziałem. — Facet, który potrzebuje aż takiego kalibru, powinien raczej posługiwać się dzidą.

Finlayson spojrzął na mnie spode łba i zaczął liczyć swoje kciuki. Potem wziął głęboki oddech i nagle zaczął traktować mnie po ludzku.

— Jasne, jestem po prostu głupim gliną — powiedział. — Każdy może oberwać mi uszy, a ja nawet tego nie zauważę. Przestańmy wszyscy zawracać głowę i pomówmy rozsądnie. Znalaziono tego Frisky'ego po anonimowym telefonie do komendy policji w Zachodnim Los Angeles. Jego zwłoki leżały przed domem należącym do faceta nazwiskiem Jeeter, który jest właścicielem wielu firm handlowych. Nie posługiwałby się takim facetem jak Frisky... ten ślad nigdzie nas więc nie prowadzi. Służba nic nie słyszała, tak samo służba zatrudniona w czterech domach stojących na tym odcinku ulicy. Frisky leżał na jezdni i ktoś przejechał po jego stopie, ale zabiła go kula kaliber 45, którą dostał w twarz. Komenda policji w Zachodnim Los Angeles dopiero zabierała się do rozpoczęcia śledztwa, kiedy jakiś facet zadzwonił do Głównej Komendy i kazał poinformować Wydział Zabójstw, że jeśli chcą dowiedzieć się, kto zabił Frisky Lavona, powinni zapytać prywatnego detektywa nazwiskiem Filip Marlowe. Podał dokładny adres i wszystkie dane i natychmiast się wyłączył. W porządku. Telefonista z centrali podał mi te szczegóły. Nie miałem pojęcia, kto to jest Frisky, więc wróciłem się do kartoteki, która oczywiście miała go w swoim wykazie. Właśnie czytałem o nim, kiedy nadszedł dalekopis z Zachodniego Los Angeles z opisem, który wydawał się zupełnie zgodny. Naradziliśmy się więc wspólnie, doszliśmy do wniosku, że to ten sam facet, i szef Biura Śledczego kazał nam wybrać się do i ciebie. Wybraliśmy się więc.

— I oto jesteście na miejscu — powiedziałem. — Napijecie się?

— Czy pozwolisz nam przeszukać mieszkanie, jeżeli nie odmówimy?

— Jasne. Ten telefon to cenna wskazówka, pod warunkiem, że popracujecie nad tą sprawą jakieś pół roku.



— Doszliśmy już do tego wniosku — mruknął Finlayson. — Tego małego gnoja mogło sprzątnąć ze stu facetów, a dwie trzecie z nich mogło wpaść na pomysł, że nie byłoby głupio zrobić w tę sprawę ciebie. Właśnie te dwie trzecie nas interesują.

Potrząsnąłem głową.

— Nic nie przychodzi ci na myśl, co?

— Tylko dowcipne odzywki — odezwał się Sebold.

Finlayson podniósł się z wysiłkiem.

— No cóż, musimy się tu trochę rozejrzeć.

— Może powinniśmy byli wziąć z sobą nakaz rewizji — odezwał się Sebold, dotykając końcem języka swej górnej wargi.

— Nie muszę dyskutować z tym facetem, prawda? — spytałem Finlaysona. — Wystarczy chyba, jeżeli pozwolę mu wtrącać jego dowcipy i zachowam swój spokój?

— Przedwczoraj odeszła od niego żona — powiedział Finlayson patrząc w sufit. — Usiłuje znaleźć sobie jakąś rekompensatę. Tak twierdzą naukowcy.

Sebold zbladł i z wściekłością zacisnął pięści. Potem zaśmiał się krótko i wstał z krzesła.

Zabrali się do roboty. Następne dziesięć minut upłynęło im na otwieraniu i zamykaniu szuflad, zagłądaniu w głąb półek i pod poduszki foteli, otwieraniu składanego łóżka, badaniu zawartości lodówki i kubła ze śmieciami. Potem się im to znudziło.

Wrócili do pokoju i usiedli na swoich miejscach.

— Jakiś wariat — powiedział znużonym głosem Finlayson. — Może facet, który znalazł twoje nazwisko w książce telefonicznej. Wszystko jest możliwe.

— Przyniosę coś do picia.

— Ja nie piję — burknął Sebold.

Finlayson splótł ręce na brzuchu.

— To wcale nie znaczy, że choć kropla alkoholu się zmarnuje, synu.

Przyniosłem trzy szklanki i postawiłem dwie obok Finlaysona. Wypił połowę zawartości jednej z nich i spojrzał w sufit.

— Mam na głowie jeszcze jedno zabójstwo — powiedział z namysłem. — Facet z twojej branży, Marlowe. Taki grubas, miał biuro na Sunset. Nazywał się Arbogast. Słyszałeś o nim kiedyś?

— Zdaje mi się, że był grafologiem — powiedziałem.

— Rozmawiasz o tajemnicach służbowych — zwrócił się chłodno do swego kolegi Sebold.

— Jasne. O tajemnicach służbowych, o których piszą już poranne gazety. Ten Arbogast dostał trzy kule kaliber 22. Pistolet sportowy. Czy znasz jakichś bandziorów, którzy używają spluwy tego rodzaju?

Zacisnąłem dłoń na swej szklance i wolno pociągnąłem z niej spory łyk. Białonosy nie wydawał mi się aż tak niebezpieczny, ale nigdy nie można być pewnym.

— Znałem — powiedziałem powoli. — Był to morderca nazwiskiem Al Tessilore. Ale on siedzi w Folsom. Używał Colta Woodsmana.

Finlayson dokończył pierwszą porcję whisky, wypił drugą mniej więcej w takim samym czasie i wstał z miejsca. Sebold, ciągle rozwścieczony, podniósł się również.

Usłyszałem na korytarzu ich kroki, a potem raz jeszcze szum windy. Jakiś samochód ruszył sprzed domu i z wyciem silnika popędził w ciemność nocy.

— Takie błazny nie zabijają — powiedziałem głośno sam do siebie. A jednak wyglądało na to, że się mylę.

Odczekałem piętnaście minut, zanim znowu wyszedłem z domu. W trakcie mojego oczekiwania zadzwonił telefon, ale nie podniosłem słuchawki.

Pojechałem w kierunku El Milano, klucząc po drodze, dopóki nie przekonałem się, że nikt za mną nie jedzie.

## 6

Hall hotelu wcale się nie zmienił. Niebieski dywan tym razem łaskotał moje kostki, gdy wolnym krokiem szedłem w stronę recepcji, ten sam błądy recepcjonista, który wręczał właśnie klucz dwu wystrojonym w tweedy kobietom o końskich twarzach, znów na mój widok przycisnął coś lewą stopą. Drzwi znajdujące się przy końcu lady otworzyły się gwałtownie i wychynął z nich gruby erotoman Hawkins, trzymając w ustach ten sam — jak się wydawało — niedopałek cygara.

Podszedł szybko, tym razem z szerokim, serdecznym uśmiechem, i chwycił mnie za ramię.

— Właśnie marzyłem o tym, żeby pan się pojawił — zachichotał. — Chodźmy na sekundę na górę.

— Co się stało?

— Stało? — Jego uśmiech był tak szeroki, jak drzwi do podwójnego garażu. — Nic się nie stało. Tędy.

Wepchnął mnie do windy, pogodnym, głębokim głosem kazał portierowi jechać na ósme piętro i popłynęliśmy w górę, a potem wysiadłszy z kabiny ruszyliśmy korytarzem. Hawkins miał twardy uchwyt i wiedział, w którym miejscu trzymać człowieka za ramię. Byłem na tyle zainteresowany, że nie protestowałem. Nacisnął guzik dzwonka umocowany obok drzwi panny Huntress; wewnątrz rozległ się dźwięk Big Bena, drzwi otworzyły się i stanął przed nami człowiek o kamiennej twarzy, w smokingu i w meloniku na głowie. Prawą rękę trzymał w kieszeni ciemnej marynarki. Pod rondem melonika dostrzegłem groźnie wyglądające brwi, pod nimi zaś oczy, w których było mniej więcej tyle wyrazu, co w zakrętce od kanistra z benzyną.

— Czego? — przemówił, niemal nie otwierając ust.

— Towarzystwo dla szefa — powiedział z przejęciem Hawkins.

— Pozwólcie i mnie włączyć się do gry — wtrąciłem. — Towarzystwo z ograniczoną odpowiedzialnością. Mówcie, o co chodzi?

— Co? — poruszył brwiami i wysunął nieco szczękę — Mam nadzieję, że nikt nie robi tu z nikogo frajera.

— O co chodzi, Beef?

— Nie może sobie dać rady — wtrąciłem.

— Słuchaj, pyskaczu...

— Ależ panowie...

— O nic nie chodzi — odezwał się Beef, rzucając głową przez ramię, jak zwój liny. — Detektyw hotelowy ma tu jakiegoś faceta, i mówi, że to gość do pana.

— Wpuść ich, Beef. — Podobał mi się jego głos. Był spokojny, łagodny i tak twardy, że aby wyryć w nim swe nazwisko, trzeba by użyć pięciokilowego młota i dłuta z hartowanej stali.

— Jazda! — powiedział Beef, usuwając się na bok.

Weszliśmy. Pierwszy wkroczyłem ja, potem Hawkins, Beef zaś, obróciwszy się zrecznie, zamykał pochód. Szliśmy tak blisko siebie, że musieliśmy wyglądać jak trójwarstwowy sandwicz.

Panny Huntress nie było w pokoju. Polano na kominku niemal już przestało się tlić. W powietrzu nadal unosił się zapach drzewa sandałowego, zmieszany z dymem papierosów.

Po drugiej stronie kanapy stał mężczyzna, trzymając obie ręce w kieszeni niebieskiego płaszcza z wielbłądziej wełny, którego podniesiony kołnierz sięgał aż do czarnego kapelusza, z opuszczonym rondem. Z jego szyi zwisał luźno wypuszczony na zewnątrz szalik. Stał nieruchomo, sącząc dym z trzymanego w

ustach papierosa. Był wysoki, ciemnowłosy i opanowany. Wyglądał groźnie. Milczał.

Hawkins zbliżył się do niego z szacunkiem.

— To ten facet, o którym panu mówiłem, panie Estel — wymamrotał. — Był tu dziś już raz, mówiąc, że pan go przysłał. Trochę wprowadził mnie w błąd.

— Daj mu dziesiątkę, Beef.

Człowiek w meloniku wyjął nie wiadomo skąd lewą dłoń; leżał na niej banknot. Wysunął ją w stronę Hawkinsa, który, zaczerwieniwszy się nieco, sięgnął po pieniądze.

— To wcale nie jest konieczne, panie Estel. W każdym razie bardzo panu dziękuję.

— Zjeżdżaj.

— Co? — Hawkins wydawał się zaszokowany.

— Słyszałeś, co powiedział szef — odezwał się zaczepnym tonem Beef. — Chcesz wylecieć stąd na pysk, co?

Hawkins wyprostował się.

— Muszę dbać o interesy gości. Wiecie, panowie, jak to jest. Taki jest mój zawód.

— Jasne. Zjeżdżaj — powiedział Estel, nie poruszając wargami.

Hawkins odwrócił się na pięcie i szybko, bezgłośnie wyszedł z pokoju. Drzwi zamknęły się za nim z cichym j szcęknięciem zamka. Beef zerknął w ich kierunku, a potem stanął tuż za mną.

— Sprawdź, czy ma spluwę, Beef.

Człowiek w meloniku sprawdził, czy mam spluwę.

Wyjął Lugera i odsunął się ode mnie. Estel zerknął na rewolwer, potem znów spojrzał w moim kierunku. W jego wzroku była obojętna niechęć.

— Nazywasz się Filip Marlowe, co? Prywatny szpicel.

— I co z tego? — spytałem.

— Ktoś tu będzie musiał wytrzeć podłogę czyjąś twarzą — powiedział chłodno Beef.

— Zachowaj te bzdury na lepszą okazję — zwróciłem się do niego. — Mam na dziś wieczór zupełnie dosyć twardych facetów. Powiedziałem: i co z tego, i wcale tego nie cofam.

Marty Estel wydawał się odrobinę rozbawiony.

— Do diabła, nie denerwuj się. Muszę dbać o swoich przyjaciół, no nie? Wiesz, kim jestem. W porządku. Z kolei ja jestem poinformowany, o czym

rozmawiałeś z panną Huntress. A także wiem o tobie coś, czego twoim zdaniem wiedzieć nie powinienem.

— W porządku — powiedziałem. — Ten gruby cymbał Hawkins wziął ode mnie dziś po południu dziesiątkę za to, że wiedząc doskonale, kim jestem, pozwolił mi wejść na górę. Teraz dostał drugą od twojego rewolwerowca za zrobienie mi głupiego kawału. Oddaj ten rewolwer i wytłumacz mi, dlaczego interesujesz się moją osobą.

— Z wielu powodów. Po pierwsze, Harriet nie ma w domu. Czekamy na nią w związku z pewną sprawą, która się wydarzyła. Nie mogę czekać dłużej. Muszę jechać do swego klubu. Więc po co przyjechałeś tym razem?

— Szukam młodego Jeetera. Ktoś ostrzelał dziś wieczorem jego samochód. Od tej pory powinien mieć stałą obstawę.

— Uważasz, że ja mogłem zasunąć tego rodzaju numer? — spytał chłodno Estel.

Podszedłem do szafki, otworzyłem ją i znalazłem butelkę whisky. Odkręciłem zakrętkę, wziąłem ze stoliczka szklanę i wlałem do niej trochę płynu. Skosztowałem. Smak wydał mi się zadowalający.

Rozejrzałem się za lodem, ale go nie było. Zawartość kubelka dawno już stopniała.

— Zadałem ci pytanie — powiedział poważnym tonem Marty.

— Słyszałem. Zastanawiam się nad całą sprawą. Moja odpowiedź brzmi: nie, nie przypuszczam, żebyś zasunął numer tego rodzaju. Ale zdarzyło się to. Byłem przy tym. Zamiast młodego Jeetera ja siedziałem w tym samochodzie. Jego ojciec wysłał po mnie, żebyśmy przyjechał omówić z nim pewne sprawy.

— Jakie sprawy?

Nie starałem się nawet udawać zaskoczonego.

— Masz w ręku wystawione przez tego chłopca weksle na pięćdziesiąt patyków. Jeśli cokolwiek mu się stanie, będziesz w kłopotliwej sytuacji.

— Ja wcale tak nie uważam. Zabijając go straciłbym swoje pieniądze. Stary z pewnością nie zechciałby płacić. Ale jeśli poczekam dwa lata, odbiorę dług od syna. Do momentu, kiedy skończy on dwadzieścia osiem lat, jego majątek jest w rękach rady powierniczej. Teraz dostaje tysiąc miesięcznie i nie może nawet nic nikomu zapisać, bo jego forsa jest dalej w ręku wykonawców testamentu. Kapujesz?

— Więc nie masz interesu w tym, żeby go sprzątnąć — odezwałem się, pociągając łyk whisky. — Ale może chciałeś go nastraszyć?

Estel zmarszczył brwi. Odłożył papierosa i wpatrywał się przez chwilę w unoszący się w górę dym, potem wziął go znowu w palce i zdusił o dno popielniczki. Potrząsnął głową.

— Jeżeli zamierzasz zapewnić mu ochronę, opłacałoby mi się niemal odpalać ci coś co miesiąc, prawda? Niemal. Człowiek działający w mojej branży nie może sam się wszystkim zajmować. Młody Jeeter jest dorosły i ma prawo zadawać się, z kim ma ochotę. Na przykład, jeśli chodzi o kobiety. Dlaczego miła dziewczyna nie miałaby wykroić dla siebie jakiejś części z tych pięciu milionów dolarów?

— Myślę, że to świetny pomysł — powiedziałem. — Co takiego wiesz o mnie?

Estel uśmiechnął się nieznacznie.

— I co to za wydarzenie, o którym chciałeś poinformować pannę Huntress?

Raz jeszcze nieznacznie się uśmiechnął.

— Posłuchaj, Marlowe. Każdą sprawę można rozgrywać na wiele sposobów. Mnie zupełnie wystarczą procenty, jakie pobieram od wygranych w moim klubie. Po co miałbym uciekać się do środków brutalnych?

Wyjąłem nowego papierosa i bawiłem się nim przez moment.

— Kto mówi, że postępujesz brutalnie? Zawsze słyszałem o tobie jak najlepsze rzeczy.

Marty Estel kiwnął głową; wydawał się nieco rozbawiony.

— Mam swoje źródła informacji — powiedział spokojnie. — Kiedy zainwestuję w kogoś pięćdziesiąt patyków, lubię wiedzieć o nim to i owo. Jeeter zlecił pewne zadanie facetowi nazwiskiem Arbogast. Tego Arbogasta zastrzelono dziś w jego biurze z rewolweru kaliber 22. Może nie miało to nic wspólnego ze sprawą zleconą mu przez Jeetera. Ale ktoś cię śledził, kiedy tam poszedłeś, a ty nie zawiadomiłeś policji. Czy nie oznacza to, że jesteśmy obaj po tej samej stronie?

Oblizałem krawędź szklanki i kiwnąłem głową.

— Chyba tak.

— Chodzi mi tylko o to, żebyś od tej pory przestał zawracać głowę Harriet, rozumiesz?

— W porządku.

— Mam nadzieję, że dobrze się rozumiemy?

— Owszem.

— No cóż, będę szedł. Oddaj mu rewolwer, Beef.

Mężczyzna w kapeluszu podszedł i położył rewolwer na mej wyciągniętej dłoni, tak energicznie, że omal nie złamał mi przy tym kości.

— Wychodzisz? — spytał Estel, idąc w kierunku drzwi.

— Chyba zostanę jeszcze chwilę. Zaczekam, aż przyjdzie Hawkins, żeby mnie strzelić na następne dziesięć dolarów.

Estel wykrzywił twarz w uśmiechu. Beef z kamienną twarzą podszedł pierwszy do drzwi i otworzył je. Estel wyszedł. Drzwi się zamknęły. W pokoju zapanowała cisza. Stałem wdychając ulatniający się zapach drzewa sandałowego i rozglądałem się dokoła.

Ktoś oszalał. Ja oszalałem. Wszyscy oszaleli. Wszystko to razem ani za grosz do siebie nie pasowało. Marty Estel, jak sam powiedział, nie miał żadnego interesu w mordowaniu młodego Jeetera, bo pogrzebałby w ten sposób swoje szanse na odebranie kiedykolwiek tych pieniędzy. A nawet gdyby miał interes w mordowaniu kogoś, Frisky i Białonosy nie wydawali mi się parą, której byłby skłonny powierzyć to zadanie. Naraziłem się policji, wydałem dziesięć dolarów z dwudziestu otrzymanych na koszty — i nie miałem nic, na czym mógłbym się oprzeć.

Opróżniłem swą szklanekę whisky, odstawiłem ją. Pochodziłem chwilę po pokoju, wypaliłem trzeciego papierosa, spojrzałem na zegarek i wzruszyłem ramionami. Wszystko to napawało mnie niesmakiem. Drzwi do pozostałych pomieszczeń apartamentu były pozamykane. Podszedłem do tych, z których musiał cicho wyjść po południu młody Jeeter. Otworzywszy je, znalazłem się w sypialni, całej w kolorach blad różowym i kości słoniowej. Stało tu wielkie podwójne łóżko, przykryte wzorzystym brokatem. Na wbudowanej w ścianę toaletce, nad którą paliło się ukryte światło, błyszcząły jakieś kosmetyki. Paliła się też mała lampa na ulokowanym niedaleko drzwi stole. Przez znajdujące się obok toaletki uchylone drzwi dostrzegłem chłodną zieleń kafli łazienkowych.

Przeszedłem przez sypialnię i zajrzałem do łazienki. Dużo niklu, prysznic ze szklaną przegrodą, ręczniki z monogramami na wieszaku, szklana półeczka z solami kąpielowymi i perfumami nad wanną; wszystko bardzo eleganckie i wytworne. Panna Huntress dbała o siebie. Miałem nadzieję, że sama płaci za swój apartament. Osobiście nie robiło mi to żadnej różnicy — po prostu taka koncepcja bardziej mi się podobała.

Wracając do salonu zatrzymałem się w drzwiach, żeby raz jeszcze rzucić okiem na miłe wnętrze, i poczułem coś co powinienem był poczuć od razu po wejściu do sypialni. W powietrzu unosił się zapach prochu, a właściwie jego

resztki, które nie zdążyły jeszcze całkowicie się ulotnić. W tym momencie spostrzegłem coś jeszcze.

Ktoś przesunął łóżko, ustawiając je w taki sposób, że jego bok zachodził na krawędź niedomkniętych drzwi szafy ściennej. Zastawione łóżkiem nie mogły się otworzyć. Podeszedłem do nich, by zbadać, dlaczego mają tendencję do otwierania się. Poruszałem się powoli; w połowie drogi zdałem sobie sprawę, że trzymam w ręku rewolwer.

Oparłem się o drzwi szafy. Nie drgnęły. Pchnąłem ją nieco silniej. Nadal były nieruchome. Opierając się o nie w dalszym ciągu odsunąłem nogą łóżko, a potem puściłem drzwi.

Naparł na mnie mocno jakiś ciężar. Cofnąłem się jeszcze trochę, zanim cokolwiek się wydarzyło. Potem sytuacja zmieniła się gwałtownie. Zaczął bokiem wysuwać się z szafy, jak gdyby staczał się w dół. Znów mocniej oparłem się o drzwi, zatrzymując go przez chwilę w tym położeniu, żeby mu się przyjrzeć.

Ten sam wysoki blondyn w sportowym ubraniu i rozpiętej pod szyją koszuli, spod której wystawała apaszka. Ale twarz nie była już zaczerwieniona.

Cofnąłem się jeszcze trochę, a on zsunął się po wewnętrznej stronie drzwi, obrócił się częściowo wokół własnej osi jak człowiek płynący wśród przybrzeżnych fal, ciężko grzmotnął o podłogę i znieruchomiał, leżąc na plecach i patrząc w dalszym ciągu wprost na mnie. Jego włosy lśniły w świetle stojącej przy łóżku lampy. Na tweedowej marynarce widoczna była osmalona i wilgotna plama — mniej więcej na wysokości serca. Pomyślałem, że jednak nie dostanie w końcu tych pięciu milionów. Nikt nie dostanie ani grosza, a Marty Estel nie odbierze swoich pięćdziesięciu kawałków. Młody pan Gerald był martwy.

Zajrzałem do wnętrza szafy, w której poprzednio przebywał. Drzwi były teraz szeroko otwarte. Na wieszakach wisiały wytworne części damskiej garderoby. Zapewne przyłożono mu rewolwer do piersi i kazano wcisnąć się pomiędzy ubrania, z rękami uniesionymi nieco w górę. Potem zastrzelono go, a zabójca nie był dosyć szybki czy też dosyć silny, by domknąć drzwi. A może przestraszył się po prostu, zablokował drzwi łóżkiem i zostawił je w tym położeniu.

Dostrzegłem na podłodze jakiś błyszczący przedmiot. Podniosłem go. Mały rewolwer kaliber 25, mieszczący się w damskiej torebce, z pięknie rzeźbioną kolbą, inkrustowaną kością słoniową i srebrem. Schowałem go do kieszeni, choć mogło się to wydawać pozbawione sensu.



Nie dotknąłem młodego Jeetera. Był równie martwy, jak John D. Arbogast, ale wydawał się o wiele bardziej martwy. Zostawiłem szafę otwartą, nadśluchiwałem przez chwilę, potem szybko przeszedłem przez pokój, wsunąłem się do salonu i zamknąłem drzwi od sypialni, wycierając równocześnie kłamkę.

Ktoś manipulował kluczem w zamku. To wracał Hawkins, by przekonać się co mnie zatrzymało. Otwierał drzwi swym służbowym kluczem.

Kiedy wszedł, nalewałem sobie właśnie whisky.

Zrobił kilka kroków od wejścia, rozstawił nieco stopy i obrzucił mnie chłodnym spojrzeniem.

— Widziałem, że Estel i jego goryl już wyszli. — Ciebie nie zauważyłem. Muszę...

— Musisz dbać o interesy gości — dokończyłem.

— Zgadza się. Muszę dbać o interesy gości. Pod nieobecność pani domu nie możesz tu przebywać, kolego.

— Natomiast Marty Estel i jego rewolwerowiec mogą, co?

Podszedł do mnie nieco bliżej. Jego oczy miały nieprzyjemny wyraz. Zapewne miały go przez cały czas, tylko ja dostrzegłem to teraz.

— Nie zamierzasz chyba robić z tego użytku, co? — spytał.

— Nie. Każdy ma swoją metodę wyłudzenia pieniędzy. Napij się.

— To nie twoja whisky.

— Panna Huntress ofiarowała mi butelkę. Zaprzyjaźniliśmy się. Zresztą, z Marty Estelem także. Wszyscy są przyjaciółmi. Zostań i ty moim przyjacielem.

— Chyba nie próbujesz robić mnie w konia, co?

— Napij się i nie myśl o tym.

Znalazłem szklanekę i nalałem mu drinka. Przyjął go.

— Jeśli ktoś poczuje ode mnie alkohol, stracę posadę.

— Właśnie.

Powoli sączył trunek, rozlewając go po języku.

— Dobra whisky.

— Chyba nie pierwszy raz się nią częstujesz, co?

Znów chciał przybrać groźną postawę, potem się odprężył.

— Do diabła, nie warto się przejmować twoimi błazeństwami.

Dopił whisky, odstawił szklanekę, wytarł usta dużą, bardzo zmiętą chustką do nosa i westchnął.

— No dobrze — powiedział. — Ale teraz musimy już stąd wyjść.

— Jestem gotów. Myślę, że ona nieprędko wróci. Widziałeś, jak wychodzili?

— Tak, ona i jej przyjaciel. Dawno temu.

Kiwnąłem głową. Podeszliśmy do drzwi i Hawkins puścił mnie przodem. Zjechał ze mną na dół i odprowadził aż do wyjścia. Ale nie widział, co znajdowało się w sypialni panny Huntress. Zastanawiałem się, czy nie wróci na górę. Gdyby to zrobił, zatrzymałaby go pewnie butelka whisky.

Wsiadłem do samochodu i pojechałem do domu, by zatelefonować do Anny Halsey. Dla nas cała sprawa była już zakończona. Tym razem zaparkowałem tuż przy krawężniku. Nie byłem już w tak pogodnym nastroju. Wjechałem windą na górę, otworzyłem drzwi i zapaliłem światło.

Na moim najwygodniejszym fotelu siedział Białonosy, trzymając w palcach nie zapalonego papierosa. Na jego kościstym kolanie leżał spokojnie długi Colt Woodsman. Uśmiechał się. Nie był to najmiłszy uśmiech, jaki widziałem w życiu.

— Cześć, koleś — powiedział cedząc słowa. — Ciagle jeszcze nie zrobiłeś nic ze swoimi drzwiami. Zamknij je może, co? — Jego głos, mimo całej swej powolności, był głosem mordercy.

Zamknąłem drzwi i stałem w miejscu, przyglądając mu się uważnie.

— Zabiłeś mojego kumpla — powiedział.

Powoli wstał, bez pośpiechu przeszedł przez pokój i przyłożył mi do gardła pistolet. Jego cienkie, skrzywione wargi były — mimo uśmiechu — równie pozbawione wyrazu, jak jego stearynowo biały nos. Spokojnie sięgnął pod moją marynarkę i wyjął Luger. Od tej pory mogłem równie dobrze zostawiać go w domu. Wyglądało na to, że właściwie każdy jest w stanie mi go odebrać.

Cofnął się pod przeciwległą ścianę i usiadł na swoim miejscu.

— Tylko spokojnie — powiedział niemal łagodnie. — Siadaj, przyjacielu. Żadnych nieostrożnych ruchów. W ogóle żadnych ruchów. Ty i ja doszliśmy do kresu drogi. Zegar jest nakręcony i czekamy na sygnał do startu.

Usiadłem, nadal się w niego wpatrując. Dziwny facet. Zwilżyłem językiem wyschnięte wargi.

— Mówiłeś, że w jego rewolwerze nie ma iglicy — odezwałem się.

— No właśnie. Oszukał mnie, drań. Mówiłem ci też, żebyś przestał zajmować się młodym Jeeterem. To już nieważne. W tej chwili obchodzi mnie tylko Frisky. To wariactwo, nie? Żebym ja przejmował się takim półgłówkiem, zabierał go wszędzie ze sobą i w końcu pozwoił go sprzątnąć. — Westchnął spokojnie i dodał: — Był moim młodszym bratem.

— To nie ja go zabiłem — powiedziałem.

Uśmiechnął się jeszcze szerzej. Uśmiechał się przez cały czas. Kąciki jego ust schowały się teraz nieco głębiej.

— Tak?

Zdjął bezpiecznik Lugera, troskliwie ułożył go na prawym oparciu fotela i sięgnął do kieszeni. Na widok przedmiotu, który z niej wyjął, zrobiło mi się tak zimno, jakbym znalazł się w kubie pełnym lodu.

Była to ciemna, chropowata, długa na jakieś dziesięć centymetrów metalowa rurka, w której ściankach nawiercono wiele małych otworów. Trzymając Colta lewą ręką zaczął spokojnie przykręcać rurkę do końca lufy.

— Tłumik — powiedział. — Wy, cwaniacy, uważacie pewnie, że to szmelc. Ale ten jest dobry... w każdym razie na trzy strzały. Wiem dobrze. Sam go robiłem.

Ponownie zwilżyłem wargi.

— Jest dobry na jeden strzał — powiedziałem. — Potem zablokuje wylot lufy. Wygląda mi na to, że jest zrobiony z lanego żelaza. Prawdopodobnie oderwie ci rękę.

Uśmiechnął się swym stearynowym uśmiechem i powoli, troskliwie wkręcał dalej tłumik. W końcu z wysiłkiem obrócił go po raz ostatni i wygodnie oparł się o poręcz fotela.

— Nie bój się. Ta zabawka jest wypełniona watą stalową i można przez nią strzelać trzy razy, tak jak mówiłem. Potem trzeba zmienić wkład. A w tym pistolecie opór jest zbyt mały, by tłumik zablokował wylot lufy. Jak się czujesz? Chciałbym, żebyś się czuł dobrze.

— Czuję się świetnie, ty cholerny sadysto!

— Za jakiś czas każę ci się położyć na łóżku. Nic nie poczujesz. Lubię zabijać w sposób wyszukany. Myślę, że Frisky też nic nie czuł. Ładnie go trafiłeś.

— Masz kiepski wzrok — powiedziałem drwiąco. — To szofer go trafił z rewolweru Smith and Wesson, kaliber 44. Ja nawet nie zdążyłem wystrzelić.

— Dobra, dobra.

— Okey, możesz mi nie wierzyć. A za co zabiłeś Arbogasta? To nie było wyszukane zabójstwo. Zastrzelono go przy własnym biurku. Dostał trzy kule kaliber 22 i upadł na podłogę. Co on takiego zrobił twojemu zakichanemu braciszкови?

Gwałtownie podniósł wylot lufy, ale nie przestał się uśmiechać.

— Odważny jesteś — przyznał. — Kto to jest ten Arbogast?

Powiedziałem mu. Powoli i dokładnie opowiedziałem mu wszystkie szczegóły. Poinformowałem go o wielu sprawach. Na jego twarzy pojawił się ledwo dostrzegalny wyraz niepokoju. Spojrzał na mnie, odwrócił wzrok i znów zerknął w moim kierunku; jego źrenice drgały nerwowo jak kolibry.

— Nie znam żadnego gościa nazwiskiem Arbogast, koleś — powiedział powoli. — Nigdy o takim nie słyszałem. I nie zastrzeliłem dziś żadnego grubego faceta.

— Zabiłeś go. Zabiłeś też młodego Jeetera... w apartamencie tej dziewczyny, która mieszka w El Milano. Leży tam teraz martwy. Twoim szefem jest Marty Estel. Będzie cholernie żałował, że ten chłopak nie żyje. Dalej więc, do trzech razy sztuka.

Jego twarz zastygła. Znikł z niej wreszcie uśmiech. W tym momencie cała wydawała się zrobiona ze stearyny. Oddychał przez uchylone usta, wydając dziwny, niepokojący odgłos. Na jego czole dostrzegłem ledwo widoczne błyszczące kropelki, a sam poczułem na skórze chłód wywołany przez parowanie potu.

— Nie zabiłem nikogo, bracie — powiedział bardzo łagodnie Białonosy. — Nikogo. Nie zostałem wynajęty do zabijania ludzi. Dopóki Frisky nie dostał tej kuli, taki pomysł nie przychodził mi w ogóle do głowy. Możesz być tego pewny.

W głębi jego oczu błysnęła jakaś iskra — drobny, niewyraźny, przymglony płomyk. Zdawał się on powiększać i przybierać na sile. Białonosy utkwiał wzrok w kawałku podłogi znajdującym się pomiędzy jego stopami. Spojrzałem w kierunku kontaktu, ale był zbyt daleko. W tym momencie znów podniósł wzrok i zaczął bardzo powoli odkręcać tłumik. Trzymał go przez moment w rękę, potem wrzucił z powrotem do kieszeni i wstał, trzymając w każdym rękę rewolwer. Wtedy przyszedł mu do głowy nowy pomysł. Usiadł na nowo, szybko wyjął z Lugera wszystkie naboje i rzucił rewolwer na podłogę tuż obok nich.

Cicho przeszedł przez pokój i zbliżył się do mnie.

— Dziś jest chyba twój szczęśliwy dzień — powiedział. — Muszę pojechać w jedno miejsce i zobaczyć się z pewnym facetem.

— Od początku wiedziałem, że będę miał dziś szczęście. Dlatego byłem w tak dobrym humorze.

Obchodząc mnie ostrożnie dotarł do drzwi, uchylił je nieco i zaczął wysuwać się przez wąską szczelinę, znów uśmiechnięty.

— Muszę zobaczyć się z pewnym facetem — powiedział łagodnie i przesunął językiem po wargach.

— Jeszcze nie teraz — odparłem i skoczyłem w jego kierunku.

Dłoń, w której trzymał pistolet, znajdowała się w tym momencie na wysokości krawędzi drzwi, niemal poza nimi. Pchnąłem mocno drzwi, zanim zdążył ją cofnąć. Nie mógł się ruszyć. Naciskając z całej siły na drzwi uwięziłem go w nich jak w potrzasku. Było to szaleństwo. Zrezygnował z zabicia mnie i powinienem był stać bez ruchu i pozwolić mu odejść. Ale ja też musiałem się zobaczyć z pewnym facetem — i chciałem to zrobić wcześniej od niego.

Białonosy spojrział na mnie z odrazą. Stękając z wysiłku, usiłował wyszarpnąć uwięzioną w drzwiach rękę. Zmieniłem nieco pozycję i z całej siły rąbnąłem go w szczękę. To mu wystarczyło. Ugięły się pod nim kolana. Uderzyłem go jeszcze raz. Jego głowa odbiła się od drewnianej framugi. Usłyszałem tuż za drzwiami lekkie stuknięcie. Zdzieliłem go po raz trzeci. Nigdy wżyciu nie uderzyłem w nic tak mocno, jak teraz w jego szczękę.

Przestałem napierać na drzwi i jego bezwładne ciało upadło wprost na mnie. Otwarte oczy były zupełnie pozbawione wyrazu. Chwyciłem go w powietrzu, wykręciłem do tyłu jego puste już ręce i pozwoliłem mu upaść. Stałem nad nim, dysząc ciężko.. Potem podszedłem do drzwi. Colt Woodsman leżał niemal na samym progu. Podniosłem go i wrzuciłem do kieszeni — nie tej, w której znajdował się rewolwer panny Huntress. Białonosy w ogóle nie wiedział o jego istnieniu.

Leżał na podłodze. Był chudy i lekki, ale i tak się zdyszałem. Po chwili otworzył oczy i spojrział w górę, wprost na mnie.

— Wszystko przez chciwość — wyszeptał ze znużeniem. — Po co właściwie przyjeżdżałem tu na Zachód?

Zatrzasnąłem mu kajdanki na przegubach dłoni, wciągnąłem go za ramiona do garderoby i kawałkiem linki związałem mu nogi w kostkach. Gdy odchodziłem, leżał na plecach, nieco na boku; jego nos był biały jak zwykle, oczy znów pozbawione wyrazu. Poruszał lekko wargami, jak gdyby mówił coś sam do siebie. Dziwny facet, nie całkiem zły, ale nie na tyle niewinny, żebym miał płakać nad jego ciężkim losem.

Złożyłem do kupy swojego Luger'a i wyszedłem z wszystkimi trzema rewolwerami, jakie udało mi się zgromadzić. Pod moim domem nie było nikogo.

Rezydencja Jeetera stała na pagórku, który miał jakieś dziewięć albo dziesięć akrów powierzchni. Był to wielki budynek w stylu kolonialnym z grubymi, białymi kolumnami, mansardowymi oknami, magnoliami i garażem na cztery auta. Przy końcu podjazdu znajdował się niewielki placyk, na którym stały dwa samochody. Jednym z nich był ten wielki krążownik, którym poprzednio jechałem, drugim zaś kanarkowo żółty sportowy kabriolet, również znany mi z widzenia.

Nacisnąłem dzwonek wielkości półdolarówki. Drzwi się otworzyły; wysoki, szczupły facet w ciemnym ubraniu przyglądał mi się chłodno.

— Zastałem pana Jeetera? Starszego pana Jeetera?

— Czy zechciałby mi pan podać swoje nazwisko? Jego przesadny akcent angielski drażnił mnie jak rozrzedzona whisky.

— Filip Marlowe. Jestem przez niego zatrudniony. Może powinienem był skierować się do wejścia dla służby?

— Być może — rozluźnił palcem kołnierzyk od koszuli, spoglądając na mnie bez entuzjazmu. — Proszę wejść. Powiadomię pana Jeetera o pańskiej wizycie. O ile wiem, jest w tej chwili zajęty. Zechce pan poczekać tu, w hallu.

— Jest pan kiepskim aktorem — powiedziałem. — Angielscy lokaje trochę inaczej wymawiają literę h.

— Cwaniak, co? — warknął głosem zdradzającym wyraźnie, że pochodzi z tej strony Atlantyku. — Poczekaj pan chwilę.

Oddalił się.

Usiadłem na rzeźbionym krześle i poczułem ochotę na drinka. Lokaj nadszedł po chwili bezszelestnie i niezyczliwym ruchem brody kazał mi iść za sobą.

Pomaszerowaliśmy długim korytarzem, który przy końcu rozszerzał się przechodząc w oszkloną werandę. Lokaj otworzył szerokie drzwi położone na jej przeciwległej ścianie, wpuszczając mnie do dużego, owalnego pokoju, w którym na srebrno-czarnym owalnym dywanie stał na środku czarny marmurowy stół. Wokoło tuż pod ścianą były rzeźbione, twarde krzesła z wysokimi oparciami, a naprzeciw wielkie owalne lustro, w którego wypukłej powierzchni odbijałem się jako karzeł cierpiący na wodogłowie. Były też trzy osoby.

Obok drzwi położonych naprzeciw wejścia, którym zostałem wprowadzony, stał wyprostowany George w swym schludnym uniformie, trzymając w ręku szoferską czapkę z daszkiem. Najmniej niewygodne z krzeseł zajmowała panna Huntress; szklanka w jej dłoni była do połowy wypełniona. Po srebrnym obrzeżu owalnego dywanu przechadzał się szybkim, nerwowym truchtem

Jeeter-senior. Widać było, że jest wściekły, ale, choć z trudem, panuje nad sobą. Miał zaczerwienioną twarz. Obie ręce trzymał w kieszeniach aksamitnej bonzurki. Koszulę zdobiły szeroki czarny krawat i czarna perła. Jeden z jego lakierków był rozwiązany.

Odwrócił się na pięcie i wrzasnął na stojącego za mną lokaja:

— Wyjdź stąd i zamknij za sobą drzwi! Nie ma mnie teraz w domu dla nikogo, rozumiesz? Dla nikogo!

Lokaj zamknął drzwi. Zapewne odszedł. Nie dosłyszałem jego kroków.

George uśmiechnął się do mnie chłodno, półgębkiem. Panna Huntress rzuciła mi znad swej szklanki obojętne spojrzenie.

— Oto szczęśliwy powrót — powiedziała z przesadną uprzejmością.

— Ryzykowne było zostawiać mnie samego w swoim apartamencie — odparłem. — Mogłem zwędzić pani trochę perfum.

— No dobrze, czego pan chce? — burknął do mnie Jeeter. — Okazał się pan wspaniałym detektywem! Zlecam panu poufną sprawę, a pan idzie prosto do panny Huntress i wtajemnicza ją we wszystkie szczegóły.

— Przecież moja metoda okazała się skuteczna, no nie?

Spojrzał na mnie zdumiony. Wszyscy troje zaczęli mi się przyglądać.

— Skąd pan to wie? — warknął.

— Potrafię poznać porządną dziewczynę od pierwszego wejrzenia. Mówiła panu właśnie, że przestała jej się podobać poprzednia koncepcja i żeby pan już się nie martwił tą sprawą. Gdzie jest pan Gerald?

Jeeter zatrzymał się i zmierzył mnie nieprzychylnym wzrokiem.

— W dalszym ciągu uważam, że nie wywiązał się pan z powierzonego zadania. Mój syn znikł.

— Nie jestem pańskim pracownikiem. Zostałem zatrudniony przez Annę Halsey. Z wszelkimi ewentualnymi pretensjami powinien pan zwrócić się do niej. Czy mam sam nalać sobie drinka, czy też ma pan do tego celu specjalnego sługusa w purpurowej liberii? Co to znaczy, że pański syn znikł?

— Czy mam go wyrzucić, sir? — spokojnie spytał George.

Jeeter wykonał ręką gest w kierunku karafki, syfonu i szklanek, stojących na czarnym marmurowym stole, i na nowo podjął swój marsz wokół dywanu.

— Nie rób z siebie głupca — powiedział ostro do George'a.

Na policzkach szofera pojawiły się lekkie rumieńce. Zaciśnięte wargi nadały jego twarzy brutalny wyraz.

Nalałem sobie whisky i wody sodowej, usiadłem ze szklanką w rękę, wypilem łyk i ponowiłem swe pytanie:

— Co to znaczy, że pański syn znikł, panie Jeeter?

— Płacę panu grube pieniądze... — zaczął znowu na mnie wrzeszczeć z taką samą wściekłością.

— Od kiedy?

Gwałtownie przerwał swój marsz i znowu spojrzał w moim kierunku. Panna Huntress zaśmiała się cicho. George zmarszczył groźnie brwi.

— Cóż, pańskim zdaniem, mogę mieć na myśli mówiąc, że mój syn znikł? — powiedział ostro Jeeter. Wydawałoby się, że jest to zrozumiałe nawet dla pana. Nikt nie wie, gdzie się znajduje. Nie wiem tego ja. Nie wiem tego panna Huntress. We wszystkich lokalach, w których może być znany, nie ma nikogo, kto wiedziałby, gdzie się podziewa.

— Ale ja jestem mądrzejszy — powiedziałem. — Ja to wiem.

Przez długą minutę nikt się nie poruszył. Jeeter patrzył na mnie rybimi oczami. George przyglądał mi się z uwagą. Dziewczyna także. Wydawała się zbита z tropu. Tamci dwaj po prostu przyglądali mi się.

Zwróciłem wzrok w jej stronę.

— Czy zechce mi pani powiedzieć, dokąd pojechaliście po wyjściu z hotelu?

Jej ciemnoniebieskie oczy były przezroczyste jak woda.

— Nie ma w tym żadnej tajemnicy. Pojechaliśmy razem — taksówką. Geraldowi odebrano na miesiąc prawo jazdy. Zbyt często przekraczał szybkość. Pojechaliśmy w kierunku plaży i, jak pan zgadł, zmieniłam zdanie. Doszłam do wniosku, że jestem jednak naciągaczką. Nie zależało mi w gruncie rzeczy na pieniądzach Geralda. Chciałam się zemścić na obecnym tu panu Jeeterze za to, że zrujnował mojego ojca. Spowodował jego bankructwo, choć zrobił to, rzecz jasna, w sposób zgodny z prawem. Znalazłam się jednak w takiej sytuacji, że aby zrealizować swój plan zemsty, musiałabym postępować jak drobna naciągaczka. Powiedziałam więc Geraldowi, by znalazł sobie jakąś inną dziewczynę. Był wściekły i doszło między nami do kłótni. Kazałam kierowcy zatrzymać się i wysiadłam w Beverly Hills. On pojechał dalej. Nie wiem dokąd. Potem wróciłam do El Milano, wzięłam z garażu samochód i przyjechałam tutaj. Chciałam powiedzieć panu Jeeterowi, żeby zapomniał o całej sprawie i przestał nasyłać na mnie szpiclów.

— Mówi pani, że jechaliście taksówką — odezwałem się. — Dlaczego nie woził go George, skoro on sam nie mógł prowadzić wozu?

Mój wzrok był zwrócony w stronę dziewczyny, ale w gruncie rzeczy mówiłem nie do niej. Odpowiedział mi lodowatym tonem sam Jeeter.



— George przywiózł mnie oczywiście z biura. Gdy przyjechaliśmy tu, Geralda nie było już w domu. Czy to ma jakieś znaczenie?

Odwrociłem się w jego stronę.

— Owszem. Zaraz się okaże, że ma. Pan Gerald jest w El Milano. Powiedział mi to Hawkins, detektyw hotelowy. Wrócił tam, by zaczekać na pannę Huntress, Hawkins zaś wpuścił go do jej apartamentu. Hawkins zawsze gotów jest oddać komuś drobną przysługę za jedyne dziesięć dolarów. Może jest tam nadal, ale nie wiem na pewno.

W dalszym ciągu przyglądałem im się uważnie. Trudno było obserwować równocześnie całą trójkę. Ale nikt z nich się nie poruszył. Wszyscy pożerali mnie wzrokiem.

— No dobrze, miło mi to słyszeć — powiedział stary Jeeter. — Bałem się, że pojechał gdzieś się upić.

— Nie. Nigdzie nie pojechał się upić. Nawiasem mówiąc, czy telefonując do różnych lokali, żeby dowiedzieć się, czy go tam nie ma, zadzwonił pan też do El Milano?

George przytaknął ruchem głowy.

— Owszem. Ja dzwoniłem. Powiedziano mi, że go tam nie ma. Wygląda na to, że ten hotelowy szpicel uprzedził telefonistkę, by nic nie mówiła.

— To było zbyt ciche. Telefonistka po prostu połączyłaby w takim wypadku z apartamentem, a pan Gerald oczywiście nie podniósłby słuchawki.

Wpatrywałem się teraz w starego Jeetera z wielkim zainteresowaniem. Wiedziałem, że podjęcie tego tematu nie przyjdzie mu łatwo, ale byłem pewny, że musi to zrobić.

Podjął go — zwilżywszy uprzednio językiem wargi.

— Dlaczego uważa pan to za oczywiste, jeśli mogę zapytać? — odezwał się chłodno.

Odstawiłem swą szklankę na marmurowy stół i stanąłem pod ścianą, swobodnie zwiesiwszy ręce wzdłuż ciała. W dalszym ciągu usiłowałem obserwować całą trójkę.

— Cofnijmy się nieco wstecz — zacząłem. — Wszyscy znamy sytuację. Wiem, że zna ją George, chociaż będąc tylko szoferem nie powinien być o niej poinformowany. Wiem, że zna ją panna Huntress. I oczywiście pan ją zna, panie Jeeter. Zastanówmy się więc, czym dysponujemy. Dysponujemy całą masą nie pasujących do siebie faktów. Ale ja jestem sprytny i zamierzam mimo wszystko ułożyć je w logiczną całość. Przede wszystkim mamy garść fotokopii weksli, znajdujących się w posiadaniu Marty Estela. Gerald twierdzi, że ich nie

wystawiał, więc pan Jeeter nie zamierza płacić, ale daje je grafologowi nazwiskiem Arbogast, by stwierdził, czy wydają się autentyczne. Wydają się. Są autentyczne. Ale Arbogast zrobił też, być może, coś więcej. Nie wiem. Nie mogłem go o to zapytać. Gdy do niego przyszedłem, był martwy. Dostał trzy kule, jak słyszałem, kaliber 22. Nie, panie Jeeter, nie poinformowałem o tym policji.

Wysoki, siwy mężczyzna wydawał się ogromnie wstrząśnięty. Jego szczupłe ciało drżało jak trzcina.

— Nieżywy? — wyszeptał. — Zamordowany?

Spojrzałem na George'a. W jego twarzy nie drgnął żaden mięsień. Spojrzałem na dziewczynę. Z zaciśniętymi ustami siedziała spokojnie, czekając na dalszy ciąg.

— Jest tylko jeden powód, dla którego można przypuszczać, że jego zamordowanie miało jakikolwiek związek ze sprawą pana Jeetera. Został zastrzelony z pistoletu kaliber 22, a w tej sprawie występuje pewien człowiek posługujący się taką właśnie bronią.

W dalszym ciągu słuchali mnie uważnie, nie odzywając się.

— Nie mam zielonego pojęcia, dlaczego został zastrzelony. Nie był człowiekiem niebezpiecznym ani dla panny Huntress, ani dla Marty Estela. Był zbyt gruby, żeby działać bardzo aktywnie. Ja przypuszczam, że był trochę za sprytny. Zlecono mu prostą sprawę — zbadanie autentyczności podpisu, a on poszperał trochę na własną rękę i odkrył więcej, niż od niego oczekiwano. A potem odgadł pewne rzeczy, których zgadywać nie powinien, i być może próbował nawet drobnego szantażu. Wobec tego ktoś sprzątnął go dziś po południu z pistoletu kaliber 22. W porządku. Mało mnie to wzrusza. W ogóle go nie znałem.

Pojechałem więc do panny Huntress i po dłuższych targach z tym pazernym detektywem hotelowym udało mi się z nią zobaczyć. Rozmawialiśmy sobie przyjaźnie, kiedy pan Gerald wyszedł cicho ze swej kryjówki i zdzielił mnie w szczękę. Padając, uderzyłem głową w nogę fotela. A kiedy oprzytomniałem, pokój był pusty. Wobec tego pojechałem do domu.

Zastąpiłem tam faceta, który miał rewolwer kaliber 22, oraz pewnego półgłówka nazwiskiem Frisky Lavon, odznaczającego się nieświeżym oddechem i wielkim rewolwerem, co zresztą nie ma już żadnego znaczenia, gdyż został on zastrzelony dziś wieczorem przed pańskim domem, panie Jeeter, kiedy usiłował napaść na pasażerów pańskiego samochodu. Wie o tym policja, byli u mnie nawet w tej sprawie, bo ten drugi facet, który posługuje się

pistoletem 22, jest bratem tego półgłówka i sądząc, że to ja zabiłem, usiłował mnie zrobić. Ale mu się nie udało. Mamy więc już dwa morderstwa.

Przechodzimy teraz do trzeciego, które jest najważniejsze. Wróciłem do El Milano, bo wydało mi się, że lepiej będzie, jeśli pan Gerald przestanie od tej pory poruszać się sam po mieście jak gdyby nigdy nic. Odniosłem wrażenie, że ma trochę wrogów. Wydawało się nawet, że to on miał się znajdować w tym samochodzie, do którego strzelał wieczorem Frisky Lavon. Ale, oczywiście było to wyreżyserowane.

Stary Jeeter zmarszczył siwe brwi. Robił wrażenie zmieszanego. George nie wydawał się zakłopotany. Jego twarz była bez wyrazu — równie nieruchoma, jak oblicze drewnianego Indianina stojącego koło sklepu z cygarami. Dziewczyna przybladła nieco i wyglądała na odrobinę zdenerwowaną.

Wróciwszy do El Milano — brnąłem dalej — stwierdziłem, że Hawkins wpuścił Marty Estela i jego anioła stróża do apartamentu panny Huntress, gdzie czekali na jej powrót. Marty miał dla niej pewną wiadomość, że Arbogast został zamordowany. W tej sytuacji wydawało się wskazane, żeby zerwała z młodym Jeeterem, przynajmniej na jakiś czas, dopóki policja nie uspokoi się trochę. Ten Marty to rozsądny człowiek. O wiele rozsądniejszy, niż można by przypuszczać. Wiedział na przykład o istnieniu Arbogasta i o tym, że pan Jeeter był dziś rano w biurze Anny Halsey. Dowiedział się też jakoś — nie wykluczam możliwości, że Anna sama mu o tym powiedziała — że teraz ja mam zajmować się tą sprawą. Kazał więc komuś śledzić mnie, gdy jechałem do Arbogasta i po wyjściu od niego, a potem od swych przyjaciół w policji otrzymał wiadomość o zamordowaniu Arbogasta i wiedział, że ja nie zawiadomiłem o tym władz. Miał mnie więc w ręku, i to nas do siebie zbliżyło. Powiedziawszy mi to wszystko wyszedł, a ja znowu zostałem sam w apartamencie panny Huntress. Tylko że tym razem, bez żadnego powodu, zacząłem się po nim trochę rozglądać. I znalazłem młodego pana Geralda... w sypialni, w szafie.

Szybkim krokiem podszedłszy do dziewczyny, wyjąłem z kieszeni mały ozdobny rewolwer kaliber 25 i położyłem go na jej kolanach.

— Czy widziała to pani kiedykolwiek?

Głos miała dziwnie zdławiony, ale nie oderwała ode mnie niebieskich oczu.

— Tak. To mój rewolwer.

— Gdzie go pani trzyma?

— W szufladzie małego stolika, który stoi obok łóżka.

— Czy jest pani tego pewna?

Zastanowiła się. Obaj mężczyźni zastygli w bezruchu. Kącik ust George'a zaczął nerwowo drgać. Dziewczyna potrząsnęła nagle przecząco głową.

— Nie. Wydaje mi się, że wyjęłam go, by komuś pokazać, bo nie znam się dobrze na rewolwerach, i zostawiłam go na obramowaniu kominka w salonie. Tak, jestem prawie pewna, że tak było. Pokazywałam go właśnie Geraldowi.

— A więc mógł sięgnąć po ten rewolwer, gdyby ktoś usiłował zrobić mu coś złego?

Skinęła głową, wyraźnie zaniepokojona.

— Co pan miał na myśli mówiąc, że on jest w szafie? — spytała cichym, spokojnym głosem.

— Przecież pani wie. Wszyscy obecni w tym pokoju wiedzą, co mam na myśli. Wiedzą, że nie pokazywałbym pani tego rewolweru bez powodu. — Odszedłem od niej i zwróciłem się w kierunku George'a i jego szefa. — Nie żyje, rzecz jasna. Strzelono mu w serce... zapewne z tego rewolweru. Dlatego właśnie pozostawiono broń na miejscu.

Stary zrobił jeden krok, potem zatrzymał się i stał, opierając się o stół. Nie byłem pewien, czy pobladł, czy też był już taki blady przedtem. Osłupiałym wzrokiem wpatrywał się w dziewczynę.

— To tyś go zamordowała! — powiedział wolno przez zęby.

— A może to było samobójstwo? — spytałem drwiąco.

Odwrócił głowę, by na mnie spojrzeć. Widziałem, że moja koncepcja zainteresowała go. Niemal skinął głową.

— Nie — powiedziałem. — To nie mogło być samobójstwo.

To mu się mniej podobało. Jego twarz nabrzmiała krwią i żyłki na nosie stały się nieco grubsze. Dziewczyna dotknęła lekko leżącego na jej kolanach rewolweru, potem objęła dłonią kolbę. Zauważyłem, że jej kciuk przesuwają się wolno w kierunku bezpiecznika. Nie znała się dobrze na rewolwerach, ale wiedziała o nich przynajmniej tyle.

— To nie mogło być samobójstwo — powtórzyłem bardzo powoli. — Gdyby tylko to się zdarzyło — to może. Ale nie w połączeniu ze wszystkim innym. Arbogast, napad na Calvello Drive, tuż pod domem, rewolwerowcy nasłani na moje mieszkanie, zabójstwo popełnione z pistoletu kaliber 22.

Raz jeszcze sięgnąłem do kieszeni i wyjąłem pistolet Białonosego. Niedbale położyłem go na lewej dłoni.

— I może się to wydać dziwne, ale nie sędzę, żeby popełniono je z tej dwudziestki dwójki, choć jest to broń tego rewolwerowca. Owszem, mam

również jego samego. Leży związany w moim mieszkaniu. Wrócił, by mnie sprzątać, ale wyperswadowałem mu ten pomysł. Potrafię ładnie mówić.

— Ale trochę pan z tym przesadza — powiedziała dziewczyna chłodno, unosząc nieco rewolwer.

— Jasne jest, kto go zabił, panno Huntress — powiedziałem. — Jest to kwestia motywu i sposobności. Marty Estel tego nie zrobił i nikomu nie zlecił. W ten sposób pogrzebałby swoje szanse na otrzymanie pięćdziesięciu patyków. Nie zrobił tego również kumpel Frisky Lavona, bez względu na to, kto go wynajął, a mam wrażenie, że nie był to Marty Estel. Nie dostałby się do El Milano, a już na pewno nie wpuszczono by go do pani apartamentu. Ktokolwiek go zabił, był to człowiek, który widział w tym jakąś korzyść i miał sposobność dostać się tam, gdzie się to wydarzyło. No dobrze, kto mógł na tym skorzystać? Gerald miał za dwa lata otrzymać pięć milionów, które na razie znajdowały się w rękach wykonawców testamentu. Nie mógł zapisać nikomu tych pieniędzy, dopóki nie wszedł w ich posiadanie, Po jego śmierci otrzymałby je jego naturalny spadkobierca. Kto jest jego naturalnym spadkobiercą? Będzie pani zaskoczona. Czy wiedziała pani, że tu w Kalifornii i w paru innych, choć nie wszystkich, stanach można stać się czyimś naturalnym spadkobiercą w wyniku własnego postępowania? Po prostu adoptując kogoś, kto ma pieniądze, a nie ma spadkobierców?

W tym momencie George poruszył się. Jego ruch znowu był tak płynny, jak ruch zmarszczek, rozchodzących się po powierzchni wody. W dłoni załśnił mu matowym blaskiem Smith and Wesson — ale nie zrobił z niego użytku. Mały rewolwer w ręku dziewczyny wydał z siebie lekki trzask. Z muskularnej, brązowej dłoni George'a trysnęła krew, Smith and Wesson upadł na podłogę. George zaklął. Nie znała się dobrze na rewolwerach — nie bardzo dobrze.

— Oczywiście! — powiedziała ponuro. — George bez żadnych trudności mógł dostać się do mojego apartamentu, kiedy był tam Gerald. Jako szofer w liberii mógł wejść od strony garażu, wjechać windą i zapukać do drzwi. A kiedy Gerald je otworzył, sterroryzować go rewolwerem i kazać się cofnąć do wnętrza. Tylko skąd George wiedział, że Gerald jest u mnie?

— Musiał jechać za waszą taksówką — odparłem— Nie wiemy, co robił przez cały wieczór, po wyjściu ode mnie. Miał ze sobą wóz. Ustali to policja. Ile miałeś dostać z tych pieniędzy, George?

George stał w miejscu ściskając mocno lewą dłońią swój prawy przegub. Twarz wykrzywiła mu wściekłość. Nie odzywał się.

— George kazał Geraldowi cofnąć się do wnętrza, przykładając mu do piersi spluwę — ciągnęła znużonym głosem dziewczyna. — I wtedy dostrzegł mój rewolwer, leżący na gzymsie kominka. I uznał, że lepiej będzie posłużyć się tą właśnie bronią. Wprowadził więc Geralda do sypialni, położonej dalej od korytarza, kazał mu wejść do szafy i tam zastrzelił go spokojnie, a potem rzucił rewolwer na podłogę.

— Zabił też Arbogasta. Zastrzelił go z pistoletu kaliber 22, gdyż wiedział, że taką bronią posługuje się brat Frisky Lavona — o tym zaś był poinformowany, ponieważ to on wynajął obu braci, chcąc nastraszyć Geralda, by po jego śmierci podejrzenie padło na Marty Estela. Dlatego właśnie przywieziony tu zostałem dziś wieczorem wozem Jeetera, aby dwaj uprzedzeni i schowani w tym miejscu bandyci mogli odegrać swoją scenkę i ewentualnie mnie sprzątnąć, gdybym stawiał im zbyt duży opór. Tylko że George lubi zabijać. Popisał się pięknym strzałem i wpakował Frisky'emu kulę w twarz. Strzał był tak celny, że podejrzewam, iż wcale nie zamierzał go trafić. A jak było naprawdę, George?

Cisza.

Spojrzałem w końcu na starego Jeetera. Spodziewałem się, że on też sięgnie po rewolwer, ale nie zrobił tego. Stał z otwartymi ustami, opierając się o marmurowy stół i trzęsąc z przerażenia.

— Mój Boże! — szepnął. — Mój Boże!

— Nie wierzy pan wcale w Boga, tylko w pieniądze.

Drzwi za mną skrzypnęły lekko. Odwróciłem się na pięcie, ale mogłem sobie to darować.

— Ręce do góry, przyjacielu! — rozległ się twardy głos, w którym nie było śladu angielskiego akcentu.

Lokaj, ten sam bardzo angielski lokaj, stał w drzwiach z zaciśniętymi ustami i z rewolwerem w ręku. Dziewczyna niedbałym ruchem przechyliła nieco przegub i postrzeliła go w ramię czy też może gdzie indziej. Zakwiczął jak zarzynana świnia.

— Odejść, przeszkadzasz nam w rozmowie — powiedziała chłodno.

Rzucił się biegiem do ucieczki. Słyszeliśmy jego pospieszne kroki.

— Zaraz upadnie — powiedziała.

Miałem już teraz w ręku Lugera, jak zwykle nieco zbyt późno. Odwróciłem się z rewolwerem w dłoni.. Stary Jeeter trzymał się kurczowo stołu; twarz miał szarą, jak płyta chodnika. Kolana ugiwały się pod nim powoli. George stał bez ruchu, z owiniętą wokół przegubu chustką do nosa, i przyglądał mu się z cynicznym wyrazem twarzy.

— Niech pada — powiedziałem. — Należy mu się.

Upadł. Jego głowa przekrzywiła się nieco. Usta otworzyły się bezwładnie. Runął bokiem na dywan, przekręcił się trochę i uniósł kolana w górę. Z ust pociekło mu nieco śliny. Skóra nabrała odcienia fioletowego.

— Idź zadzwonić po policję, aniele — powiedziałem. — Ja ich trochę popilnuję.

— Dobrze — odparła wstając. — Ale muszę stwierdzić, że trzeba panu strasznie dużo pomagać przy wykonywaniu pańskiego zawodu prywatnego detektywa, panie Marlowe.

8

Siedziałem sam chyba przez dobrą godzinę. Jedno porysowane biurko stało na środku pokoju, drugie pod ścianą. Prócz tego znajdowała się tam mosiężna spluwaczka ustawiona na wycieracze, przymocowany do ściany policyjny głośnik, trzy zabite muchy, dwa twarde fotele z filcowymi wyściółkami i dwa twarde krzesła bez wyściółek. W pomieszczeniu unosiła się woń dymu z cygar i starej odzieży. Elektryczna lampa była ostatni raz odkurzana chyba w okresie pierwszej kadencji Coolidge'a.

Drzwi otworzyły się gwałtownie i weszli Finlayson z Seboldem. Sebold był równie niesympatyczny i tak samo wystrojony, jak poprzednio, Finlayson natomiast wydał mi się starszy, bardziej znużony i przygaszony. W ręku trzymał plik papierów. Usiadł za biurkiem naprzeciwko mnie i rzucił mi chłodne, niezbyt życzliwe spojrzenie.

— Faceci twojego pokroju wpadają w poważne kłopoty — powiedział kwaśno.

Sebold zasiadł pod ścianą, nasunął kapelusz bardziej na oczy, ziewnął i zerknął na swój nowy zegarek z nierdzewnej stali.

— Kłopoty to moja specjalność — odparłem. — Jakże inaczej zarobiłbym te parę centów?

— Powinniśmy cię właściwie przymknąć za tę historię z zatajaniem informacji. Ile zarobiłeś na całej sprawie?

— Zaangażowała mnie Anna Halsey, do której zwrócił się stary Jeeter. Myślę, że narobiłem tylko kłopotliwych długów.

Sebold posłał mi swój policyjny uśmiech. Finlayson zapalił cygaro; stwierdziwszy, że jeden z liści tytoniowych jest przedziurawiony, poślinił to miejsce i zaklepał je palcem. Ale i tak za każdym jego wdechem z boku cygara

wydobywała się smużka dymu. Podsunął w moją stronę leżące na biurku papiery.

— Podpisz trzy egzemplarze.

Podpisałem trzy egzemplarze.

Odebrał je ode mnie, ziewnął i zmierzwił swą siwą czuprynę.

— Stary miał atak apopleksji — powiedział. — Nic mu nie możemy zrobić. Kiedy odzyska przytomność, nie będzie chyba wiedział nawet, która godzina. Ten szofer, George Hasterman, po prostu śmieje się z nas. Szkoda, że jest ranny. Chętnie potrząsnąłbym nim trochę.

— To twardy facet — powiedziałem.

— Aha. W porządku, możesz na razie spływać.

Wstałem, kiwnąłem im głową i podszedłem do drzwi.

— No cóż, dobranoc, chłopcy.

Żaden się nie odezwał.

Wyszedłem z pokoju, dotarłem korytarzem do nocnej windy, zjechałem na dół i znalazłem się w hallu. Wybrałem wyjście od strony Spring Street i po chwili schodziłem po długich, pustych schodach. Wiał zimny wiatr. Na dole zapaliłem papierosa. Mój wóz wciąż jeszcze zaparkowany był przed rezydencją Jeetera. Już miałem ruszyć w kierunku taksówki, stojącej trochę dalej, po drugiej stronie ulicy, ale z zaparkowanego samochodu dobiegły mnie nagle słowa:

— Podejdź tu na chwilę.

— Był to męski, twardy, stanowczy głos. Głos Marty Estela. Dochodził z wielkiej limuzyny; na przednim siedzeniu dostrzegłem dwóch mężczyzn. Podszedłem bliżej. Tylne okno było opuszczone i na jego krawędzi Marty Estel oparł dłoń w rękawiczce.

— Wsiadaj. — Otworzył mi drzwi. Wsiadłem. Byłem zbyt zmęczony, by oponować. — Ruszaj, Skin.

Jechaliśmy na zachód. Ciemne ulice wydawały się niemal zupełnie spokojne, prawie czyste. Nocne powietrze było chłodne, choć nie wolne od zapachu spalin. Samochód wspiął się na wzgórze i zaczął nabierać szybkości.

— Co oni wiedzą? — spytał chłodno Estel.

— Nie powiedzieli mi. Jeszcze nie wydusili zeznań z tego szofera.

— Właściciela kilku milionów nie da się skazać za morderstwo w naszym wspaniałym mieście. — W tym momencie Skin zaśmiał się nie odwracając głowy. — Być może nie zobaczę już nigdy moich pięćdziesięciu kawałków... Ona cię lubi.



— Aha. I co z tego?

— Trzymaj się od niej z daleka.

— Co będę z tego miał?

— Istotne jest to, co będziesz miał, jeśli mnie nie posłuchasz.

— No tak, oczywiście — powiedziałem. — Zechciej łaskawie się wypchać, dobrze? Jestem zmęczony.

Zamknąłem oczy, skuliłem się w kącie samochodu i natychmiast zasnąłem. Zdarza mi się to czasem po okresie napięcia nerwowego.

Obudziłem się, bo czyjaś dłoń potrząsnęła moim ramieniem. Samochód stał w miejscu. Ujrzałem przez okno fasadę mojej kamienicy.

— Jesteś w domu — powiedział Marty Estel. — I pamiętaj, co mówiłem. Trzymaj się od niej z daleka.

— Dlaczego mnie tu podwiozłeś? Czy tylko po to, żeby mi to powiedzieć?

— Prosiła mnie, żebym się tobą zajął. Dlatego jesteś na wolności. Lubi cię. Ja lubię ją. Rozumiesz? Niepotrzebne ci są dalsze kłopoty.

— Kłopoty... — zacząłem i przerwałem. Ten dowcip już mi się znudził. — Dziękuję za podwiezienie... a poza tym mam was w nosie.

Odwróciłem się, wszedłem do bramy i wjechałem na górę.

Zamek w drzwiach był nadal obłuzowany, ale tym razem nikt na mnie nie czekał. Dawno już zabrali stąd Białonosego. Nie zamykając drzwi pootwierałem okna i stałem, wdychając zapach pozostawionych przez policjantów niedopałków cygar.

Zadzwoił telefon. Usłyszałem jej chłodny, opanowany, niemal pogodny głos, na którym wszystkie przeżycia nie zostawiły żadnego śladu. No cóż, zapewne sporo w życiu przeszła, zanim stała się właśnie taka.

— Witaj, chłopcze o brązowych oczach. Szczęśliwie dotarłeś do domu?

— Przywiózł mnie twój przyjaciel Marty. Kazał mi trzymać się od ciebie z daleka. Dziękuję z całego serca, o ile je w ogóle mam, ale nie dzwoń do mnie więcej.

— Wystraszył się pan, panie Marlowe?

— Nie. Ja zadzwonię do ciebie — powiedziałem. — Dobranoc, aniele.

— Dobranoc, brązowooki chłopcze.

Usłyszałem w słuchawce stuk. Odłożyłem ją, zamknąłem drzwi i rozłożyłem łóżko. Rozebrałem się i przez chwilę leżałem na nim w nocnym chłodzie.

Potem wstałem, zrobiłem sobie drinka, wziąłem prysznic i poszedłem spać.

Zmusili w końcu George'a do złożenia zeznań, ale przyznał się tylko częściowo. Twierdził, że podczas bójki o dziewczynę młody Jeeter chwycił

leżący na kominku rewolwer, on zaś próbował mu go wyrwać — i w czasie szarpaniny broń przypadkowo wystrzeliła. Wszystko to oczywiście wydawało się prawdopodobne — na łamach gazet. Nie udowodniono zabójstwa Arbogasta ani jemu, ani nikomu innemu. Nie znaleziono też nigdy rewolweru, z którego został zastrzelony — o ile nie była to broń Białonosego. Białonosy zniknął — nigdy nie dowiedziałem się gdzie. Nie mogli nic zrobić staremu Jeeterowi, bo już nie przyszedł do siebie po ataku. Leżał tylko na plecach, pod opieką pielęgniarek, i opowiadał wszystkim naokoło, w jaki sposób nie stracił ani centa podczas kryzysu.

Marty Estel dzwonił do mnie cztery razy, każąc mi trzymać się z daleka od Harriet Huntress. Było mi biedaka trochę żal. Przeżywał to naprawdę ciężko. Byłem z nią dwa razy w lokalu; dwukrotnie też siedzieliśmy razem u niej w domu, popijając jej whisky. Było to bardzo miłe, ale miałem na to za mało czasu, pieniędzy, eleganckich strojów i wytwornych manier. Potem znikła z El Milano, i jak słyszałem, przeniosła się do Nowego Jorku.

Byłem zadowolony, gdy wyjechała — mimo że nie przyszło jej nawet do głowy, żeby się ze mną pożegnać.

## Świadek oskarżenia

### 1

Było już po czwartej, kiedy skończyłem składać zeznania przed sądem i bocznymi schodami przemknąłem się do gabinetu Fenweathera. Fenweather, prokurator okręgowy, miał ostre, surowe rysy i siwe skronie, które tak podobają się kobietom.

— Sądzę, że uwierzyli — powiedział, bawiąc się leżącym na biurku piórem. — Prawdopodobnie dziś po południu Manny Tinnen zostanie formalnie oskarżony o zabójstwo Shannona. A jeśli tak, to od tej chwili radzę uważać na siebie.

Wetknąłem do ust papierosa, którego obracałem w palcach.

— Niech pan nie daje mi żadnej obstawy. Znam zupełnie nieźle różne zaułki tego miasta, a pańscy ludzie i tak nie mogliby trzymać się tak blisko mnie, żeby mi w razie czego pomóc.

Fenweather spojrział ku jednemu z okien.

— Jak dobrze zna pan faceta nazwiskiem Frank Dorr? — spytał, nie patrząc w moją stronę.

— Wiem, że to wielki politykier, kombinator, z którym musi się dogadać każdy, kto chce otworzyć szulernię czy burdel albo ma zamiar podpisać z władzami miejskimi kontrakt na uczciwą dostawę towarów.

— Zgadza się — powiedział ostro Fenweather, obracając się do mnie przodem. Zniżył nieco głos. — Wpadka Tinnena była dla wielu ludzi niespodzianką. Jeżeli Dorrowi zależało na pozbyciu się Shannona, który był prezesem rady, decydującej o przyznanych mu kontraktach, to sprawa ta dotyczy go wystarczająco, żeby był skłonny zaryzykować. A jak słyszałem, łączyły go z Tinnenem jakieś interesy. Na pańskim miejscu starałbym się mieć go trochę na oku.

— Pracuję w pojedynkę — powiedziałem, uśmiechając się z lekka. — Zasięg działalności Franka Dorra jest bardzo szeroki. Ale zrobię, co będę mógł.

Fenweather wstał i przez biurko wyciągnął do mnie rękę.

— Przez dwa dni nie będzie mnie w mieście — powiedział. — Jeśli Tinnen zostanie postawiony w stan oskarżenia, to dziś wieczorem wyjeżdżam. Niech pan będzie ostrożny. A gdyby coś się zdarzyło, proszę się zwrócić do Bernie Ohlsa, szefa mojej służby śledczej.

— Oczywiście — odparłem.

Uścisnęliśmy sobie ręce i wyszedłem, mijając po drodze sekretarkę, która spojrzała na mnie z sennym uśmiechem i poprawiła opadający jej na kark pukiel włosów. Kiedy dotarłem do swego biura, było trochę po wpół do piątej. Przed wejściem do małej poczekalni zatrzymałem się na chwilę, wpatrując się w drzwi. Potem otworzyłem je, wszedłem do środka i oczywiście nikogo nie zastałem.

W pokoju była tylko zniszczona stara czerwona kanapa, dwa byle jakie krzesła, kawałek dywanu i prosty stół, na którym leżało kilka starych czasopism.

Poczekalnię zostawiałem zawsze otwartą, by klienci mogli wejść, usiąść i poczekać — jeśli miałem akurat jakichś klientów i byli skłonni czekać.

Przeszedłem przez poczekalnię i przekręciłem klucz w drzwiach mojego gabinetu, na których widniał napis: „Filip Marlowe. Detektyw prywatny”.

Na krześle stojącym przy biurku naprzeciwko okna siedział Lou Harger. Dłońmi w jaskrawożółtych rękawiczkach ścisnął wygiętą rączkę laski; zielony kapelusz z opuszczonym rondem zsunięty miał na tył głowy. Wystawały spod niego gładkie, czarne włosy, opadające trochę zbyt nisko na kark.

— Cześć. Czekam na ciebie — powiedział z leniwym uśmiechem.

— Cześć, Lou. Jak się tu dostałeś?

— Drzwi były chyba otwarte. Albo może miałem klucz, który do nich pasował? Masz coś przeciwko temu?

Obszedłem biurko i usiadłem na obrotowym fotelu. Położywszy kapelusz na blacie, wziąłem z popielniczki grubą fajkę i zacząłem ją napychać.

— Nie mam nic przeciwko temu, kiedy chodzi o ciebie — odparłem. — Myślałem tylko, że mam lepszy zamek.

Jego pełne, czerwone wargi poruszyły się w uśmiechu. Był bardzo przystojnym chłopcem.

— Czy pracujesz dalej w swoim zawodzie, czy masz zamiar spędzić najbliższy miesiąc popijając w jakimś pokoju hotelowym w towarzystwie dwóch chłopców z Komendy?

— Pracuję dalej w swoim zawodzie — o ile masz akurat coś dla mnie.

Zapaliłem fajkę i rozsiadłem się wygodnie w fotelu, patrząc na jego jasnooliwkową twarz i proste, ciemne brwi.

Położył na biurku laskę i splótłszy ręce na szklanym blacie, wysunął wargi nieco do przodu.

— Mam coś dla ciebie. Nic wielkiego. Ale można zarobić na drobne wydatki.

Czekałem na ciąg dalszy.

— Dziś wieczorem chcę pograć w Las Olindas — powiedział. — U Canalesa.

— Tego Mulata?

— Aha. Mam wrażenie, że dopisze mi szczęście, i chciałbym, żeby towarzyszył mi facet ze spluwą.

Wyjąłem z górnej szuflady biurka nową paczkę papierosów i pchnąłem w jego kierunku po biurku. Lou wziął ją i zaczął otwierać.

— W co zamierzasz grać? — spytałem.

Wyjął papierosa do połowy i zaczął mu się uważnie przyglądać. W jego sposobie zachowania było coś, co mnie drażniło.

— Mój lokal jest od miesiąca zamknięty. Nie zarabiałem tyle, żebym mógł sobie pozwolić na prowadzenie go w tym mieście. Od zniesienia prohibicji policjanci zrobili się strasznie pazerni. Kiedy pomyślą, że mogliby żyć ze swoich pensji, mają złe sny.

— Prowadzenie lokalu nie kosztuje drożej u nas niż gdzie indziej — odparłem. — W dodatku tutaj płacisz wszystko jednemu. To i tak nieźle.

Harger gwałtownym ruchem wetknął papierosa do ust.

— Tak, Frankowi Dorrowi — warknął. — Przeklęty, tłusty krwiopijca!

Nie odezwałem się. Przekroczyłem już wiek, w którym człowiek lży tych, wobec których jest bezsilny. Przyglądałem się, jak Lou zapala papierosa stojącą na biurku zapalniczką.

— To dość zabawna historia — ciągnął dalej przez obłok dymu. — Canales kupił od jakichś kombinatorów pracujących w biurze szeryfa nową ruletę. Znam niezłe Pine, pierwszego krupiera Canalesa. Jest to ta ruleta, którą mnie zabrali. Ma ona pewne nawyki, a ja wiem, jakie.

— A Canales tego nie wie... To całkiem w jego stylu — powiedziałem.

— Tam bywa niezłe towarzystwo — mówił nie patrząc na mnie Lou. — Jest mały parkiet do tańca i meksykański kwintet, żeby klienci mogli się zrelaksować. Trochę sobie potańczą i zamiast z niesmakiem iść do domu, wracają do sali gry, żeby zostawić jeszcze, trochę forsy.

— Na czym polega twój plan? — spytałem.

— Chyba można określić to jako system — powiedział cicho, patrząc na mnie spod długich rzęs.

Odwrociłem od niego wzrok i rozejrzałem się po pokoju. Zobaczyłem rudoczerwony dywan, pięć zielonych kasetek na akta ustawionych w szereg pod reklamowym kalendarzem ściennym, w rogu stary wieszak na płaszcze, kilka orzechowych krzeseł, siatkowe firanki na oknach. Dolny brzeg firanek był trochę przybrudzony od tego stałego przeciągu. W smudze popołudniowego słońca na moim biurku widać było pyłki kurzu.

— A więc sytuacja przedstawia się następująco: twoim zdaniem masz sposób na tę ruletę i spodziewasz się wygrać tyle, że Canales będzie na ciebie wściekły. Chcesz więc wziąć ze sobą kogoś jako anioła stróża. Tym facetem mam być ja. Wszystko to wygląda podejrzanie.

— Nie ma w tym nic podejrzanego — odparł Lou. — Każda ruleta ma tendencję do obracania się według pewnego rytmu. A jeśli ktoś bardzo dobrze zna daną ruletę... '

Z uśmiechem wzruszyłem ramionami.

— W porządku, nie znam się na tym. Nie jestem aż takim specjalistą od rulety. Wydaje mi się, że jak frajer chcesz się nabrać na własny numer, ale mogę się mylić. Zresztą nie o to chodzi.

— A o co? — spytał niepewnym głosem Lou.

— Nie bardzo lubię grać rolę obstawy, ale i to być może nie jest najbardziej istotne. Zakładam, że mam być przekonany, że ta gra jest uczciwa. Przypuśćmy, że zmienię zdanie i wycofam się z wszystkiego, a ty znajdziesz się w kłopotcie?

Albo że według mnie wszystko będzie w porządku, ale Canales uzna, że jest inaczej, i zacznie jakąś awanturę?

— Dlatego właśnie potrzebuję faceta ze spluwą — powiedział Lou, niemal nie otwierając ust.

— Nawet jeśli jestem dość twardy, żeby sobie poradzić—ciągnąłem spokojnie — a tego wcale nie jestem pewien, to i tak martwi mnie jeszcze co innego.

— Zapomnij o tym — powiedział Lou. — I tak już jestem w rozpacz, słysząc, że się martwisz.

Uśmiechnąłem się jeszcze szerzej i obserwowałem logo żółte rękawiczki poruszające się z nieco zbyt wielkim ożywieniem po blacie biurka.

— Jesteś ostatni — powiedziałem wolno — który by postanowił zarabiać na życie właśnie w taki sposób. Ja zaś jestem ostatni, który nadawałby się do stania wtedy za twoimi plecami. To wszystko.

— No, tak — odezwał się Lou. Stracił nieco popiołu z papierosa na szklany blat biurka i pochylił się, by go zdmuchnąć. Po chwili ciągnął dalej, jak gdyby zaczynając nowy temat: — Będzie ze mną panna Glenn. To bardzo przystojna, wysoka eks-modelka o rudych włosach. Zrobi dobre wrażenie w każdym towarzystwie, i dzięki niej Canales nie będzie mi zaglądał przez ramię. Damy sobie radę. Przyszło mi na myśl, że lepiej będzie ci o niej powiedzieć.

— Sam cholernie dobrze wiesz — odezwałem się po minucie milczenia — że ledwie skończyłem opowiadać przysięgłem, że to właśnie Manny Tinnen wychylał się z samochodu, by przeciąć sznury na rękach Arta Shannona, kiedy spychali go na ulicę, naładowanego ołowiem.

Lou uśmiechnął się lekko.

— To ułatwi sprawę wielkim aferzystom, tym, którzy dostają kontrakty, a nie występują publicznie. Podobno ten Shannon był uczciwy i podporządkował sobie całą radę. Wredne zabójstwo.

Potrząsnąłem głową. Nie miałem ochoty rozmawiać o tej sprawie.

— U Canalesa zazwyczaj pełno różnej hołoty — powiedziałem. — I może nie przepada za rudymi.

Lou sztywno podniósł się z miejsca i zdjął laskę z biurka. Przyglądał się czubkowi jednego ze swych żółtawych palców. Wyraz jego twarzy był niemal senny. Potem, wymachując laską, ruszył w stronę drzwi.

— No cóż, do zobaczenia — wycedził wolno.

Odczekałem, aż położy rękę na klamce, i dopiero wtedy przerwałem milczenie.

— Nie miej do mnie żalu, Lou. Wpadnę do Las Olindas, jeżeli jestem ci koniecznie potrzebny. Ale nie wezmę za to forsy, i na miłość boską, nie zwracaj na mnie więcej uwagi, niż będzie to konieczne.

Nie patrząc w moim kierunku oblizwał wargi.

— Dziękuję, chłopcze. Będę ostrożny jak diabli.

Potem wyszedł; jego żółta rękawiczka zniknęła za krawędzią drzwi.

Siedziałem bez ruchu jakieś pięć minut; potem fajka zanadto mi się rozgrzała. Odłożyłem ją, zerknąłem na zegarek i wstałem, by włączyć małe radio, stojące w rogu obok biurka. Naprzód trochę szumiało, potem usłyszałem samą końcówkę sygnału i głos: „KU nadaje jak zwykle o tej porze wieczorny dziennik radiowy. Ważnym wydarzeniem dzisiejszego popołudnia była decyzja sądu o postawieniu w stan oskarżenia Maynarda J. Tinnena. Tinnen jest dobrze znanym w radzie miasta zakulisowym politykiem i bywalcem lokali. Podejmując szokującą dla licznych przyjaciół Tinnena decyzję o postawieniu go w stan oskarżenia, sąd oparł się niemal wyłącznie na zeznaniach...”

Telefon na moim biurku zadzwonił nagle.

— Jedną chwileczkę — zabrzmiał chłodny głos kobiety. — Będzie z panem rozmawiał pan Fenweather.

Zaraz potem rozległ się w słuchawce jego głos.

— Postawiony w stan oskarżenia. Radzę uważać.

Powiedziałem mu, że właśnie usłyszałem o tym przez radio. Rozmawialiśmy jeszcze przez chwilę, potem Fenweather pożegnał mnie, mówiąc, że musi natychmiast wyruszyć, aby zdążyć na samolot.

Raz jeszcze wygodnie rozsiadłem się w fotelu. Słuchałem radia, ale głos nie bardzo do mnie docierał. Myślałem o tym, jakim okropnym głupcem jest Lou Harger, i o tym, że nie jestem w stanie nic zrobić, aby to zmienić.

## 2

Jak na wtorek, lokal był dość pełny; nikt jednak nie tańczył. Około dziesiątej małej, pięcioosobowej orkiestrze znudziło się granie w kółko rumb, na które nikt nie zwracał uwagi. Ksylofonista odłożył pałeczki i wyjął spod krzesła szklanę. Pozostali muzycy zapalili papierosy i siedzieli beczynn timer. Na ich twarzach malowało się znużenie.

Opierałem się bokiem o bar, ulokowany po tej samej stronie sali, co podium dla orkiestry. Obracałem w palcach stojącą na nim szklaneczkę tequili. Gra

toczyła się głównie przy jednym ze stołów do rulety, ustawionym w środku pomiędzy dwoma innymi.

Stojący naprzeciw mnie barman pochylił się nad ladą w moją stronę.

— Ta ruda chyba nieźle ich oskubała — powiedział.

Nie patrząc na niego przytaknąłem ruchem głowy.

— Stawia teraz całe garście sztonów — powiedziałem. — Nawet nie liczy.

Dziewczyna była wysoka. Widziałem jej błyszczące, miedziane włosy pomiędzy głowami stojących za nią ludzi. Tuż obok lśniła gładka czupryna Lou Hagera. Zauważyłem, że wszyscy grają na stojąco.

— Nie gra pan? — spytał mnie barman.

— We wtorki nie. Kiedyś we wtorek kiepsko mi się powiodło.

— Tak? Pije pan samą tequilę czy trochę ją panu wygładzić?

— Czym ją wygładzić? — spytałem. — Chyba tylko heblem.

Uśmiechnął się. Wypiłem jeszcze łyk i skrzywiłem się.

— Ktoś musiał sobie zadać sporo trudu, żeby wymyślić to świństwo, no nie?

— Nie wiem, proszę pana.

— Jaka jest maksymalna stawka przy tym stole?

— Tego też nie wiem. Myślę, że to zależy od szefa.

Stoły do rulety stały rzędem pod przeciwległą ścianą. Niska metalowa barierka łączyła ze sobą krawędzie stołów utrzymując grających po zewnętrznej stronie.

Przy środkowym stole rozgorzał jakiś spór. Kilka osób, które grały dotąd przy pozostałych ruletach, podeszło do niego, zabierając ze sobą swe sztony.

Nagle dobiegł nas stamtąd donośny, wyraźny, bardzo uprzejmy głos z lekkim cudzoziemskim akcentem: — Proszę jeszcze o chwilę cierpliwości, madame... Pan Canales zaraz tu będzie.

Podszedłem bliżej i docisnąłem się do barierki. Blisko mnie stali obok siebie dwaj krupierzy, patrząc w bok. Jeden z nich przesuwiał powoli swe grabki po stole, obok nieruchomej tarczy rulety. Z uwagą przyglądali się dziewczynie.

Miała na sobie wytworną, czarną wieczorową suknię, odsłaniającą gładkie, białe ramiona. Była trochę mniej niż piękna; trochę więcej niż ładna. Stała naprzeciw rulety, oparta o krawędź stołu. Jej długie rzęsy trzepotały gwałtownie. Leżał przed nią wielki stos pieniędzy i sztonów.

Mówiła monotonnym głosem, jak gdyby powtarzała to samo po raz któryś z rzędu:

— Zamiast stać beczynnienie, puść pan w ruch tę ruletę! Spieszycie się z zabieraniem czyichś pieniędzy, ale nie lubicie ich wyplącać.



Zatrudniony przy stole krupier uśmiechnął się chłodno, spokojnie. Był wysoki, ciemny, obojętny.

— Stół nie jest w stanie pokryć pani stawki — po wiedział wyraźnym, beznamiętnym głosem. — Chyba, że pan Canales... — wzruszył lekko ramionami.

— To wasze pieniądze! — powiedziała dziewczyna. — Czy nie chcesz ich odzyskać?

Stojący obok Lou Harger oblizwał wargi, położył dłoń na jej ramieniu i z przejęciem spojrzął na stos pieniędzy.

— Poczekaj na Canalesa.. — zaczął.

— Do diabła z Canalesem! Mam dobrą passę i nie chcę jej przerywać!

Drzwi obok rzędu stołów otworzyły się i wszedł drobny, bardzo blady mężczyzna. Miał proste, matowe włosy, wysokie, kościste czoło i nieprzeniknione, pozbawione wyrazu oczy. Jego cienki wąsik przycięty był w dwie ostre kreski, tworząc niemal kąt prosty i dochodzące poza kąciki ust, co nadawało jego twarzy egzotyczny wygląd. Cera odznaczała się głęboką, lśniąca bledością.

Przesunąwszy się za plecami krupierów stanął w rogu środkowego stołu, zerknął na rudowłosą dziewczynę i dotknął swych wąsów dwoma palcami, których paznokcie miały lekko fioletowy odcień.

Uśmiechnął się nagle — i w sekundę później wyglądał znów jak człowiek, który nigdy w życiu się nie uśmiechnął. Matowym, ironicznym głosem powiedział:

— Dobry wieczór, panno Glenn. Zgodzi się pani chyba, że ktoś z moich ludzi odprowadzi panią bezpiecznie do domu. Byłoby mi przykro, gdyby te pieniądze trafiły do niewłaściwych kieszeni.

Ruda dziewczyna spojrzała na niego niezbyt życzliwie.

— Nie wychodzę jeszcze, chyba że mnie pan wyrzuci.

— Nie? — spytał Canales. — A co pani zamierza zrobić?

— Zagrać o całość... czarnuchu!

Gwar ucichł nagle; zapanowała śmiertelna cisza. Nie mącił jej żaden szept, żaden dźwięk. Oblicze Lou Hagera z wolna nabrało barwy kości słoniowej.

Twarz Canalesa była zupełnie pozbawiona wyrazu. I lekkim ruchem podniósł rękę, wyjął z kieszeni smokingu duży portfel i rzucił go na stół tuż przed wysokim krupierem.

— Dziesięć patyków — powiedział tępym, zgrzytliwym głosem. — Taka jest u mnie najwyższa stawka — zawsze.

Wysoki krupier wziął portfel, otworzył go, wyjął dwa płaskie pliki nowych banknotów, złączył je ze sobą, złożył portfel i przesunął po krawędzi stołu w kierunku Canalesa.

Canales nie wyciągnął po portfel ręki. Wszyscy oprócz krupiera zastygli w bezruchu.

— Stawiam na czerwone — powiedziała dziewczyna.

Krupier, pochylony nad stołem bardzo skrupulatnie ułożył stos z jej pieniędzy i sztonów. Potem umieścił jej stawkę na czerwonym czworokącie. Dotknął dłonią koła rulety.

— Jeśli państwo nie mają nic przeciwko temu — powiedział Canales, nie patrząc na nikogo — zagramy we dwójkę.

Głowy poruszyły się. Nikt się nie odezwał. Krupier zakreślił kołem i lekkim ruchem lewej ręki wrzucił do rowka kulkę, która zaczęła ślizgać się po jego powierzchni. Potem cofnął dłonie i umieścił je w widocznym dla wszystkich miejscu, na krawędzi stołu.

Oczy rudej dziewczyny załśniły. Powoli rozchyliła wargi.

Kulka przesuwała się w wyżłobieniu, przeskoczyła jeden z lśniących metalowych rombów, zsunęła się po krzywiznie koła i zagrzechotała po ząbkach otworów obok numerów. Nagle, z suchym trzaskiem zatrzymała się. Leżała tuż obok dwu zer, na czerwonym polu oznaczonym numerem dwadzieścia siedem. Koło przestało się kręcić.

Krupier podniósł grabki, powoli przesunął dwa pliki banknotów w kierunku stawki i zepchnął wszystko w stronę dziewczyny.

Canales włożył portfel do wewnętrznej kieszeni smokinga, odwrócił się, wolno podszedł do drzwi i opuścił salę.

Rozluźniłem uchwyt swych palców, ściskających kurczowo barierkę. Goście ruszyli tłumnie w kierunku baru.

Kiedy odnalazł mnie Lou, siedziałem w rogu, przy małym, wykładanym kaflami stoliku, sącząc powoli następną tequilę. Orkiestra grała jakieś niemrawe tango; po parkiecie przesuwała się nieśmiało jedna para.

Lou miał na sobie kremowy płaszcz z podniesionym kołnierzem, spod którego wystawał szal z białego jedwabiu. Jego twarz promieniała starannie

skrywanym zadowoleniem. Tym razem nosił białe rękawiczki ze świńskiej skóry; położył jedną z nich na stole i pochylił się w moją stronę.

— Przeszło dwadzieścia dwa tysiące — powiedział cicho. — Bracie, co za wygrana!

— To ładna sumka, Lou. Jakim samochodem tu przyjechałeś?

— Czy coś ci się nie podobało?

— W grze? — wzruszyłem ramionami, bawiąc się szklanką. — Nie znam się na rulecie, Lou... Nie podobały mi się bardzo manieri tej twojej dziwki.

— Ona nie jest dziwką — zaprotestował Lou. W jego głosie zabrzmiał niepokój.

— Okey. Canales wydawał się przy niej lordem. Jaki samochód?

— Czterodrzwiowy zielony Buick. Ma dwa wielkie przednie reflektory i takie małe światełka wystające ze zderzaków. — Nadal wydawał się zaniepokojony.

— Jedź raczej wolno przez miasto — powiedziałem. — Żebym miał szansę przyłączenia się do kawalkady.

Zjął rękawiczkę ze stolika i odszedł. Nigdzie nie dostrzegłem rudowłosej dziewczyny. Spojrzałem na zegarek. Gdy podniosłem wzrok, po drugiej stronie stolika stał Canales. Jego pozbawione wyrazu oczy spoglądały na mnie sponad niezwykle wąsów.

Nie podoba się panu mój lokal — powiedział.

— Wręcz przeciwnie.

— Nie przyszedł pan tu, żeby grać. — Było to nie pytanie, lecz stwierdzenie.

— Czy to obowiązkowe? — spytałem żartobliwie.

Przez twarz przesunął mu się ledwo widoczny uśmiech. Pochylił się nieco ku mnie.

— Myślę, że jest pan detektywem — powiedział. — Sprytnym detektywem.

— Po prostu prywatnym tajniakiem — odparłem. — I nie bardzo byстрыm. Niech pana nie zmyli moje wysokie czoło. To u nas rodzinne.

Canales splótł palce na oparciu krzesła, ściskając je mocno.

— Nie przychodź pan tu nigdy więcej, w żadnej sprawie — powiedział cichym, niemal rozmarzonym głosem. — Nie lubię szpiclów.

Wyjąłem papierosa z ust i przyjrzałem mu się dokładnie, zanim podniosłem wzrok.

— Słyszałem, jak przed chwilą został pan obrażony. Zniósł pan to bardzo dobrze... Tym razem puścimy więc pańskie słowa mimo uszu.

Na jego twarzy pojawił się na chwilę wyraz zaskoczenia. Potem odwrócił się i odszedł, kołysząc lekko ramionami. Stawiał stopy płasko i wyraźnie odchyłał je na zewnątrz. W jego chodzie, podobnie jak w twarzy, było coś negroidalnego.

Wstałem i przez duże podwójne białe drzwi wyszedłem do ciemnego hallu; odebrałem z szatni płaszcz i kapelusz i ubrałem się. Kolejne podwójne drzwi wyprowadziły mnie na szeroką werandę. W powietrzu unosiła się nadmorska mgła, osiadająca w postaci kropel wody na powyginanych przez wiatr cyprysach przed domem. Widać stąd było spory kawałek trawnika, łagodnie schodzący w dół, w ciemność. Morze kryła warstwa mgły.

Mój samochód zaparkowany był na ulicy, po drugiej stronie domu. Nasunawszy kapelusz na oczy bezgłośnie przeszedłem po wilgotnym mchu, porastającym podjazd, skręciłem za róg werandy i zastygłem w bezruchu.

Stojący tuż przede mną mężczyzna miał w ręku rewolwer — ale nie widział mnie. Trzymana na wysokości bioder broń przyciśnięta była do tkaniny płaszcza i w dużej dłoni mężczyzny wydawała się bardzo mała. Lufa świeciła matowym blaskiem, który zdawał się pochodzić z mgły, być jej częścią. Facet był potężny i stał zupełnie nieruchomo, wspinając się lekko na palce.

Uniosłem bardzo powoli prawą rękę, odpiąłem dwa górne guziki płaszcza i wyjąłem spod niego długi rewolwer kaliber 38 z sześciocalową lufą. Wsunąłem go do bocznej kieszeni płaszcza.

Stojący przede mną facet poruszył się, podniósł lewą rękę w kierunku twarzy. Zaciągnął się ukrytym w dłoni papierosem; jego blask ukazał mi na chwilę masywną szczękę, szerokie nozdrza i kanciasty, agresywny nos — nos człowieka nawykłego do bójk.

Potem upuścił papierosa, przydepnął go, i w tym samym momencie usłyszałem tuż za sobą niewyraźny odgłos szybkich, lekkich kroków. Nie zdążyłem już się odwrócić.

Coś świsnęło za mną i zgasłem jak zdmuchnięta świeca.

Gdy odzyskałem przytomność, byłem przemoczony, zmarznięty i odczuwałem piekielny ból głowy. Za lewym uchem namacałem miękki guz i stwierdziłem, że nie leje się z niego krew. Ogłuszono mnie przy pomocy pałki.. Podniosłem się na nogi i stwierdziłem, że leżałem poprzednio o kilka kroków od podjazdu, pomiędzy dwoma drzewami pokrytymi kropelkami mgły. Tyły butów miałem lekko zabłocone. Odciągnięto mnie od ścieżki, ale niezbyt daleko.

Zbadałem zawartość kieszeni. Rewolweru oczywiście brakowało, ale poza nim wszystko było na miejscu. Zniknęła tylko moja broń — i wrażenie, że cała ta wycieczka jest jednym pasmem przyjemności.

Przez chwilę rozglądałem się wokół we mgle, ale nie znalazłem nic ciekawego i nikogo nie dostrzegłem; dałem więc spokój poszukiwaniom i wzdłuż ślepej ściany budynku doszedłem do kręgu palm przy słabo oświetlonym wejściu do wąskiej alejki, bo tam postawiłem mój stary samochód, kabriolet Marmon, model 1925, służący mi ciągle jeszcze jako środek lokomocji. Wytarłem ścierką siedzenie, wsiałem do wozu, zmusiłem silnik do zapalenia się i z warkotem dojechałem do pustej, szerokiej ulicy, której środkiem biegły beużyteczne szyny tramwajowe.

Dotarłem nią do Bulwaru De Cazens, głównej ulicy Las Olindas nazwanej tak od człowieka, który dawno temu wybudował dom należący dziś do Canalesa. Po chwili znalazłem się w mieście; mijalem kolejno różne domy, wymarłe sklepy, nocną stację benzynową, aż dotarłem w końcu do otwartego o tej porze drugstoru. Zaparkowałem za stojącą przed wejściem elegancką limuzyną, wysiadłem z samochodu i spostrzegłem, że przy ladzie siedzi jakiś mężczyzna bez kapelusza, zagadany z ubranym w niebieski kitel sprzedawcą. Wydawali się zatopieni w rozmowie. Ruszyłem w kierunku, drzwi, potem zatrzymałem się i raz jeszcze spojrzałem na elegancką limuzynę.

Był to czterodrzwiowy Buick, w kolorze, który przy świetle dziennym mógł być zielony. Miał dwa wielkie przednie reflektory i dwa owalne żółte światelka na niklowanych drążkach przyśrubowanych do przednich zderzaków. Szyba po stronie siedzenia kierowcy była

opuszczona. Wróciłem do Marmona, wziąłem ręczną latarkę, a następnie sięgnąwszy do wnętrza Buicka, przekręciłem w swoją stronę uchwyt, w którym znajdował się dowód rejestracyjny. Oświetliłem go przez moment latarką.

Samochód zarejestrowany był na nazwisko Louis M. Harger.

Zostawiłem latarkę i wszedłem do drugstoru. Pod jedną z bocznych ścian znajdowało się stoisko z alkoholami; subiekt w niebieskim kitlu sprzedał mi flaszkę żytniówki, którą postawiłem na ladzie i zacząłem otwierać. Przy kontuarze było dziesięć stołków, ja jednak usiałem tuż obok człowieka bez kapelusza, zaczął bardzo uważnie przyglądać mi się w wiszącym naprzeciw nas lustrze.

Zamówiłem niepełną filiżankę czarnej kawy i dolałem sobie sporo żytniówki. Wypiwszy to, odczekałem jakąś minutę, aż poczułem rozgrzewający efekt. Potem przyjrzałem się swemu sąsiadowi.

Jakieś dwadzieścia osiem lat, nieco przerzedzone włosy, czerstwa, rumiana twarz, wzbudzające zaufanie oczy i przybrudzone ręce. Robił wrażenie człowieka, który nie zarabia wiele. Miał na sobie szarą, prążkowaną wełnianą kurtkę z metalowymi guzikami i nie pasujące do niej sportowe spodnie.

— To pańskie pudło przed sklepem? — spytałem i cicho obojętnym głosem.

Siedząc nieruchomo mocno zacisnął usta. Z trudem oderwał w lustrze wzrok od moich oczu.

— Mojego brata — odpowiedział po chwili.

Napijemy się? — spytałem. — Twój brat jest moim starym przyjacielem.

Z wolna skinął głową, przełknął ślinę, wyciągnął rękę i chwyciwszy w końcu butelkę wzmocnił swą kawę jej zawartością. Wypił ją duszkiem. Potem wyjął pogniecione pudełko papierosów, wetknął jednego w usta, dwukrotnie bez powodzenia potarł zapalną o paznokcie swego kciuka, zapalił ją wreszcie na blacie i wciągnął dym ze źle udawaną nonszalancją, która, jak wiedział, nie zrobiła na mnie żadnego wrażenia.

Pochyliłem się w jego stronę.

— Niekoniecznie musi być z tego afera — powiedziałem łagodnie.

— Tak... — mruknął. — O co chodzi?

Sprzedawca przysunął się bokiem w naszą stronę.

Zamówiłem jeszcze jedną kawę. Gdy mi ją podał, zacząłem się w niego wpatrywać; robiłem to aż do momentu, kiedy odszedł i stanął przed szybą wystawową, odwrócony do nas tyłem. Doprawiłem swą drugą filiżankę kawy i trochę z niej wypilem.

— Właściciel tego samochodu nie ma brata — powiedziałem, przyglądając się plecami sklepiarza.

Starał się panować nad sobą, odwrócił się jednak w moją stronę.

— Myślisz, że to kradziony wóz?

— Nie.

— Nie myślisz, że go ukradłem?

— Nie — odparłem. — Chcę tylko, żebyś opowiedział mi całą historię.

— Jesteś detektywem?

— Tak, ale nie martw się, to nie jest przesłuchanie.

Zaciągnął się mocno papierosem, grzebiąc łyżeczką w swej pustej filiżance.

— Mogę przez to wylecieć z pracy — powiedział powoli. — Ale potrzebowałem tych stu dolców. Jestem kierowcą taksówki.

Domyśliłem się tego — odparłem.

Wydał się tym zaskoczony. Odwrócił głowę i przyjrzał im się uważnie.

Napij się jeszcze trochę i skończmy z tą sprawą — powiedziałem. — Złodzieje samochodów nie stawiają ich na głównej ulicy i nie przesiadują potem w drugstorach.

Sprzedawca odszedł od wystawy i zaczął się kręcić koło nas, wycierając ścierką dzbanek do kawy. Zapadło kłopotliwe milczenie. Sklepiarz odłożył swą ścierkę, przeszedł na zaplecze, za przepierzenie, i zaczął ostentacyjnie gwizdać jakąś melodię.

Mój sąsiad nalał sobie jeszcze trochę alkoholu i wypił, kiwając do mnie porozumiewawczo głową.

— Posłuchaj. Przywiozłem pasażera i miałem na niego czekać. Podjechał do mnie Buick, w którym był jakiś facet z dziewczyną. Zaproponował mi stówę za to, że pożyczę mu czapkę i pozwolę doprowadzić moją gablotę do centrum miasta. Miałem czekać przez jakąś godzinę, a potem odstawić jego wóz pod hotel Carillon, na Towne Boulevard. Powiedział, że będzie tam już czekał na mnie mój samochód. Dał mi stówę.

— A wyjaśnił, po co to wszystko?

— Mówił, że byli w domu gry i dla odmiany dopisało im szczęście. Bał się, że ktoś może napaść na nich w drodze do miasta. Twierdził, że grę zawsze obserwują specjaliści.

Wziąłem papierosa z jego paczki i rozprostowałem go w palcach.

— Cóż, ta historia wydaje mi się dość prawdopodobna — stwierdziłem. — Mogę zobaczyć twoje dokumenty?

Podał mi je. Nazywał się Tom Sneyd i był kierowcą przedsiębiorstwa taksówkowego Grenn Top. Zakorkowi wałem swą butelkę, wsunąłem ją do kieszeni płaszcza i rzuciłem na ladę półdolarówkę.

Sprzedawca podszedł do nas i wydał mi resztę. Niemal trząsał się z ciekawości.

— Chodźmy, Tom — powiedziałem, gdy stał tuż przede mną. — Pojedziemy po tę taksówkę. Nie musisz już chyba dłużej czekać.

Wyszliśmy z lokalu i w ślad za Buickiem wyjechałem spośród porzucanych z rzadka świateł Las Olindas, a potem przez małe nadbrzeżne osady, gdzie niewielkie domki stały na piaszczystych skrawkach ziemi tuż przy morzu, a większe bardziej w głębi lądu, na stokach pagórków. Tu i ówdzie jaśniało światło w jakimś oknie. Opony wydawały śpiewny odgłos na mokrym betonie; małe pomarańczowe światełka na zderzakach Buicka mrugały do mnie na zakrętach.

W West Cimarron zostawiliśmy morze z boku i z warkotem silników przemknąwszy przez Canal City dotarliśmy do skrótów na San Angelo. Droga do hotelu Carillon, mieszczącego się pod numerem 5640 na Towne Boulevard, zajęła nam blisko godzinę. Był to wielki, pokryty dachówką budynek o nieregularnym kształcie, z podziemnym garażem i fontanną od frontu, którą wieczorem podświetlano bladozielonym reflektorem. Przed hotelem na przeciwległej, nieoświetlonej stronie ulicy stała taksówka numer 469, należąca do przedsiębiorstwa Green Top. Nie dostrzegłem na niej śladów kul. Tom Sneyd znalazł swą czapkę i czym prędzej wsunął się za kierownicę.

— Widzisz teraz, że mówiłem prawdę, co? Czy mogę już jechać? — spytał z wyraźną ulgą.

Powiedziałem, że nie mam nic przeciwko temu, i wręczyłem mu swoją kartę. Gdy znikł za rogiem, było dwanaście po pierwszej. Wsiadłem do Buicka, zjechałem nim po pochylni do garażu i oddałem klucze młodemu Murzynowi, który nie spiesząc się odkurzał stojące tam samochody. Potem wróciłem na ulicę i wszedłem do hallu.

Recepcjonista, młody człowiek o wyglądzie ascety, siedział przy świetle centrali telefonicznej zaczytany w „Orzeczeniach Trybunału Apelacyjnego Stanu California”. Poinformował mnie, że Lou jest nieobecny i że nie było go w hotelu od godziny jedenastej, kiedy przejął służbę. Po krótkiej dyskusji na temat późnej pory i ważności mojej sprawy zgodził się zatelefonować do numeru, ale nikt nie podniósł słuchawki.

Wyszedłem z hotelu i przez kilka minut siedząc w moim wozie paliłem papierosa i popijałem swą żytniówkę. Potem wróciłem do hotelu i zamknąłem się w kabinie telefonicznej. Nakręciłem numer dziennika, „Telegram”, poprosiłem o połączenie z działem miejskim i spytałem, czy jest Von Ballin,

— Ciągle jeszcze chodzisz po mieście? — zawołał, poznawszy mój głos. — To gotowy temat na artykuł. Myślałem, że przyjaciele Tinnena zdążyli cię już sprzątnąć.

— Przestań pleść i posłuchaj — powiedziałem. — Czy znasz faceta nazwiskiem Lou Harger? Hazardzista. Miesiąc temu policja nakryła i zamknęła mu lokal.

Von Ballin powiedział, że nie zna go osobiście, ale wie, kto to jest.

— Kto w tym twoim brukowcu może go znać naprawdę dobrze?

Zastanawiał się przez chwilę.

— Jest tu taki jeden, Jeny Cross, uchodzi za eksperta od nocnego życia. Czego chcesz się dowiedzieć?



— W jakim lokalu Lou oblewałby swój sukces? — odparłem. Potem opowiedziałem mu całą historię, ale niezbyt dokładnie. Pomiąłem ten fragment, w którym zostałem ogłuszony pałką, a także całą przygodę z tą taksówką.

— Nie pokazał się dotąd w swoim hotelu — zakończyłem. — A ja chcę się z nim skontaktować.

— No cóż, skoro przyjaźnisz się z tym Hargerem...

— Z nim, ale nie z jego kumplami — powiedziałem stanowczo.

Von Ballin przerwał na chwilę naszą rozmowę, wrzasnął na kogoś, by odebrał telefon, a potem trzymając słuchawkę blisko ust odezwał się cicho: — Powiedz mi całą prawdę, stary.

— W porządku. Ale mówię ją tobie, a nie twojej szmacie. Po wyjściu z meliny Canalesa dostałem w łeb i zabrano mi rewolwer. Lou z dziewczyną wymienili swój samochód ze spotkanym po drodze taksówkarzem. Potem znikli. Nie bardzo mi się to wszystko podoba. Lou nie był na tyle pijany, żeby szwendać się po mieście z taką kupą forsy w kieszeni. A nawet gdyby był, nie pozwoliłaby mu na to ta dziewczyna. Wydawała mi się bardzo przytomna.

— Zobaczę, co się da zrobić — powiedział Von Ballin. — Ale nie wygląda to bardzo obiecująco. Zadzwoń do ciebie.

Powiedziałem mu, że mieszkam w Merritt Plaza, na wypadek, jeżeli zapomniał, wyszedłem z hotelu i znowu wsiadłem do auta. Pojechałem do domu, przez piętnaście minut robiłem sobie gorące okłady na głowę, a potem siedziałem w piżamie, popijając gorącą whisky z sokiem cytrynowym, i telefonowałem co jakiś czas do hotelu Carillon. O wpół do trzeciej zadzwonił do mnie

Von Balin, żeby mi powiedzieć, że niczego się jeszcze nie dowiedział. Lou nie został aresztowany, nie leży w szpitalu i nie pokazał się w żadnym z klubów, które przysły do głowy Crossowi.

O trzeciej dzwoniłem po raz ostatni do hotelu Carillon. Potem zgasilem światło i poszedłem spać.

Rano sytuacja wyglądała tak samo. Usiłowałem jakoś odszukać rudą dziewczynę. W książce telefonicznej było dwadzieścia osiem osób nazwiskiem Glenn, w tym trzy kobiety. Pierwsza nie odbierała telefonu, dwie pozostałe zapewniły mnie, że nie są rude. Jedna wyraziła gotowość przekonania mnie o tym.

Ogoliłem się, wziąłem tusz, zjadłem śniadanie, wyszedłem z domu i minąwszy trzy przecznice dotarłem do budynku, w którym miałem swe biuro.

W mojej poczekalni siedziała panna Glenn.

5

Otworzyłem drzwi do gabinetu; panna Glenn weszła i zajęła ten sam fotel, na którym poprzedniego popołudnia siedział Lou. Uchyliłem okno, zamknąłem na klucz drzwi z klatki schodowej do poczekalni i przytknąłem zapalną do nie zapalonego papierosa dziewczyny. Trzymała go w lewej dłoni, na której nie miała rękawiczki ani pierścionków.

Była w luźnym płaszczu, narzuconym na bluzkę i kraciatą spódnicę. Mały kapelusik, którego niemodny fason pozwalał przypuszczać, iż powodziło się jej ostatnio nie najlepiej, zakrywał niemal całkowicie włosy. Na nie umalowanej twarzy zastygł wyraz znużenia. Wyglądała na jakieś trzydzieści lat.

Wpatrywała się w milczeniu w ścianę nad moją głową. Nabiłem fajkę i paliłem ją przez dłuższą chwilę. Potem wstałem, podszedłem do wychodzących na korytarz drzwi i podniosłem z podłogi kilka listów, które wrzucono przez szparę.

Znowu usiadłem przy biurku i zacząłem je przeglądać; jeden z nich przeczytałem dwukrotnie, jakbym był w pokoju zupełnie sam. Zajęty tymi czynnościami nie przyglądałem się dziewczynie ani nie odzywałem się do niej — chociaż spod oka obserwowałem jej zachowanie. Wyglądała na coraz bardziej zdenerwowaną.

W końcu poruszyła się. Otworzyła swą dużą czarną torebkę z lakierowanej skóry, wyjęła grubą kopertę, zsunęła z niej gumkę i trzymając kopertę w obu dłoniach zastygła w bezruchu z odchyłoną nieco do tyłu głową. Z kącików jej ust wydobywały się strużki szarego dymu.

— Lou mówił, że mogę zwrócić się do pana, jeżeli kiedyś wpakuję się w jakąś kabałę — powiedziała powoli. — No i właśnie się wpakowałam.

— Lou jest moim bliskim przyjacielem — powiedziałem, przyglądając się szarej kopercie. — Zrobię dla niego wszystko w granicach rozsądku. Czasem nawet coś nierozsądnego, jak na przykład wczoraj wieczorem. Nie znaczy to jednak, że zawsze gramy w tej samej drużynie.

Wrzuciła dymiący niedopałek do dużej szklanej popielniczki. Jej oczy rozbłysły na chwilę ponurym blaskiem.

— Lou nie żyje — powiedziała bezbarwnym głosem.

Wyciągnąłem rękę w kierunku popielniczki i końcem ołówka zgasilem niedopałek.

— Dwaj ludzie Canalesa wykończyli go w moim mieszkaniu. Dostał kulę z małego rewolweru, takiego jak mój. Szukałam potem mojego, ale zniknął. Spędziłam całą noc przy jego zwłokach... nie mogłam wyjść z domu.

Nagle załamała się. Oczy uciekły jej w głąb czaszki, głowa opadła ciężko i uderzyła o blat biurka. Zastygła w tej pozycji; szara koperta wysunęła się z jej bezwładnych dłoni.

Otworzyłem szybko biurko, wyjąłem butelkę i szklanę. Nalawszy sporą porcję podszedłem do dziewczyny i dźwignąłem ją do pozycji siedzącej. Przycisnąłem krawędź szklanki do jej ust na tyle mocno, że poczuła ból. Krztusząc się przełknęła nieco płynu. Część rozlała się jej po brodzie, ale oczy odzyskały normalny wyraz.

Postawiłem przed nią szklanę i wróciłem na swój fotel. Koperta rozchyliła się nieco i dostrzegłem w niej banknoty, gruby plik banknotów.

Zacząła opowiadać mi całą historię głosem człowieka mówiącego przez sen.

— Dostaliśmy od kasjera same duże banknoty, ale i tak jest to spory pakunek. W kopercie są dokładnie dwadzieścia dwa tysiące. Zatrzymałam kilka setek. Lou był niespokojny i uważał, że Canalesowi łatwo będzie nas dopaść. Nawet gdyby pan jechał tuż za nami, niewiele by to pomogło.

— Canales stracił te pieniądze na oczach wszystkich obecnych — powiedziałem. — Była to dla niego dobra reklama, nawet jeżeli trochę go to zabolalo.

Dziewczyna opowiadała dalej., całkowicie ignorując moje słowa:

— Jadąc przez miasto spotkaliśmy wolną taksówkę i Lou wpadł na znakomity pomysł. zaproponował chłopakowi stówę za to, że pozwoli mu poprowadzić

taksówkę do San Angelo, a sam przyjedzie potem pod hotel Buickiem. Kierowca zgodził się, podjechaliśmy więc do sąsiedniej ulicy i tam zamieniliśmy wozy. Głupio nam było zgubić pana w ten sposób, ale Lou twierdził, że nie będzie pan miał o to żalu. Zresztą myśleliśmy, że może uda nam się dać panu cynk.

Lou nie poszedł do swojego hotelu. Wzięliśmy inną taksówkę i pojechaliśmy do mnie. Mieszkam w Hobart Arms na South Minter, blok numer 800. Portierzy wpuszczają tam każdego bez problemu. Weszliśmy do mieszkania i kiedy zapaliliśmy światło, zza przepierzenia między pokojem a kuchenką wyszli dwaj zamaskowani faceci. Jeden był niski i chudy, drugi wysoki, potężnie zbudowany. Spod maski sterczała mu szczęką jak wysunięta szuflada. Lou zrobił nieostrożny ruch i ten wysoki strzelił do niego —jeden raz. Jeden trzask

rewolweru, nawet nie bardzo głośny, i Lou upadł na podłogę. Nie poruszył się więcej.

— To mogli być ci sami, którzy załatwili mnie. Jeszcze pani o tym nie opowiadałem.

Zdawało się, że dalej nie słyszy. Jej blada, nieruchoma twarz była pozbawioną wyrazu gipsową maską.

— Myślę, że przydałoby mi się jeszcze trochę whisky — powiedziała.

Nalałem do dwóch szklanek. Gdy wypiliśmy, zaczęła mówić dalej:

— Obszukali nas, ale nie mieliśmy pieniędzy przy sobie. Zatrzymaliśmy się w drugistorze czynnym przez całą noc, kazaliśmy zważyć kopertę i kupiwszy znaczki wrzuciliśmy ją do skrzynki. Przeszukali całe mieszkanie, ale sami widzieli, żeśmy dopiero weszli i nie zdążyliśmy niczego schować. Wtedy ten wysoki rąbnął mnie pięścią, a kiedy odzyskałam przytomność, byłam już sama w mieszkaniu, ze zwłokami Lou na podłodze.

Dotknęła palcami swej szczęki. Był tam jakiś ślad, ale nie bardzo widoczny.

— Wyprzedzili was w drodze do pani — powiedziałem, pokręciwszy się trochę na fotelu. — Przytomni faceci raczej zatrzymaliby taksówkę na ulicy. Skąd znali adres?

— Myślałam o tym już w nocy — odparła. — Canales wie, gdzie mieszkam. Pojechał kiedyś ze mną i chciał, żebym go zaprosiła na górę.

— No dobrze — powiedziałem. — Ale dlaczego pojechali właśnie do pani i jak się dostali do mieszkania?

— To nie jest trudne. Tuż pod oknami-jest występ, po którym można dojść do schodów pożarowych. Zapewne inni obserwowali hotel Lou. Myśleliśmy o takiej ewentualności, ale nie sądziliśmy, że mogą znać mój adres.

— Co było dalej? — spytałem.

— Pieniądze wysłaliśmy na moje nazwisko — stwierdziła panna Glenn. — Lou był fajnym facetem, ale dziewczyna powinna dbać o swoje interesy. Dlatego właśnie musiałam tam siedzieć przez całą noc ze zwłokami Lou na podłodze. Czekałam na listonosza. Potem przyszłam tutaj.

Wstałem z fotela i podszedłem do okna. Po drugiej stronie podwórza jakaś gruba dziewczyna pisała na maszynie. Aż tu słyhać było klekot klawiszy. Wróciłem na miejsce i zacząłem wpatrywać się w swój kciuk.

— Czy zostawili rewolwer? — spytałem.

— Nie, chyba że leży pod nim. Nie sprawdzałam.

— Zbyt łatwo udało się pani ich pozbyć. Może to wcale nie byli ludzie Canalesa? Czy Lou opowiadał pani o swoich sprawach?

Spokojnie potrząsnęła głową. Jej ciemnobłękitne oczy ożyły — pojawił się w nich teraz wyraz skupienia.

— No dobrze — powiedziałem. — Jak pani sobie wyobraża mój udział w tej sprawie?

Lekko zmrużyła oczy, potem poruszyła ręką i wolno przesunęła ku mnie wypchaną kopertę.

— Nie jestem dzieckiem, wiem, że wpakowałam się w kabałę. Ale mimo to nie zamierzam dać się oskubać. Należy mi się połowa tych pieniędzy i chcę ją spokojnie zainkasować. Pięćdziesiąt procent. Gdybym wczoraj wieczorem zadzwoniła po policję, znalazłby się jakiś pretekst, żeby mi je zabrać... Myślę, że Lou nie miałby nic przeciwko temu, żeby pan wziął jego połowę, o ile zechce pan mi pomóc.

— To wielka suma dla prywatnego detektywa, panno Glenn — powiedziałem uśmiechając się ze znużeniem. — Pani sytuację utrudnia fakt, że od razu nie wezwała pani policji. Ale można znaleźć odpowiedź na wszelkie ich zarzuty. Najlepiej będzie chyba, jeśli pojadę na miejsce i zorientuję się w sytuacji.

Gwałtownie pochyliła się w moją stronę.

— Czy zajmie się pan pieniędzmi? — spytała. — Odważy się pan?

— Jasne. Zjadę na dół i włożę je do sejfów bankowego. Może pani zatrzymać jeden z kluczy, a o podziale pomówimy później. Dobrze będzie moim zdaniem, jeśli Canales dowie się, że musi rozmawiać ze mną, a jeszcze lepiej, jeśli ukryje się pani w małym hotelu, gdzie mam przyjaciela. Przynajmniej na razie, dopóki się trochę nie rozejrzę.

Kiwnęła głową. Włożyłem kapelusz i wsunąłem kopertę za pasek od spodni. Wychodząc powiedziałem jej, że w górnej lewej szufladzie jest rewolwer — na wypadek, gdyby się niepokoiła.

Gdy wróciłem, siedziała nieruchomo w tej samej pozycji. Oznajmiła mi jednak, że zatelefonowała do Canalesa i zostawiła mu wiadomość, którą jej zdaniem powinien zrozumieć.

Określną drogą pojechaliśmy do hotelu Lorraine, na rogu Brent Street i Avenue C. Po drodze nikt do nas nie strzelał i chyba nikt za nami nie jechał.

Ze złożoną w dłoni dwudziestodolarówką uściśnąłem rękę Jimowi Dolanowi, recepcjoniście hotelu. Wsunął dłoń do kieszeni i obiecał, że chętnie dopilnuje, aby nikt nie niepokoił „panny Thompson”.

Wyszedłem z hotelu. W południowej gazecie nie było nic na temat Lou Hargera i mieszkania w Hobart Arms.

Hobart Arms był jednym z bloków mieszkalnych zajmujących cały odcinek ulicy. Miał żółtą fasadę i sześć pięter. Po obu stronach jezdni wzdłuż całego bloku stały liczne samochody. Przejechałem tamtędy wolno, rozglądając się po okolicy. Nic nie wskazywało na to, by wydarzyło się tu ostatnio coś niezwykłego. Na skąpanej w słońcu ulicy panował zupełny spokój; parkujące auta wyglądały statecznie, jakby stały na swych zwykłych miejscach.

Skreśliłem w wąski zaułek zamknięty z obu stron wysokim drewnianym płotem, w którym było mnóstwo bram wjazdowych do tandetnych garaży. Zaparkowałem przed jedną z nich, na której dostrzegłem wywieszkę „Do wynajęcia”, i mijając dwa kubły ze śmieciami wszedłem na betonowy dziedziniec Hobart Arms, położony równolegle do ulicy. Jakiś facet ładował kije golfowe do bagażnika limuzyny. W hallu młody Filipińczyk włókł po dywanie elektryczny odkurzacz, a siedząca przy centralce telefonicznej urzędniczka o semickim wyglądzie zajęta była jakąś pisaniną.

Wjechałem na górę windą i ostrożnie doszedłem korytarzem do ostatnich drzwi po lewej stronie. Zapukałem, odczekałem chwilę, zapukałem ponownie i posługując się kluczem panny Glenn wszedłem do mieszkania.

Na podłodze nie było żadnych zwłok.

Przejrzałem się w lustrze umieszczonym na odwrocie chowanego w ścianie łóżka, przeszedłem przez pokój i wyjrzałem przez okno. Dostrzegłem pod nim występ, który był niegdyś zwieńczeniem muru. Biegł on aż do schodów pożarowych. Nawet ślepiec mógł dostać się po nim do mieszkania. Na pokrywającym występ kurzu nie dostrzegłem śladów stóp.

W jadalni i kuchence nie było nic oprócz zazwyczaj znajdujących się tam przedmiotów. W sypialni leżał dywan utrzymany w pogodnych barwach; ściany pomalowane były na kolor szary. W kącie, wokół kosza na papierosy, rozsypane były śmieci, zaś na złamanym grzebieniu, który leżał na toalecie, dostrzegłem kilka pasm rudych włosów. W pustych szafach stało tylko kilka butelek po ginie.

Wróciłem do pokoju, zajrzałem za ścienne łóżko, postąłem chwilę na miejscu i wyszedłem z mieszkania.

Filipińczyk w hallu przesunął się z odkurzaczem o jakieś trzy metry do przodu. Oparłem się o ladę obok centralki telefonicznej.

— Panna Glenn?

— Pięćset dwadzieścia cztery — odparła ciemna urzędniczka, stawiając kolejny znaczek na wykazie oddanej do prania bielizny.

— Nie ma jej w domu. Czy dawno wyszła?

— Nie zauważyłam. O co chodzi, jakiś rachunek do zapłacenia?

Wyjaśniłem, że jestem po prostu znajomym, podziękowałem i odszedłem. Wszystko wskazywało na to, że mieszkanie panny Glenn nie było widowiskiem żadnych sensacyjnych wydarzeń. Wróciłem do zaułka, gdzie zaparkowany był mój wóz.

Opowieść panny Glenn i tak od początku budziła moje wątpliwości.

Przejechałem przez Cordovę, ominąłem jeszcze jeden blok i zatrzymałem się obok ustronnego drugostoru o zakurzonej wystawie, który był mało widoczny w cieniu gęstych drzew. W kącie stała kabina z automatem telefonicznym. Stary sprzedawca podszedł do mnie bez entuzjazmu, szurając nogami, ale zorientowawszy się, o co mi chodzi, cofnął się, zsunął swe okulary w drucianej oprawie na czubek nosa i na nowo zasiadł z gazetą w ręku.

Wrzuciłem pięciocentówkę, nakręciłem numer i usłyszałem metaliczny głos telefonistki przeciągle oznajmiającej: „Telegraaam”. Spytałem o Von Ballina.

Gdy podszedł do telefonu i zorientował się, kto mówi, usłyszałem jego niewyraźne chrząknięcie. Potem przybliżył słuchawkę do ust i powiedział cicho, ale wyraźnie: — Mam coś, ale to zła wiadomość. Cholernie mi przykro. Twój przyjaciel Harger jest w kostnicy. Dostaliśmy dalekopis z agencji jakieś dziesięć minut temu.

Oparłem się o ścianę kabiny czując, że muszę mieć głupią minę.

— Czy dowiedziałeś się czegoś więcej? — spytałem.

— Dwaj policjanci z radiowozu znaleźli go gdzieś w West Cimarron, chyba na trawniku przed czyimś domem. Miał przestrelone serce. Było to wczoraj w nocy, ale dopiero teraz udało im się zidentyfikować zwłoki.

— W West Cimarron, mówisz? — powtórzyłem. — No cóż, to by było wszystko. Do zobaczenia.

Podziękowałem mu, odwiesiłem słuchawkę i stałem przez chwilę bez ruchu, przyglądając się przez szybę kabiny jakiemuś siwemu mężczyźnie w średnim wieku, który wszedł do sklepu i przeglądał leżące na półkach czasopisma.

Potem wrzuciłem następną pięciocentówkę, nakręciłem numer hotelu Lorraine i poprosiłem o recepcję.

— Powiedz swojej telefonistce, żeby połączyła mnie z tą rudą, dobrze, Jim? — powiedziałem.

Wyjąłem papierosa, zapaliłem go i wypuściłem kłęb dymu w stronę szklanych drzwi. Rozpłaszczył się o szybę i zaczął rozwierać się w różnych kierunkach. Potem usłyszałem trzask w słuchawce i głos telefonistki.

— Bardzo mi przykro, ale numer nie odpowiada.

— Proszę mnie jeszcze raz połączyć z Jimem — poprosiłem. Gdy zgłosił się, spytałem: — Czy byłbyś tak dobry pójść do pokoju i sprawdzić, dlaczego ona nie odbiera telefonu? Może tak sobie wyobraża ostrożność.

— Jasne. Zaraz wezmę klucz i pędzę na górę.

Byłem cały spocony. Położyłem słuchawkę na małej półeczce i gwałtownie otworzyłem drzwi kabiny. Siwy mężczyzna podniósł nagie wzrok znad pism, zmarszczył brwi i spojrział na zegarek. Z kabiny wydobywał się obłok dymu. Po chwili zatrzasnąłem kopnięciem drzwi i znów wziąłem do ręki słuchawkę.

Głos Jima zdawał się docierać do mnie z wielkiej odległości.

— Nie ma jej. Pewnie wybrała się na przechadzkę.

— Właśnie. Albo raczej na przejażdżkę — powiedziałem.

Odwiesiłem słuchawkę i pchnąwszy drzwi wyszedłem z kabiny. Siwy facet odłożył jakieś czasopismo tak gwałtownie, że spadło na podłogę. Gdy mijąłem go, pochylił się, by je podnieść. Potem wyprostował się tuż za moimi plecami i cicho, ale bardzo stanowczo powiedział:

— Nie podnoś rąk i spokojnie idź do swojego wozu. Mamy do ciebie interes.

Kącikiem oka dostrzegłem, jak sprzedawca spogląda w naszym kierunku mrużąc oczy krótkowidza. Ale nawet gdyby mógł widzieć na tę odległość, i tak nic nie udałooby mu się dostrzec. Coś szturchnęło mnie w plecy. Może palec, ale miałem wrażenie, że to coś innego.

Bardzo spokojnie wymaszerowaliśmy ze sklepu.

Tuż za moim Marmonem stał długi szary samochód. Tylne drzwi były otwarte; przy nich jakiś mężczyzna o prostokątnej twarzy i wykrzywionych ustach opierał się nogą o próg. Prawą rękę trzymał za plecami, wewnątrz wozu.

— Wsiadaj do swego auta i jedź na zachód — powiedział towarzyszący mi mężczyzna. — Skręć w pierwszą ulicę i nie przekraczaj czterdziestki.

Wąska uliczka pełna była spokoju, słońca i szelestu liści pieprzowców. Z ulicy Cordova, oddalonej o jedną krótką przecznicę, dolatywał zgiełk pojazdów. Wzruszyłem ramionami, otworzyłem drzwi swego wozu i wsunąłem się za kierownicę. Siwy szybko usiadł obok mnie, obserwując przez cały czas moje ręce. Wyciągnął ku mnie prawą dłoń, w której trzymał rewolwer o krótkiej szerokiej lufie.



— Tylko ostrożnie wyciągaj swoje klucze, kolego.

Byłem ostrożny. Gdy naciskałem starter, dosłyszałem trzaśnięcie drzwi stojącego za nami wozu i szybkie kroki; ktoś usiadł za nami na tylnym siedzeniu. Zwolniłem sprzęgło i skręciłem w pierwszą przecznicę. W lusterku dostrzegłem szary samochód, wchodzący w zakręt tuż za nami. Potem został nieco z tyłu.

Jechałem na zachód równoległe do ulicy Cordova; gdy byliśmy w pół drogi między drugą a trzecią przecznicą, ten siedzący za mną sięgnął ponad moim ramieniem i wyciągnął mi spod marynarki rewolwer. Siwy oparł dłoń z rewolwerem na udzie, a drugą ręką starannie mnie obszukał. Zaspokoiwszy ciekawość rozsiadł się wygodnie na fotelu.

— Okey. Steruj w główną ulicę i trochę prędeziej — powiedział. — Ale to nie znaczy, że wolno ci zajeżdżać drogę wozowi policyjnemu, gdyby się jakiś trafił. Jeżeli jesteś innego zdania, spróbuj, to się przekonasz.

Skręciłem dwa razy, przyspieszyłem do sześćdziesiątki i utrzymywałem tę prędkość. Przejechaliśmy przez kilka eleganckich dzielnic willowych, potem zabudowa zaczęła się robić coraz rzadsza. Gdy znaleźliśmy się już niemal poza miastem, jadący za nami szary samochód został z tyłu, zawrócił w stronę centrum i zniknął nam z oczu.

— O co chodzi? — zapytałem.

Siwy zaśmiał się i potarł swą szeroką, zaczerwienioną szczękę.

— Mamy do ciebie interes. Szef chce z tobą pogadać.

— Canales?

— Jaki Canales, do diabła! Powiedziałem: szef.

Przez kilka minut w milczeniu obserwowałem sytuację na szosie i nieliczne już w tej odległej dzielnicy pojazdy.

— Dlaczego nie zgarnęliście mnie w mieszkaniu albo w tym zaułku? — spytałem w końcu.

— Chcieliśmy się upewnić, że nikt cię nie śledzi.

— Kto to jest szef?

— Nie martw się, zobaczysz na miejscu. Masz jeszcze jakieś pytania?

— Owszem. Można zapalić?

Przytrzymał kierownicę, żeby ułatwić mi manipulowanie zapalnikami. Siedzący z tyłu facet nie odezwał się przez cały czas ani słowem. Po pewnym czasie siwy kazał mi zatrzymać wóz i przesunąć się na jego miejsce. Sam zasiadł za kierownicą.

— Jakieś sześć lat temu, kiedy byłem biedny, miałem taki sam samochód — powiedział pogodnie.

Nie przyszła mi do głowy żadna stosowna odpowiedź, w milczeniu wciągałem więc głęboko dym i zastanawiałem się, dlaczego ci, którzy zabili Lou, nie odebrali mu pieniędzy, skoro został sprzątnięty w West Cimarron. A jeżeli stało się to w mieszkaniu panny Glenn — po co ktoś narażał się na kłopoty związane z transportowaniem ciała na powrót do West Cimarron.

7

Po dwudziestu minutach wjechaliśmy między pagórki. Wspiąwszy się na wierzchołek jednego z nich sunęliśmy w dół długim, jasnym, betonowym pasmem szosy, potem przez most i w połowie następnego zbocza skręciliśmy w szutrowaną drogę wijącą się wśród gęstwiny karłowatych dębów i manzanity. Pióropusze stepowej trawy powiewające na stoku wzgórza wyglądały jak wytryskające źródła wody. Koła chrzęściły po żwirze i ślizgały się na zakrętach.

Dotarliśmy do leśnego drewnianego domku z szerokim gankiem, ustawionego na podmurówce ze spojonych cementem okrągłaków. Wiatrak napędzający elektryczną turbinę obracał się powoli na wierzchołku wzgórka, jakieś trzydzieści kroków dalej. Sójka furknęła ponad drogą, skręciła gwałtownie i jak rzucony kamień błyskawicznie zniknęła z pola widzenia.

Siwy facet podjechał wolno do ganku, zaparkował obok brązowej limuzyny marki Lincoln, zgasił silnik i zaciągnął hamulec ręczny mego Marmona. Następnie wyjął klucze ze stacyjki, starannie umieścił je w skórzanym pokrowcu i schował do kieszeni.

Jego siedzący z tyłu kolega wysunął się z wozu i otworzył znajdujące się najbliżej mnie drzwi. W ręku trzymał rewolwer. Wsiadłem. Wsiadł też siwy mężczyzna. Wszyscy razem weszliśmy do domu.

Znaleźliśmy się w dużym pokoju o ścianach z pięknie wypolerowanych sosnowych desek. Krocząc po hinduskich dywanach doszliśmy do przeciwległych drzwi. Siwy zapukał delikatnie.

— Co jest? — rozległ się czyjś głos.

— To ja, Beasley, i ten facet, z którym chciał pan mówić — powiedział siwy, pochylając się w kierunku drzwi.

Głos po drugiej stronie kazał nam wejść. Beasley otworzył drzwi i popchnąwszy mnie naprzód zamknął je za moimi plecami.

Ten pokój również wykładany był sosnowym drzewem i hinduskimi dywanami. W kamiennym kominku z sykiem i trzaskiem paliły się suche kłody drzewa.

Za dużym, gładkim biurkiem siedział Frank Dorr, kombinator polityczny.

Należał on do ludzi, którzy lubią mieć przed sobą biurko, by móc opierać o nie swój gruby brzuch, bawić się leżącymi na blacie przedmiotami i wyglądać bardzo inteligentnie. Miał tłustą, obrzmiałą twarz, krótkie, siwe, nieco sterczące włosy, bystre małe oczka i drobne, bardzo delikatne ręce.

Ponieważ zasłaniało go częściowo biurko, widziałem tylko, że ma na sobie zbyt obszerną szarą marynarkę. Tuż przed Dorrem leżał na blacie duży, czarny, perski kot, ocierając się głową o jedną z drobnych rąk drapiącą go za uchem. Jego ruchliwy ogon zsunął się z biurka i zwisał w dół.

— Siadaj pan — powiedział Dorr nie odrywając wzroku od kota.

Usiadłem w bardzo niskim, skórzanym fotelu.

— Jak się tu panu podoba? — spytał. — Dosyć ładnie, prawda? To jest Toby, moja przyjaciółka. Jedyna przyjaciółka, jaką mam. Prawda, Toby?

— Tutaj mi się podoba, ale nie podoba mi się sposób, w jaki się tu dostałem — odparłem.

Dorr uniósł nieco głowę i spojrzał na mnie, rozchylając usta. Miał piękne zęby, ale były one dziełem dentysty.

— Jestem człowiekiem zapracowanym — powiedział. — Tak było najprościej, bez wdawania się w niepotrzebne dyskusje. Napije się pan?

— Jasne., że się napiję — odparłem.

Łagodnie objął głowę kota dwoma rękami, potem odepchnął go od siebie i położył dłonie na oparciach fotela. Zaparł się z całej siły i poczerwieniał nieco na twarzy, zanim udało mu się wstać. Podeszedł do szafy w ścianie i wyjął z niej pękata karafkę whisky oraz dwie szklanki ze złotym brzeżkiem.

— Nie ma dziś lodu — powiedział, wracając swym chwiejnym krokiem w stronę biurka. — Musimy pić czystą whisky.

Nalał do obu szklanek i gestem wskazał jedną z nich. Usiadł z powrotem. Ja ze szklanką w ręku wróciłem na fotel. Dorr zapalił długie, brązowe cygaro, przesunął pudełko w moim kierunku, oparł się wygodnie i spojrzał na mnie wzrokiem człowieka zupełnie zrelaksowanego.

— A więc to pan wsypał Manny Tinnena — powiedział. — Nie podoba mi się to.

Sączyłem powoli whisky. Była zbyt dobra, by wypić ją jednym haustem.

— Życie staje się czasem skomplikowane — ciągnął Dorr tym samym równym, spokojnym głosem. — Polityka, nawet wtedy kiedy dostarcza wielu rozrywek, rujnuje człowiekowi nerwy. Zna mnie pan. Jestem bezwzględny i osiągam to, o co mi chodzi. Teraz już nie chodzi mi o tak wiele, ale jeśli czegoś chcę, to naprawdę mi na tym zależy. I nie jestem zbyt wybredny co do metod, za pomocą których to osiągam.

— Taką właśnie ma pan opinię — zauważyłem uprzejmie.

Dorr zamrugnął oczami. Rozejrzał się za kotem, przyciągnął go za ogon do siebie, przewrócił na bok i zaczął drapać po brzuchu. Kot wyglądał na zadowolonego.

Dorr spojrzał na mnie z uwagą.

— Pan sprzątnął Lou Hagera — powiedział bardzo cicho.

— Dlaczego pan tak przypuszcza? — spytałem bez szczególnego podniecenia.

— Pan sprzątnął Lou Hagera. Może zasłużył na to, by go sprzątnąć, ale zrobił to pan. Dostał w serce jedną kulę kaliber 38. Pan używa rewolweru 38 i wszyscy wiedzą, że umie pan się nim posługiwać. Był pan z Hagerem ubiegłej nocy w Las Olindas, gdzie wygrał kupę forsy. Miał pan go chronić, ale przyszedł panu do głowy lepszy pomysł. Dopełdziwszy jego i tę dziewczynę w West Cimarron, posłał pan Hagerowi kulkę i zgarnął pieniądze.

Skończyłem whisky, podniosłem się z fotela i nalałem sobie następną porcję.

— Dogadaliście się z tą dziewczyną — mówił dalej Dorr — ale nic z tego nie wyszło. Wpadł jej do głowy inny sprytny pomysł. To zresztą nie ma znaczenia, bo policja znalazła przy ciele Hagera pański rewolwer. No i pan ma tę forszę.

— Czy wydano już nakaz aresztowania mnie? — spytałem.

— Jeszcze nie... czekają na znak ode mnie... I nie zgłoszono jeszcze tego rewolweru... Pan rozumie, mam wielu przyjaciół.

— Dostałem w łeb po wyjściu z lokalu Canalesa — powiedziałem wolno. — Zasłużyłem na to zresztą. Odebrano mi rewolwer. Nie dogoniłem Hagera, od tej pory już go nie widziałem. Dziś rano przyszła do mnie ta dziewczyna, z pieniędzmi w kopercie i z historyjką, że Hager został zabity w jej mieszkaniu. Dlatego pieniądze są u mnie — mam je przechować. Nie byłem pewien, czy dziewczyna mówi prawdę, ale duże znaczenie miał fakt, że przyniosła te pieniądze. Poza tym Lou był moim przyjacielem. Zacząłem dochodzenie w tej sprawie.

— Należało zostawić to policji — powiedział Dorr, wykrzywiając twarz w uśmiechu.

— Istniała szansa, że ktoś usiłuje zrobić tę dziewczynę. Ponadto dostrzegłem możliwość zarobienia w uczciwy sposób kilku dolarów. Zdarzało się to, nawet w San Angelo.

Palce Dorra zbliżyły się do pyska kota, który ugryzł go, ale bez większego zapachu. Potem wysunął się z jego rąk, usiadł na krawędzi biurka i zajął się oblizywaniem własnej łapy.

— Dwadzieścia dwa kawałki — i ta dziewczyna dała je panu na przechowanie — powiedział Dorr. — To zupełnie do niej podobne. Pan ma forszę — ciągnął dalej. — Harger został zabity z pańskiego rewolweru. Dziewczyna zniknęła, ale ja potrafię ją sprowadzić z powrotem. Myślę, że w razie potrzeby może się okazać cennym świadkiem.

— Czy z tą ruletą w Las Olindas zrobiono jakiś kant? — spytałem.

Dorr dopił whisky i na nowo wetknął w usta cygaro.

— Jasne — powiedział beztrósco. — Wciągnięty był w to Pina, ten krupier. Koło było tak spreparowane, żeby kulka zatrzymywała się na dwóch zerach. Stara sztuczka. Miedziany guzik na podłodze, drugi miedziany guzik w podeszwie buta Piny, przewód wzdłuż jego nogi, baterie w wewnętrznej kieszeni. Stara sztuczka.

— Canales nie zachowywał się w taki sposób, jakby był o tym poinformowany — powiedziałem.

Dorr zachichotał.

— Wiedział, że koło rulety jest spreparowane. Nie wiedział, że jego główny krupier gra w przeciwnej drużynie.

— Nie chciałbym być na miejscu Piny — odezwałem się.

Dorr wykonał lekceważący gest ręką, w której trzymał cygaro.

— Już się nim zajęto... Gra była spokojna i rozważna. Nie puszczała się na żadne ryzykowne kombinacje, po prostu przyjmowali normalne stawki i nie wygrywali przez cały czas. Nie mogli. Żadne podłączone do rulety urządzenie nie działa aż tak bezbłędnie.

Wzruszyłem ramionami i poruszyłem się na fotelu.

— Cholernie dobrze jest pan o tym poinformowany — stwierdziłem. — Czy to wszystko po to, żeby mnie zrobić w sytuację, w której będę skłonny do ustępstw?

Uśmiechnął się łagodnie.

— Do diabła, nie! Po prostu tak jakoś wyszło... jak w dobrze ułożonym planie. — Znów machnął swoim cygarem i popielate pasemko dymu przysłoniło na chwilę jego chytre małe oczka. Z sąsiedniego pokoju dochodziły przytłumione odgłosy rozmowy. — Mam wielu swoich ludzi i muszę im czasem iść na rękę, choć nie zawsze podobają mi się ich numery — dodał tonem wyjaśnienia.

— Na przykład Manny Tinnen? — spytałem. — Kręcił się od dawna wokół rady miejskiej, za dużo wiedział. Okey, panie Dorr. No więc, co mam dla pana zrobić? Popęłnić samobójstwo?

Zaśmiał się. Jego szerokie ramiona zatrzęsły się łagodnie. Wyciągnął drobną dłoń, zwracając ją ku mnie wewnętrzną stroną.

— Nigdy by mi to nie przyszło do głowy — powiedział sucho — zresztą mam korzystniejszy plan. Opinia publiczna tak przejęła się zabójstwem Shannona, że nie jestem pewien, czy ten nieudolny prokurator okręgowy nie doprowadziłby do skazania Tinnena mimo pańskiej nie-obecności, gdyby udało mu się wmówić ludziom, że sprzątnięto pana, by pozbyć się świadka.

Wstałem z fotela, podszedłem do biurka i oparty o nie, pochyliłem się w stronę Dorra.

— Bez żadnych kawałów! — powiedział ostro, z lek kim przestraczem. Sięgnął w stronę szuflady i wysunął ją do połowy. Ruchy rąk Dorra, w przeciwieństwie do poruszeń całego ciała, były bardzo szybkie.

Zaśmiałem się patrząc na jego dłoń. Wyjął ją z szuflady. Dostrzegłem leżący tam rewolwer.

— Złożyłem już zeznania przed sądem — powiedziałem.

Dorr usiadł wygodnie i uśmiechnął się w moim kierunku.

— Ludziom zdarzają się pomyłki — powiedział. — Nawet cwany prywatnym detektywom... Może pan zmienić zdanie i oznajmić to na piśmie.

— Nie — powiedziałem bardzo cicho. — Groziłoby mi wtedy oskarżenie o fałszywe zeznania i nie udałoby mi się uniknąć wyroku. Wolę już być oskarżony o morderstwo, bo z tego mogę jakoś wybrnąć. Zwłaszcza, że Fenweather skłonny będzie mi pomóc. Nie zechce stracić świadka. Sprawa Tinnena jest dla niego zbyt ważna.

— Będziesz więc musiał próbować z tego wybrnąć, bracie — powiedział spokojnym tonem Dorr. — Ale kiedy się z tego wyplącesz, będziesz miał tak popsutą opinię, że żadna ława przysięgłych nie skaże Tinnena wyłącznie na podstawie twoich zeznań.

Powoli wysunąłem rękę i podrapałem kota za uchem.

— A co z tymi dwudziestoma dwoma kawałkami? — spytałem.

— Możesz zatrzymać całość, jeśli pójdziesz nam na rękę. W końcu nie są to moje pieniądze... Jeśli Manny wyjdzie, mogę dorzucić jakąś drobną sumę już z własnej kasy.

Połąskotałem kota pod brodą. Zaczął cicho mruczeć. Wziąłem go łagodnie na rękę.

— Kto zabił Lou Hargera, Dorr? — spytałem nie patrząc w jego stronę.

Potrząsnął głową. Spojrzałem na niego z uśmiechem.

— Miłego masz kota — powiedziałem.

Dorr oblizwał wargi.

— Wydaje mi się, że ten mały drań cię polubił — uśmiechnął się. Wydawał się być z tego zadowolony.

Kiwnąłem głową i rzuciłem mu kota prosto w twarz.

Zaskowyczał cicho, ale podniósł obie ręce, by się zasłonić. Kot wykręcił się zręcznie w powietrzu i wylądował mu na twarzy wysuniętymi pazurami obu przednich łap. Jednym z nich rozdarł policzek Dorra jak skórę od banana. Rozległ się głośny krzyk bólu.

Kiedy Beasley i jego kolega wpadli do pokoju, wyciągnąłem już rewolwer z szuflady i trzymałem koniec lufy tuż przy karku Dorra.

Przez krótką chwilę stanowiliśmy coś w rodzaju żywego obrazu. Potem kot wyrwał się z objęć Dorra, skoczył na podłogę i zniknął pod biurkiem. Beasley podniósł rewolwer, ale nie wyglądał na człowieka, który wie, co ma zrobić dalej.

Przycisnąłem mocno wylot lufy do karku Dorra i przerwałem milczenie:

— Frankie pierwszy dostanie kulkę chłopcy... I nie myślcie, że żartuję.

Siedzący przede mną Dorr stęknął.

— Dajcie mu spokój — warknął na swoich bandziorów. Wyjął chustkę z kieszeni marynarki i przytknął ją do krwawiącego policzka. Mężczyzna o skrzywionych ustach zaczął przesuwając się wzdłuż ściany.

— Mnie to wcale nie bawi — powiedziałem. — Ale nie żartuję. Wy dwaj nie ruszać się z miejsc.

Facet przestał przesuwając się wzdłuż ściany i spojrzał na mnie z nienawiścią. Obie ręce miał opuszczone.

Dorr odwrócił głowę i próbował mówić do mnie przez ramię. Nie widziałem jego twarzy na tyle wyraźnie, by odczytać jej wyraz, ale nie wydawał się przestraszony.

— Nic ci to nie da. Mogłem łatwo kazać ci sprzątnąć, gdyby mi na tym zależało. No i co teraz zrobisz? Jeżeli zastrzelisz kogokolwiek, będziesz w gorszej sytuacji, niż gdybyś zrobił to, co ci proponowałem. Moim zdaniem jest to sytuacja bez wyjścia.

Zastanowiłem się nad tym przez chwilę, podczas gdy Beasley przyglądał mi się życzliwie, jak gdyby wszystko to było dla niego chlebem powszednim. W drugim facecie nie było ani cienia życzliwości. Nasłuchiwałem uważnie, ale w całym domu zdawał się panować zupełny spokój.

Dorr pochylił się naprzód, odsuwając się od lufy rewolweru.

— No więc co? — spytał.

— Wychodzę stąd — odparłem. — Mam rewolwer. Wygląda na broń, z której w razie konieczności mogę kogoś trafić. Nie mam na to wielkiej ochoty, więc jeśli każesz Beasleyowi rzucić tu moje klucze i oddać rewolwer, który mi zabrał, gotów jestem zapomnieć o całej sprawie.

Dorr drgnął, jakby zamierzał wzruszyć ramionami.

— I co dalej?

— Rozważ swoją propozycję trochę dokładniej — powiedziałem. — Jeżeli zapewnisz mi odpowiednią obronę, mogę pójść ci na rękę... A jeśli jesteś tak mocny, jak ci się wydaje, kilka godzin nie zrobi nikomu żadnej różnicy.

— Jest w tym nieco racji — powiedział Dorr i zachichotał. Potem zwrócił się do Beasleya: — Zostaw swoją spluwę w spokoju i oddaj mu klucze. I rewolwer — ten, który mu dzisiaj zabrałeś.

Beasley westchnął i bardzo ostrożnym ruchem włożył rękę do kieszeni spodni. Rzucił moje etui z kluczami na drugą stronę pokoju, tuż obok krawędzi biurka. Mężczyzna o wykrzywionych ustach uniósł rękę i wetknął ją do wewnętrznej kieszeni, ja zaś schowałem się tymczasem za plecami Dorra. Wyjął mój rewolwer, upuścił go na podłogę i kopnięciem przesunął w moim kierunku.

Wyszedłszy zza pleców Dorra podniosłem z podłogi klucze i rewolwer i przesunąłem się bokiem w stronę drzwi. Dorr przyglądał mi się obojętnie — jego spojrzenie było zupełnie pozbawione wyrazu. Beasley odwrócił się, ażeby stać do mnie przodem, i odsunął się od drzwi, kiedy do nich podszedłem. Ten drugi z trudem panował nad sobą.

Wyjąłem klucz z zamka i przełożyłem go na drugą stronę.

— Przypominasz mi piłkę na gumce — powiedział sennym głosem Dorr. — Im dalej odskoczysz, tym gwałtowniej przylecisz z powrotem.

— Może gumka jest trochę zleżała — odpowiedziałem.



Wyszedłem, przekręciłem klucz w zamku i czekałem na strzały. Nic jednak się nie wydarzyło. Mój bluff wart był tyle, co czek bez pokrycia. Powiodło mi się tylko dlatego, że zgodził się na to Dorr.

Wyszedłem z domu, zapaliłem silnik, zakręciłem w miejscu i z piskiem opon ruszyłem na wierzchołek wzgórza, a potem pomknąłem w dół ku autostradzie. Nie słyszałem, żeby ktoś jechał za mną.

Gdy dotarłem do betonowego mostu, było nieco po drugiej. Przez chwilę prowadziłem wóz jedną ręką, drugą zaś wycierałem z karku kropelki potu.

## 8

Kostnica znajdowała się na samym końcu długiego jasnego i cichego korytarza, do którego wejście ukryte było z tyłu, za głównym hallem budynku rady okręgu. Zamykała go gładka, wykładana marmurem ściana, w której umieszczono dwoje drzwi. Jedne z nich miały napis: „Sala sekcyjna”, przyklejony na matowej szybie, przez którą widać było, że wewnątrz jest ciemno. Otworzyłem drugie drzwi i znalazłem się w niewielkim, przytulnym pokoju biurowym.

Niebieskooki mężczyzna o rdzawych włosach z rozdziałką pośrodku grzebał w jakichś formularzach zalegających stół. Podniósł głowę, spojrzał na mnie z uwagą i nagle uśmiechnął się.

— Halo, Landon — powiedziałem. — Pamięta pan sprawę Shelby'ego?

Zmrużył oczy. Potem wstał od stołu i podszedł z wyciągniętą ręką.

— Jasne. Co dla pana mogę... — urwał nagle i strzelił palcami. — Do diabła! Przecież to pan wrobił tego bandziora.

Przez otwarte drzwi wyrzuciłem niedopałek na korytarz.

— Nie przychodzę w tej sprawie. W każdym razie nie tym razem — powiedziałem. — Macie tu faceta nazwiskiem Lou Harger... o ile wiem, znaleziono go zastrzelonego w West Cimarron ubiegłej nocy albo dziś rano. Czy mogę mu się przyjrzeć?

— Nie mam nic przeciw temu — odparł Landon.

Przez drzwi po drugiej stronie pokoju poprowadził mnie do zalanej jasnym światłem sali, w której wszystko co nie było ze szkła, pomalowano lub polakierowano na białą. Pod jedną ze ścian stał podwójny szereg dużych pojemników z oszklonymi okienkami. Przez szybki widać było leżące wewnątrz mumie z białych prześcieradeł, za nimi zaś pokryte szronem rury.

Na stole, pochylonym w taki sposób, że głowa znajdowała się wyżej niż nogi, leżały przykryte prześcieradłem zwłoki. Landon wprawnym ruchem odsłonił nieruchomą, żółtawą twarz. Długie, ciemne, wilgotnawe jeszcze włosy rozrzucone były na niewielkiej poduszce. Na pół otwarte oczy spoglądały obojętnie w sufit.

Gdy podszedłem bliżej, by przyjrzeć się tej twarzy, Landon zsunął prześcieradło nieco dalej i stuknął palcem w klatkę piersiową, która wydała pusty dźwięk, jak drewniana skrzynia. Nad sercem widoczna była dziura od kuli.

— Ładny, czysty strzał — powiedział.

Odwróciłem się szybko, wyjąłem papierosa i obracałam go w palcach ze wzrokiem utkwionym w podłogę.

— Jak go zidentyfikowano?

— Po tym, co miał w kieszeniach — odparł Landon.

Oczywiście sprawdzamy jego odciski palców. To pański znajomy?

— Tak — odpowiedziałem.

Landon delikatnie potarł kciukiem szczękę. Wróciliśmy do biura i Landon z powrotem zasiadł za stołem.

Pogrzebał w stercie papierów, wyciągnął jeden z nich i przyglądał mu się przez chwilę.

— Radiowóz znalazł go o dwunastej trzydzieści na poboczu starej szosy odchodzącej od West Cimarron, jakieś ćwierć mili od skrzyżowania. Nie ma tam nocą dużego ruchu, ale policjanci przejeżdżają tamtędy od czasu do czasu szukając zakochanych par w samochodach.

— Czy może pan dokładnie określić czas śmierci? — spytałem.

— Niedługo przedtem. Był jeszcze ciepły, a noce są tam dość chłodne.

Wetknąłem do ust nie zapalonego papierosa i bawiłem się nim poruszając wargami.

— Mogę się założyć, że wyciągnęliście z niego kulę kaliber 38 — powiedziałem.

— Skąd pan wie? — spytał szybko Landon.

— Po prostu zgadłem. Widziałem już rany od takich kul.

Landon przyglądał mi się z uwagą; w jego oczach rozbłysło zainteresowanie. Podziękowałem mu, pożegnałem się, wyszedłem z pokoju i zapaliłem papierosa na korytarzu. Pomaszerowałem w kierunku wind, wjechałem jedną z nich na siódme piętro i ruszyłem naprzód długim korytarzem, który wyglądał dokładnie tak samo jak ten na dole, tyle tylko, że nie prowadził do kostnicy. Można było

nim dojść do kilku małych, skąpo umeblowanych pokoi, w których urzędowali pracownicy służby śledczej podległej prokuratorowi okręgowemu. Otworzyłem drzwi mniej więcej w połowie długości korytarza i wszedłem.

Przy biurku pod ścianą siedział rozwalony Bernie Ohls, szef służby śledczej, z którym polecił mi się skontaktować Fenweather, gdybym wpadł w kłopoty. Był to blondyn średniego wzrostu, o białych brwiach i wysuniętej szczęce, z głębokim rowkiem w podbródku. Pod drugą ścianą stało jeszcze jedno biurko; prócz tego były tam właściwie tylko dwa twarde krzesła i mosiężna spluwaczka na gumowej podkładce.

Ohls kiwnął głową w moim kierunku, potem podniósł się z krzesła i przekręcił zamek w drzwiach. Następnie wyjął z biurka płaskie metalowe pudełko cygar, zapalił jedno, podsunął resztę w moją stronę i rozparł się w fotelu spoglądając na mnie. Usiadłem na krzesło i odchyliłem je lekko w tył.

— No i co? — spytał Ohls.

— To jednak Lou Harger — odparłem. — Myślałem, że może ktoś inny.

— Nonsens. Trzeba było zapytać mnie, powiedziałbym panu, że to on.

Ktoś nacisnął klamkę, a potem zapukał do drzwi. Nie doczekawszy się żadnej reakcji ze strony Ohlsa, zrezygnował i odszedł.

— Zginął pomiędzy jedenastą trzydzieści a dwunastą trzydzieści pięć. W ciągu tej godziny mogli go zabić tam, gdzie znaleziono zwłoki. Ale to za krótki czas, by mogło się to odbyć w sposób opisany przez tę dziewczynę. Ja również nie zdążyłbym go zastrzelić.

— Taak — mruknął Ohls. — Może mógłby pan to udowodnić. A potem dowieść, że nie zabił go pański przyjaciel z pańskiego rewolweru.

— Jest mało prawdopodobne, żeby przyjaciel posłużył się moją bronią... o ile istotnie był moim przyjacielem.

Ohls mruknął coś i uśmiechnął się do mnie kwaśno.

— Prawie każdy wykluczyłby od razu taką możliwość — powiedział. — I właśnie dlatego mógł to zrobić.

Przestałem huśtać się na krzesle i popatrzyłem na niego z uwagą.

— Czy w takim wypadku przychodziłbym tutaj, żeby opowiedzieć o tych pieniądzach, o rewolwerze i o wszystkim, co łączy mnie z tą sprawą?

— Owszem — odparł obojętnym tonem Ohls. — Gdyby wiedział pan cholernie dobrze, że ktoś inny już to zrobił.

— Widzę, że Dorr nie lubi tracić czasu — stwierdziłem.

Wyjąłem z ust papierosa i cisnąłem go w kierunku mosiężnej spluwaczki. Potem wstałem.

— Okey. Nie ma na razie nakazu aresztowania mnie, pójdę więc na górę i opowiem moją wersję wydarzeń.

— Usiądź pan jeszcze na chwilę.

Usiadłem. Wyjął z ust cygaro i odrzucił je od siebie gwałtownym gestem. Niedopałek potoczył się po brązowym linoleum i tlił się w kącie pokoju. Ohls położył ręce na biurku i zaczął bębnić palcami. Zacisnął usta, unosząc nieco górną wargę.

— Dorr wie już zapewne, że jest pan teraz u mnie — powiedział. — Nie siedzi pan jeszcze w celi na górze tylko dlatego, że nie są całkiem pewni, ale powinni zaryzykować i kazać pana zamknąć. Gdyby Fenweather przegrał wybory, będę skończony, o ile pójdę panu na rękę.

— Jeżeli doprowadzi do skazania Manny Tinnena, nie przegra wyborów.

Ohls wyjął z pudełka następne cygaro i zapalił je. Zdjął z biurka swój kapelusz, bawił się nim przez chwilę, potem go nałożył.

— Po co ta dziewczyna opowiadała panu całą historię o zabójstwie w jej mieszkaniu, trupie na podłodze, wszystkie te bzdury?

— Chcieli mnie ściągnąć do jej mieszkania. Domyślili się, że pojedę sprawdzić, czy zostawiono tam rewolwer, lub choćby po to, żeby przekonać się, czy mówiła prawdę. W ten sposób zwabili mnie do mniej ruchliwej części miasta. Mogli łatwiej upewnić się, że nie śledzą mnie ludzie Fenweathera.

— To tylko przypuszczenie — kwaśno stwierdził Ohls.

— Oczywiście — odparłem.

Ohls zdjął z biurka grube nogi, postawił je z hałasem na podłodze i oparł dłonie na kolanach. Cygaro w kąciku jego ust poruszało się niespokojnie.

— Chciałbym poznać faceta, który gotów jest po-święcić dwadzieścia dwa patyki tylko po to, żeby podbudować swoją bajeczkę — powiedział niechętnie.

Wstałem raz jeszcze i ruszyłem w kierunku drzwi.

— Gdzie się panu tak spieszy? — spytał.

Odwrociłem się i spojrzałem na niego obojętnie, wzruszając ramionami.

— Mam wrażenie, że ten temat nie bardzo pana interesuje — odparłem.

Ohls podniósł się ciężko z fotela.

— Ten kierowca taksówki jest pewnie wstrętnym, drobnym kanciarzem — powiedział ze znużeniem. — Ale może ludzie Dorra nie wiedzą o tym, że jego zeznania mają pewne znaczenie w tej całej sprawie. Pojedźmy do niego od razu, póki jeszcze coś pamięta.

Garaze firmy Green Top mieściły się na ulicy Deriveras, o trzy przecznice na wschód od głównej arterii miasta. Zaparkowałem Marmona tuż obok hydrantu i wysiadłem. Ohls wygodnie rozparł się na siedzeniu.

— Zostanę w wozie. Sprawdzę, czy ktoś nas śledzi — mruknął.

Wszedłem do wielkiego, rozbrzmiewającego echem garażu, którego ponure wnętrze rozjaśniało tylko kilka jaskrawych plam świeżej farby. W rogu hali był niewielki, oszklony, brudnawy kantor; siedział w nim jakiś nie ogolony niski typ w czerwonym krawacie i meloniku zsuniętym na tył głowy, krojąc na dłoni laskę prasowanego tytoniu.

— Pan jest dyspozytorem? — spytałem.,

— Tak.

— Szukam jednego kierowcy — powiedziałem. — Nazywa się Tom Sneyd. Odłożył nóż i zaczął rozcierać tytoń w dłoniach.

— O co chodzi? — spytał ostrożnie.

— O nic złego. Jestem jego przyjacielem.

— Jeszcze jeden przyjaciel, co?... On jeździ w nocy... Chyba więc odstawił już wóz. Renfrew Street, numer 1723. Tam na górze, obok Jeziora Szarego.

— Dziękuję — powiedziałem. — Czy ma telefon?

— Nie ma.

Wyciągnąłem z wewnętrznej kieszeni plan miasta i rozłożyłem jedną część na biurku tuż przed jego nosem. Wydawał się niezadowolony.

— Na ścianie ma pan duży plan — burknął i zaczął nabijać tytoniem krótką fajkę.

— Jestem przyzwyczajony do tego — odparłem. Pochyliłem się nad rozpostartą mapą, szukając Renfrew Street. Nagle podniosłem głowę i przyjrzałem się twarzy z melonikiem. — Piekielnie szybko przypomniał pan sobie ten adres.

Wetknął do ust fajkę, ścisnął ją mocno w zębach i wsunął dwa palce do kieszeni swej rozpiętej kamizelki.

— Jacyś dwaj faceci pytali o niego przed chwilą — powiedział.

Błyskawicznie zwinąłem plan i już w drzwiach wepchnąłem go do kieszeni. Przebiegłem przez trotuar, wsunąłem się za kierownicę i nacisnąłem starter.

— Wyprzedzono nas — powiedziałem. — Dwaj faceci pytali tu przed chwilą o adres tego chłopaka. To mogą być...

Ohls przytrzymał się drzwi wozu i zaklął głośno, gdy z piskiem opon braliśmy zakręt. Pochyliwszy się nad kierownicą pędziłem jak wariat. Na rogu

Central Avenue paliło się czerwone światło. Skręciłem na narożną stację benzynową, śmignąłem obok pomp i wyjechawszy na Central Avenue przepchnąłem się wśród samochodów, by skręcić w prawo, znowu na wschód.

Czarnoskóry policjant gwizdnął w moim kierunku, a potem wyteżył wzrok, usiłując zapewne odczytać mój numer rejestracyjny. Nie zatrzymałem się.

Minęliśmy jakieś magazyny, targ, wielki zbiornik gazu, potem znowu składy towarów, tory kolejowe i dwa mosty. Trzykrotnie przemknąłem przez skrzyżowanie w momencie zmiany świateł, czwarte przejechałem na światłach czerwonych. Jakież sześć przecznic dalej usłyszałem za sobą syrenę policyjnego motocykla. Ohls podał mi swą mosiężną gwiazdę; wysunąłem ją przez okno, obracając w palcach, by załśniły w niej promienie słońca. Syrena umilkła. Motocyklista trzymał się tuż za nami jeszcze na przestrzeni jakichś dwunastu przecznic; potem został z tyłu.

Jezioro Szare jest sztucznym zbiornikiem wodnym leżącym w rozpadlinie między dwoma pasmami wzgórz na wschodnim krańcu San Angelo. Wąskie, ale porządnie wybrukowane uliczki wiją się wśród pagórków, zataczając na zboczach wymyślne arabeski, by dotrzeć do rozrzuconych z rzadka tanich parterowych domków.

Popędziliśmy w górę, odczytując po drodze nazwy ulic. Lśniąca, szara płaszczyzna jeziora pozostała wkrótce za nami; ryk rury wydechowej starego Marmona odbijał się teraz od wietrzejących kamiennych zboczy, zasypujących pyłem nie używane chodniki. Bezpańskie psy wałęsały się po zdziczałej trawie, wśród nor wykopanych przez susły.

Renfrew Street znajdowała się niemal u szczytu wzgórza. Na samym jej początku stał niewielki, schludny domek, przed którym prawie goły dzieciak bawił się w metalowym kojcu, ustawionym na skrawku trawy. Następny odcinek był nie zabudowany. Dalej minęliśmy jakieś dwa domy, później zaś szosa pobiegła w dół, tworząc ostre serpentyny wśród zboczy wznoszących się na tyle wysoko, by rzucać cień na całą jej szerokość.

W tym momencie usłyszeliśmy huk wystrzału tuż za zakrętem przed nami.

Ohls wyprostował się gwałtownie na siedzeniu.

— Ho, ho! — wykrzyknął. — To jakiś grubszy kaliber.

Wyciągnął rewolwer, uchylając równocześnie drzwi po swojej stronie. Wyszliśmy z zakrętu i dostrzegliśmy dwa stojące poniżej domy, przedzielone dwoma stromymi pasmami ogrodu. Długi, szary samochód stał w poprzek drogi mniej więcej w połowie odległości między budynkami. W lewej przedniej

oponie nie było powietrza; otwarte z obu stron przednie drzwi przypominały rozpostarte szeroko uszy słonia.

Niski mężczyzna o ciemnej twarzy klęczał na obu kolanach na drodze tuż przy otwartych drzwiach po prawej stronie wozu. Jego prawe ramię zwisało bezwładnie, dłoń zaś zalana była krwią. Drugą ręką usiłował podnieść leżący przed nim na asfalcie rewolwer.

Zahamowałem gwałtownie, samochód zarzucił i Ohls wytoczył się na drogę.

— Rzuć to, ty draniu! — wrzasnął.

Ranny w rękę mruknął coś niewyraźnie i bezwładnie opadł na stopień auta. Spoza samochodu rozległ się huk wystrzału, kula przeleciała tuż obok mojego ucha. Wskoczyłem już z wozu i stałem na drodze. Szary samochód odwrócony był w kierunku domów pod takim kątem, że nie widziałem nic po jego lewej stronie z wyjątkiem otwartych drzwi. Miałem wrażenie, że z tego mniej więcej miejsca padł strzał. Ohls wpakował w drzwi dwie kule. Padłem na ziemię i pod szarym samochodem dojrzałem czyjeś stopy. Strzeliłem w ich kierunku, ale chybiłem.

W tym momencie od narożnika najbliższego budynku doszedł wysoki, ostry trzask. Z szarego wozu posypało się szkło. Dobiegł zza niego huk rewolweru, a ze ściany domu odskoczył kawałek tynku, tuż nad kępą krzaków. W tym momencie dostrzegłem w gąszczu głowę i tors jakiegoś mężczyzny. Leżał w pozycji strzeleckiej na pochyłym zboczu trzymając przy ramieniu lekką strzelbę.

Był to Tom Sneyd, kierowca taksówki.

Ohls stęknął i rzucił się w kierunku szarego wozu. Dwukrotnie jeszcze strzelił w drzwi i przykucnął za maską. Zza samochodu dobiegły dalsze wystrzały. Kopnąłem rewolwer rannego tak, żeby znalazł się poza jego zasięgiem, minąłem go i wyjrzałem ostrożnie spoza bagażnika samochodu. Ale stojący za nim człowiek nie mógł stawić czoła przeciwnikom atakującym z tak wielu stron.

Był to potężnie zbudowany facet w brązowym ubraniu; tupiąc głośno pobiegł w kierunku zagłębienia stoku pomiędzy dwoma domkami. Rozległ się huk broni Ohlsa. Uciekający odwrócił się i wystrzelił w pełnym biegu. Ohls stał teraz na otwartej przestrzeni. Kapelusz gwałtownie zsunął mu się z głowy. Stał wyprostowany, na rozstawionych nogach, celując starannie, jakby był na strzelnicy policyjnej.

Ale pod barczystym mężczyzną już ugiwały się nogi. Moja kula przebiła mu szyję. Ohls strzelił do niego mierząc uważnie. Szósta i ostatnia kula z policyjnego rewolweru trafiła padającego w klatkę piersiową, obracając go wokół własnej osi. Z nieprzyjemnym trzaskiem uderzył skronią o krawężnik.

Podeszliśmy do niego z obu stron samochodu. Ohls pochylił się, dźwignął go i przewrócił na plecy. Na twarzy zmarłego malował się wyraz spokojnej łagodności, choć całą szyję zalaną miał krwią. Ohls zaczął przeszukiwać jego kieszenie.

Obejrzałem się, by sprawdzić, co robi ten drugi.

Siedział bez ruchu na stopniu samochodu z twarzą wykrzywioną bólem, przyciskając do ciała prawe ramię.

Tom Sneyd wgramolił się na obrzeże szosy i podszedł do nas.

— To Poke Andrews — powiedział Ohls. — Widywałem, jak się kręcił wokół domów gry. — Wyprostował się, otrzepując kolano. W lewym ręku trzymał znalezione przedmioty. — Tak, Poke Andrews. Rewolwerowiec do wynajęcia na godziny, dni lub tygodnie. Myślę, że dało się z tego wyżyć — przez jakiś czas.

— To nie on zdzielił mnie w głowę — powiedziałem. — Ale na niego patrzyłem, kiedy zostałem ogłuszony. I jeżeli jest choć odrobina prawdy w tym, co opowiadała dziś rano ta ruda, najprawdopodobniej on właśnie zastrzelił Lou Hargera.

Ohls kiwnął głową, podszedł do swego kapelusza i podniósł go z ziemi. W rondzie dojrzał dziurę od kuli.

— Wcale by mnie to nie zaskoczyło — powiedział, spokojnie wkładając kapelusz.

Tom Sneyd stał przed nami, sztywno przyciskając do piersi strzelbę. Był bez kapelusza i marynarki, na nogach miał lekkie pantofle. Oczy błyszczały mu nieprzytomnie, a całe ciało powoli zaczynało drżeć.

— Wiedziałem, że ich dostanę! — zapał z tryumfem. — Czuję, że załatwię tych cholernych drani!

Nagle zamilkł; twarz jego zaczęła zmieniać kolor. Stała się zielonkawa. Pochylił się wolno, wypuścił strzelbę i oparł dłonie na ugiętych kolanach.

— Radzę ci, idź się położyć, bracie — powiedział Ohls. — O ile znam się na kolorach, zaraz się wyrzygasz.

Tom Sneyd leżał wyciągnięty na tapczanie we frontowym pokoju domku, z mokrym ręcznikiem na czole. Obok niego siedziała mała dziewczynka o włosach koloru miodu, trzymając go za rękę. Z fotela w kącie pokoju młoda



kobieta o włosach ciemniejszych niż włosy małej, patrzyła na Toma Sneyda z mieszaniną znużenia i zachwyty.

Wewnątrz było bardzo gorąco. Wszystkie okna były zamknięte i przysłonięte storami. Ohls otworzył dwa okna wychodzące na drogę i zajął miejsce przy jednym z nich, wyglądając w kierunku szarego samochodu. Siedział w nim ciemnoskóry Meksykanin; zdrową rękę przykutą miał do kierownicy.

— To wszystko przez to, co powiedzieli o mojej małej — mówił spod swego ręcznika Tom Sneyd. — Wtedy dopiero się wściekłem. Grozili, że wrócą tu i porwą ją, jeżeli ich nie posłucham.

— Okey, Tom — powiedział Ohls. — Opowiedz wszystko od początku.

Wetknął w usta cygaro, ale spojrzawszy na Toma wzrokiem pełnym wątpliwości zrezygnował z palenia.

Siedziałem ze spuszczoną głową na bardzo twardym krześle i przyglądałem się taniemu, nowemu dywanowi.

— Czytałem gazetę. Zaraz miałem coś zjeść i jechać do roboty — powiedział Tom Sneyd starannie dobierając słowa. — Mała otworzyła im drzwi. Weszli z wyciągniętymi rewolwerami, wprowadzili nas do tego pokoju i zamknęli okna. Zaciągnęli też wszystkie story oprócz jednej. Meksykanin usiadł koło tego okna i przez cały czas wyglądał na szosę. Nie odezwał się ani słowem. Ten duży usiadł tu, na łóżku, i kazał mi opowiedzieć o wszystkim, co zdarzyło się wczoraj w nocy — dwukrotnie. Potem kazał mi zapomnieć o tym, że kogokolwiek spotkałem i że jechałem z kimś do miasta. Resztę mogłem mówić.

Ohls kiwnął głową.

— O której godzinie zobaczyłeś po raz pierwszy tego faceta, który tu siedzi? — spytał.

— Nie patrzałem na zegarek — odparł Tom Sneyd. — Mogło być wpół do dwunastej, może za kwadrans dwunasta. Zjechałem do garażu o pierwszej piętnaście, zaraz po tym, jak odebrałem swoją gablotę spod hotelu Carillon. Jechaliśmy z plaży do miasta dobrą godzinę. W drugistorze rozmawialiśmy jakieś piętnaście minut, może trochę dłużej.

— Wynika z tego, że spotkałeś go koło dwunastej — powiedział Ohls.

Tom Sneyd potrząsnął głową i ręcznik opadł mu na twarz. Zsunął go z powrotem na czoło.

— No, nie — powiedział. — Ten sprzedawca w drugistorze powiedział mi, że kończy pracę o dwunastej. Kiedy wychodziliśmy, jeszcze nie zaczął zamykać sklepu.

Ohls odwrócił głowę i posłał mi spojrzenie pozbawione jakiegokolwiek wyrazu. Potem popatrzył znów na Sneyda.

— Opowiedz nam, co było dalej z tymi dwoma bandziorami — zażądał.

— Ten duży powiedział, że najprawdopodobniej nikt nie będzie mnie o nic pytał. Jeśli zapytają, a ja powiem to, co mi kazali, przyjadą znowu i dadzą mi trochę forsy. Jeżeli ich nie posłucham, wrócą po moją małą.

— To sukinsyny — powiedział Ohls. — Mów dalej.

— Potem odjechali. Kiedy zobaczyłem, że jadą w górę, szlag mnie trafił. Renfrew to ulica bez przełotu — taki zaułek. Ciągnie się jeszcze przez jakieś pół mili za tym wzgórzem, a potem koniec. Nie ma też żadnej przecznicy. Musieli więc wracać tędy... Wziąłem strzelbę kaliber 22, bo tylko taką mam, i schowałem się w krzakach. Za drugim strzałem trafiłem w oponę. Myśleli chyba, że ją przebiłem. Następnym razem spudłowałem i wtedy się skapowali. Zaczęli strzelać z rewolwerów. Potem trafiłem Meksykanina i wtedy ten duży facet schował się za samochodem... No i tyle. A potem zjawiliście się wy.

Ohls wygiął swe krótkie, mocne palce i uśmiechnął się ponuro do siedzącej w kącie kobiety.

— Kto mieszka w sąsiednim domu, Tom?

— Facet nazwiskiem Grandy, motorniczy na kolei. Nie ma żadnej rodziny. Jest teraz w pracy.

— Nie sądziłem, że może być w domu — uśmiechnął się Ohls. Wstał, podszedł do małej i pogłaskał ją po głowie. — Będziesz musiał przyjść na komisariat i złożyć zeznania, Tom.

— Jasne — powiedział znużonym, bezbarwnym głosem Tom Sneyd. — Pewnie mnie wyleją za to, że pożyczyłem wczoraj w nocy moją gablotę.

— Niekoniecznie — powiedział łagodnie Ohls. — Jeżeli twój szef woli, żeby jego wozy prowadzili odważni faceci, to ciebie nie zwolni.

Raz jeszcze poklepał małą po głowie, podszedł do drzwi i otworzył je. Kiwnąłem Sneydowi głową i wraz z Ohlsem wyszedłem z domu.

— Nie wie jeszcze, że tamten nie żyje — powiedział spokojnie. — Nie było sensu mówić o tym przy dziecku.

Zbliżyliśmy się do szarego samochodu. Wyjęliśmy poprzednio z piwnicy kilka worków i przykryliśmy nimi zwłoki Poke Andrews, obciążając je kilkoma kamieniami. Ohls zerknął w tę stronę i powiedział z roztargnieniem:

— Muszę jak najszybciej dotrzeć do jakiegoś telefonu.

Oparł się o drzwi wozu i zajrzał do wnętrza. Meksykanin siedział z przymkniętymi oczami i odchyłoną do tyłu głową; na brązowej twarzy

malowało się wyczerpanie. Jego lewy nadgarstek przykuty był kajdankami do kierownicy.

— Jak się nazywasz? — spytał ostro Ohls.

— Louis Cadena — powiedział cicho Meksykanin, nie otwierając przymkniętych oczu.

— Który z was, dranie, wykończył faceta wczoraj w nocy na West Cimarron?

— Nie rozumieć, senior — mruknął Meksykanin.

— Nie udawaj głupiego, bo możesz mnie rozgniewać — powiedział obojętnym tonem Ohls. Wsparł dłonie na oknie wozu i poruszył trzymanym w ustach cygarem.

Meksykanin wydawał się lekko rozbawiony, a równocześnie bardzo wyczerpany. Zaschnięta krew na jego prawej dłoni była prawie czarna.

— Andrews załatwił faceta w taksówce na West Cimarron — powiedział Ohls. — Była przy tym dziewczyna. Mamy tę dziewczynę. Wątpię, czy potrafisz dowieść, że nie brałeś w tym udziału.

W półprzymkniętych oczach Meksykanina zapalił się i zgasł jakiś błysk. Jego białe zęby zaśniły w uśmiechu.

— Co on zrobił z tym rewolwerem? — spytał Ohls.

— Nie rozumieć, senior.

— Twardy facet — powiedział Ohls. — Tacy mnie zawsze przerażają.

Odszedł od samochodu i pogrzebał nogą w kupce pyłu na trotuarze, tuż obok worków zakrywających zwłoki. Czubek jego buta odsłonił stopniowo odcisniętą w cemencie nazwę firmy wykonującej roboty. Przeczytał ją na głos.

— „Przedsiębiorstwo Budownictwa i Robót Drogowych F. Dorr. San Angelo”. To zdumiewające, że ta gruba świnia nie ogranicza swoich kantów do jednej tylko branży.

Stałem obok niego i spoglądałem między dwoma domami w dół. Daleko pod nami widać było błyski światła, odbijającego się od szyb samochodów, które jechały bulwarem nad Jeziorem Szarym.

— No i co? — spytał Ohls.

— Zabójcy wiedzieli chyba o tym numerze z taksówką, a mimo to dziewczyna dotarła do miasta razem z forszą. A więc nie jest to sprawa Canalesa. On nie pozwoliłby nikomu włóczyć się z dwudziestoma dwoma kawałkami, które uważał za swoją własność. Wynika z tego, że ta ruda maczała palce w tym morderstwie i że dokonano go w jakimś konkretnym celu.

— Jasne. — Ohls wykrzywił twarz w uśmiechu. — Dokonano go, żeby można było pana w nie zrobić.

— Przykro pomyśleć, jak mało znaczy dla niektórych facetów życie ludzkie, a także taka wielka suma pieniędzy — powiedziałem. — Wykończono Hargera, żeby zrzucić winę na mnie, i przekazano mi tę forszę, żeby jeszcze bardziej mnie obciążyć.

— Może myśleli, że pan się z tym ulotni — mruknął Ohls. — Wtedy dopiero byłby pan skończony.

Pokręciłem w palcach papierosa.

— To byłoby zbyt głupie wyjście, nawet jak na mnie. Co teraz zrobimy? Poczekamy, aż wszędzie księżyc, żeby śpiewać serenady, czy zjedziemy na dół i opowiemy komu trzeba nową porcję bajek?

Ohls splunął na jeden z worków zasłaniających ciało Poke Andrews.

— Jesteśmy w granicach okręgu — odburknął. — Mogę o całej tej aferze opowiedzieć na posterunku w Solano i utrzymać to na razie w tajemnicy. Kierowca taksówki dałby wszystko, żeby nic się nie wydało. Zabrałem już w tę sprawę tak daleko, że chciałbym sobie pogadać z tym Meksykaninem w cztery oczy.

— Mnie też to odpowiada — powiedziałem. — Nie sądzę, żeby mógł pan to długo utrzymać pod kloszem, ale może zdążę zobaczyć się tymczasem z jednym grubym facetem w sprawie kota.

Kiedy wróciłem do hotelu, było już późne popołudnie. Portier wręczył mi kartkę na której ktoś napisał: „Proszę jak najprędzej zatelefonować do F.D.”

Pojechałem na górę i wypilem resztkę whisky, jaka jeszcze była na dnie butelki. Potem zatelefonowałem na dół po następną, ogoliłem się, przebrałem i wyszukałem w książce telefonicznej numer Franka Dorra. Mieszkał w pięknym starym domu na Greenview Park Crescent.

Zrobiłem sobie łagodnego drinka w wysokiej szklance, z kostkami lodu, i usiadłem w wygodnym fotelu obok telefonu. Najpierw rozmawiałem ze służącą. Potem zgłosił się jakiś mężczyzna, który wymawiał nazwisko pana Dorra w taki sposób, jakby bał się, że eksploduje mu ono w ustach. Następnie usłyszałem czyjś głos o jedwabistym brzmieniu, po czym w słuchawce przez dłuższą chwilę panowała cisza; wreszcie odezwał się sam Dorr. Wydawał się zadowolony, że do niego dzwonię.

— Zastanawiałem się nad naszą poranną rozmową — powiedział — i przyszedł mi do głowy lepszy pomysł. Niech pan wpadnie, to pogadamy... Może pan od razu przywieźć ze sobą te pieniądze. Jest jeszcze czas, żeby odebrać je z banku.

— Taak — powiedziałem. —Zamykają kasy o szóstej. Ale to nie pańskie pieniądze.

Usłyszałem w słuchawce stłumiony śmiech.

— Niech pan będzie rozsądny. Banknoty są znaczone. Nie chciałbym być zmuszony do oskarżenia pana o ich kradzież.

Zastanowiłem się przez chwilę i doszedłem do wniosku, że z tymi znaczonymi banknotami to nieprawda. Wypiłem łyk ze swej szklaneczki.

— Być może zdecyduję się oddać tę forszę osobie, od której ją otrzymałem — w pańskiej obecności.

— No cóż — odparł. — Mówiłem panu, że jej już nie ma w mieście. Ale zobaczę, co uda mi się zrobić. Tylko bardzo proszę, bez żadnych kawałów.

Zapewniłem go, że nie zamierzam robić żadnych kawałów, i odłożyłem słuchawkę. Skończyłem swego drinka i zadzwoniłem do Von Ballina z redakcji „Telegram”. Poinformował mnie, że ludzie szeryfa nie mają chyba pojęcia, kto zabił Lou Hargera, i że nie bardzo się tym przejmują. Był trochę zły, że nadal nie pozwalał mu wykorzystać mojej opowieści. Z jego tonu wnosiłem, że nie słyszał nic o wydarzeniach, które rozegrały się w okolicy Jeziora Szarego.

Zadzwoniłem do Ohlsa, ale nie udało mi się z nim skontaktować.

Zrobiłem sobie następnego drinka, wypłem połowę i trochę zakręciło mi się w głowie. Zrezygnowałem z reszty, włożyłem kapelusz i zszedłem do samochodu.

O tej porze panował spory ruch: mieszkańcy przedmieść wracali do domów na kolację. Nie byłem pewien, czy w ślad za mną jadą dwa samochody, czy tylko jeden. W każdym razie nikt nie próbował zrównać się ze mną i wrzucić mi granat przez okno.

Dorr mieszkał w solidnym, dwupiętrowym domu ze starej, czerwonej cegły; piękny ogród otoczony był czerwonym, ceglany murem zakończonym gzymsem z białego kamienia. Koło bramy wjazdowej stała lśniaca, czarna limuzyna. Wszedłem pod górę starannie wytyczoną ścieżką, biegnącą ponad dwoma tarasami,

Blady, niepozorny mężczyzna w zakiecie wprowadził mnie do obszernego, cichego hallu, w którym stały ciemne antyczne meble; przez drzwi naprzeciwko widać było skrawek ogrodu. Lokaj idąc przodem wskazał mi drogę przez ten

pokój, później przez następny, w końcu zaś usłużnie otworzył przede mną drzwi wiodące do wykładanego boazerią gabinetu, w którym przytłumione światło lampy rozjaśniało nieco gęstniejący mrok. Potem odszedł, zostawiając mnie samego.

Niemal całą przeciwległą ścianę pokoju wypełniał rząd oszklonych drzwi, przez które widać było nieruchome drzewa na tle rdzawego nieba. Jeszcze bliżej, na pociemniałym już o tej porze skrawku aksamitnej trawy, obracał się powoli automatyczny spryskiwacz. W pokoju dostrzegłem ponadto duże, ciemne olejne obrazy, wielkie czarne biurko zastawione z jednej strony książkami, sporą ilość głębokich, wygodnych foteli i miękkiej, grubej dywan zakrywający całą podłogę. W powietrzu unosił się nieuchwytny zapach dobrych cygar i napływający skądś aromat świeżych kwiatów i wilgotnej ziemi. Drzwi otworzyły się i wszedł jakiś młody człowiek w cwikierze na nosie. Skłonił się sztywno w moją stronę, bez widocznego celu rozejrzał się po pokoju i oznajmił, że pan Dorr zjawi się za chwilę. Potem wyszedł, a ja zapaliłem papierosa.

Po pewnym czasie drzwi otworzyły się znowu. Beasley z twarzą wykrzywioną w uśmiechu przeszedł koło mnie i usiadł obok oszklonych drzwi. Wtedy wkroczył do pokoju Dorr, a tuż za nim panna Glenn.

Dorr niósł w ramionach swego czarnego kota; na prawym policzku miał dwie piękne, czerwone, błyszczące od kolodium szramy. Panna Glenn była ubrana tak samo jak z rana. Wydawała się poszarzała, wyczerpana i zgaszona; obojętnie przeszła obok, jakby widziała mnie pierwszy raz w życiu.

Dorr wcisnął się w stojący za biurkiem fotel z wysokim oparciem i postawił swego ulubieńca tuż przed sobą. Kot pomaszerował na róg biurka i zaczął czyścić futro na brzuchu długimi, fachowymi ruchami języka.

— No więc, spotkaliśmy się — powiedział Dorr, uśmiechając się zyczliwie.

Wszedł lokaj z cocktailami, wręczył każdemu z nas szklanekę i postawił tacę z dzbankiem na niskim stoliku obok panny Glenn. Potem wyszedł, zamykając za sobą drzwi w taki sposób, jakby się obawiał, że może je stłuc.

— Brakuje tylko dwóch osób — powiedziałem. — Myślę, że mamy quorum.

— Co to znaczy? — spytał ostrym tonem Dorr, przechylając głowę na bok.

— Lou Harger jest w kostnicy — odparłem — a Canales wieje przed glinami. Poza tym wszyscy jesteśmy na miejscu. Wszystkie zainteresowane strony.

Panna Glenn wykonała nagły gest, potem znieruchomiała i zaczęła skubać oparcie swego fotela.

Dorr wypił ze szklanki dwa łyki, odstawił ją i splótł drobne, wypielegnowane dłonie na blacie biurka. W jego twarzy było coś groźnego.

— Pieniądze — powiedział chłodno. — Niech mi je pan najlepiej zaraz odda.

— Ani zaraz, ani przy żadnej innej okazji — odparłem. — Nie przyniosłem ich.

Dorr utkwiał we mnie wzrok i jego twarz lekko poczerwieniała. Spojrzałem na Beasleya. Siedział z papierosem w ustach i obiema rękami w kieszeniach, opierając się tyłem głowy o fotel. Wyglądał jak człowiek, który zapadł w lekką drzemkę.

— Chcesz je zatrzymać, co? — powiedział Dorr łagodnym, pełnym zadumy głosem.

— Tak — odparłem ponuro. — Dopóki je mam, jestem jako tako bezpieczny. Postąpiłeś nierozsądnie oddając je w moje ręce. Byłbym głupcem, gdybym zrezygnował z przewagi, jaką mi one dają.

— Myślisz, że jesteś bezpieczny, co? — spytał Dorr głosem, w którym brzmiała łagodna groźba.

Zaśmiałem się.

— Oczywiście, może ktoś próbować mnie zrobić — powiedziałem. — Ale ostatnim razem nie najlepiej się to udało... Można mnie znowu porwać grożąc rewolwerem. Choć na przyszłość i to będzie trudne... Ale chyba nie grozi mi, że dostanę kulę w plecy, a ty będziesz się procesował o tę forszę z masy spadkowej po mnie.

Dorr pogłaskał swego kota patrząc na mnie spod zmarszczonych brwi.

— Wyjašnjmy sobie od razu kilka ważniejszych spraw — powiedziałem. — Kto będzie odpowiadał za śmierć Lou Hargera?

— Skąd jesteś taki pewny, że nie ty? — spytał ze złością Dorr.

— Moje alibi zostało mocno podbudowane. Nie byłem pewien, na ile jest ono przekonujące, dopóki nie dowiedziałem się, że czas śmierci Lou można bardzo dokładnie określić. Jestem teraz czysty... niezależnie od tego, kto odda policji jaki rewolwer i jaką opowie bajeczkę... A ci, którym kazano obalić moje alibi, sami wpadli w niezłe kłopoty.

— Doprawdy? — spytał Dorr bez większego zainteresowania.

— Bandzior nazwiskiem Andrews i Meksykanin, który mówi, że nazywa się Luis Cadena. Myślę, że o nich słyszałeś?

— Nie znam takich ludzi — powiedział ostro Dorr.

— Zatem nie zmartwi cię wiadomość, że Andrews został zabity, a Cadena jest w rękach policji.

— Oczywiście, że nie — odparł Dorr. — Byli ludźmi Canalesa. To Canales kazał zabić Hargera.

— A więc tak wygląda twoja nowa koncepcja — powiedziałem. — Moim zdaniem jest ona do bani.

Pochyliłem się i wsunąłem pod fotel swą pustą szklankę. Panna Glenn zwróciła głowę w moim kierunku i odezwała się bardzo poważnym tonem, jakby od tego, czy jej wierzę, zależała cała moja przyszłość:

— Oczywiście, oczywiście, że to Canales kazał zabić Lou... W każdym razie zamordowali go ludzie, których Canales za nami wysłał.

Skłoniłem się jej uprzejmie.

— Po co? Dla tej kupy pieniędzy, której mu nie odebrali? Nie zabijaliby go. Mogli go sprowadzić na miejsce i panią razem z nim. Pani zorganizowała to zabójstwo, a sztuczka z taksówką była po to, żeby zgubić mnie, nie chłopców Canalesa.

Szybkim ruchem podniosła rękę. Jej oczy zamigotały. Ciągnąłem dalej:

— Nie świadczy to dobrze o mojej bystrości, ale nie przewidywałem czegoś tak wymyślnego. Kto, do diabła, mógł się tego spodziewać? Canales nie miał żadnego interesu w zabijaniu Lou, chyba że był to jedyny sposób odzyskania pieniędzy, które stracił w wyniku tego szwindlu. Zakładając, że zdążył się już dowiedzieć o waszym kancie.

Dorr oblizywał wargi, potrząsał podbródkami i chytrymi oczkami przyglądał się na zmianę mnie i pannie Glenn.

— Lou wiedział wszystko o grze — powiedziała posepnie dziewczyna. — Ułożył cały plan wspólnie z Pina, tym krupierem. Pina miał uciec ze swoją częścią pieniędzy i pojechać do Hawany. Oczywiście Canales dowiedziałby się o wszystkim, ale nie tak prędko, gdybym nie zaczęła robić szumu i stawiać się. Doprowadziłam do śmierci Lou, ale nie w taki sposób, o jakim pan myśli.

Strząsnąłem sporą porcję popiołu z papierosa, o którym zupełnie na chwilę zapomniałem.

— W porządku — powiedziałem ponuro. — Więc za morderstwo odpowiada Canales... A wy, oszuści, myślicie pewnie oboje, że jest to jedyna sprawa, która mnie obchodzi... Gdzie miał być Lou w momencie, kiedy Canales dowie się, że został wyrolowany?

— Miał być daleko stąd — odparła bezbarwnym głosem panna Glenn. — Cholernie daleko. A ja miałam być razem z nim.

— Bzdury! — powiedziałem. — Zapomina pani chyba, że wiem, dlaczego Lou został zabity.



Beasley wyprostował się w fotelu i delikatnie przesunął prawą dłoń w kierunku lewego ramienia.

— Czy ten spryciarz nie denerwuje pana, szefie?

— Jeszcze nie — powiedział Dorr. — Niech gada dalej.

Przesunąłem trochę swój fotel, zwracając się do Beasleya nieco bardziej przodem. Za oknami niebo pociemniało już i spryskiwacz przestał się obracać. Do pokoju sączyło się z wolna wilgotne powietrze. Dorr otworzył skrzynkę z cedrowego drzewa, wetknął w usta długie cygare i głośno odgryzł jego koniec swymi sztucznymi zębami. Usłyszeliśmy szorstki dźwięk zapalanej zapalniczki, a potem powolne sapanie.

— Zapomnijmy o tym wszystkim i dogadajmy się jakoś co do tych pieniędzy... — powiedział powoli, poprzez obłok dymu. — Manny Tinnen powiesił się dziś po południu w swojej celi.

Panna Glenn gwałtownie podniosła się z miejsca. Stała przez moment z opuszczonymi rękami, potem powoli opadła z powrotem na fotel i zastygła w bezruchu.

— Czy ktoś mu w tym pomógł? — spytałem. Potem wykonałem gwałtowny ruch... i nagle znieruchomiałem.

Beasley rzucił na mnie szybkie spojrzenie, ale ja nie patrzyłem w jego kierunku. Za oszklonymi drzwiami dostrzegłem jakiś cień, odcinający się jaśniejszą plamą od ciemnego trawnika i jeszcze ciemniejszego rzędu drzew. Rozległ się głuchy, ostry, krótki trzask; w otwartych drzwiach dostrzegłem cienki obłoczek białawego dymu.

Beasley drgnął gwałtownie, do połowy uniósł się L fotela i upadł twarzą w dół, podwijając pod siebie jedną rękę.

Przez drzwi wszedł Canales. Minał ciało Beasleya, zrobił jeszcze trzy kroki do przodu i stał w milczeniu, trzymając w ręku długi, czarny rewolwer niewielkiego kalibru, z grubszą nieco rurką tłumika na lufie.

— Nie ruszać się — powiedział. — Potrafię nieźle strzelać, nawet z takiej armaty.

Jego twarz była tak jasna, że wydawała się niemal świetlista. W ciemnych oczach nie widać było źrenic, tylko same szare tęczęwki.

— Głos rozchodzi się wieczorem daleko, zwłaszcza przez otwarte okna — powiedział bezbarwnym głosem.

Dorr położył obie dłonie na biurku i zaczął bębnić po nim palcami. Czarny kot przywarł całym ciałem do blatu, osunął się na podłogę po jego krawędzi i

wlaził pod fotel. Panna Glenn zwróciła głowę w stronę Canalesa niezwykle wolno, jakby poruszana jakimś mechanizmem.

— Być może masz dzwonek w tym biurku — powiedział Canales. — Jeśli ktoś otworzy drzwi, strzelam. Z przyjemnością zobaczę, jak krew tryska z twojego tłustego karku.

Przesunąłem palce prawej dłoni o jakieś pięć centymetrów po poręczy fotela. Rewolwer z tłumikiem zwrócił się w moim kierunku, więc przestałem poruszać ręką. Canales uśmiechnął się lekko pod swym prostokątnym wąsem.

— A więc jesteś sprytnym detektywem — powiedział — Od początku wiedziałem, że mam rację. Ale jest w tobie coś, co mi się podoba.

Nie odezwałem się. Canales znów spojrzał na Dorra.

— Ty i twoi ludzie od dawna zdieraliście ze mnie skórę — zaczął mówić, wyraźnie wymawiając słowa. — Ale nie o to teraz chodzi. Zeszłej nocy oszuści zabrali mi pewną sumę pieniędzy. I to także jest drobiazg. Policja poszukuje mnie jako mordercy tego Hargera. Niejakemu Cadenie kazano zeznać, że to ja go najałem... To już trochę za gruby numer.

Dorr pochylił się łagodnie nad biurkiem, z hałasem oparł na nim łokcie, objął twarz swymi drobnymi rękami i zaczął się trząść jak galareta. Jego cygareto dopalało się na podłodze.

— Chciałbym odzyskać swoje pieniądze — ciągnął Canales — i zależy mi na tym, żeby zwolniono mnie od podejrzeń, ale najbardziej chciałbym, żebyś odezwał się choć słowem, mógłbym wtedy strzelić w twoją otwartą gębę i zobaczyć, jak chluśnie z niej krew.

Leżący na dywanie Beasley poruszył się nieznacznie. Po omacku wyciągnął przed siebie ręce. W oczach Dorra malował się rozpaczliwy wysiłek, by nie patrzeć w tamtą stronę. Canales był całkowicie pochłonięty swym występem i na nic nie zwracał uwagi. Przesunąłem palce znowu kawałek po poręczy fotela. Ale pozostała mi do przebycia jeszcze spora przestrzeń.

— Pina wszystko mi wyznał — ciągnął Canales. — Postarałem się o to. To ty zabiłeś Hargera. Był dodatkowym świadkiem przeciw Manny Tinnenowi. Prokurator trzymał to w tajemnicy, i ten szpicel również nic o tym nie mówił. Ale Harger wygadał się sam. Powiedział o tym swojej dziwce, a ona powtórzyła tobie... Zamordowano go więc w taki sposób, żeby fabrykując motyw zabójstwa skierować podejrzenie na mnie. Najpierw na tego szpicla, a gdyby to nie wyszło — na mnie.

Zapanowała cisza. Chciałem się odezwać, ale nie mogłem niczego z siebie wydusić. Wydawało się, że nikt prócz Canalesa nie powie już nigdy ani słowa.

— To ty załatwiłeś z Piną, żeby pozwolił Hargerowi i jego dziewczynie wygrać moje pieniądze — mówił dalej. — Nie było to trudne, bo ja nie robię żadnych lewych numerów z ruletą.

Dorr przestał się trząść. Uniósł bladą jak kreda twarz i obrócił ją w kierunku Canalesa tak sztywno, jak człowiek, który czuje zbliżający się atak epilepsji. Beasley opierał się na łokciu. Oczy miał niemal całkowicie zamknięte, ale dłoń z rewolwerem unosiła się z wolna.

Canales pochylił się nieco do przodu i zaczął się uśmiechać. Palec, który trzymał na spuście, zbiegał dokładnie w tym samym momencie, kiedy rewolwer Beasleya zagrzemiał, wstrząsany gwałtownymi drganiami.

Canales zgiął się w krzyżu; jego postać przybrała kształt nieruchomego łuku. Sztywno upadł do przodu, uderzył o krawędź biurka i osunął się na podłogę, przez cały czas nie poruszając rękami.

Beasley wypuścił rewolwer i znów padł bezwładnie na twarz. Jego palce zaczęły drgać spazmatycznie, potem znieruchomiały.

Odzyskawszy władzę w nogach wstałem z miejsca i zrobiłem kilka kroków, by — zupełnie bez sensu — kopnąć pod biurko rewolwer Canalesa. Wtedy spostrzegłem, że Canales musiał wystrzelić co najmniej jeden raz, gdyż Frank Dorr nie miał prawego oka.

Siedział spokojnie i nieruchomo, opuściwszy podbródek na piersi. Na nie uszkodzonej połowie jego twarzy malował się wyraz pogodnej melancholii.

Drzwi gabinetu otworzyły się i wśliznął się przez nie sekretarz w cwikierze z wyrazem przerażenia w szeroko otwartych oczach. Zrobił chwiejny krok do tyłu opadając na drzwi, które zamknęły się pod jego ciężarem.

Słyszałem jego gwałtowny oddech, choć stał na drugim końcu pokoju.

— Czy... czy coś się stało? — wykrztusił.

Nawet w tym momencie pytanie to wydało mi się bardzo zabawne. Potem uświadomiłem sobie, że sekretarz jest zapewne krótkowidzem i że z miejsca, na którym stoi, może nie dostrzegać niczego nienaturalnego w wyglądzie Franka Dorra. Cała zaś reszta była pewnie dla ludzi Dorra czymś, co zdarza się na porządku dziennym.

— Tak — odparłem — ale sami się tym zajmijmy. Proszę tu nie wchodzić.

— Tak jest, sir — powiedział i wyszedł. Zaskoczyło mnie to tak bardzo, że otwarłem usta ze zdumienia. Przeszedłem przez pokój i pochyliłem się nad siwowłosym Beasleyem. Był nieprzytomny, ale miał dość wyraźny puls. Z jego boku powoli sączyła się krew.

Panna Glenn wstała z miejsca. Była niemal w takim samym transie, jak poprzednio Canales. Mówiła do mnie szybko swym kruchym, bardzo wyraźnym głosem:

— Nie wiedziałam, że mają zabić Lou, ale i tak nie byłabym w stanie nic na to poradzić. Przypalili mnie żelazem do znakowania bydła, żeby mi pokazać, co mnie czeka. Popatrz!

Popatrzyłem. Rozdarła suknię na przodzie i ujrzałem na jej skórze pomiędzy piersiami ohydną bliznę od oparzenia.

— Okey, panienko — powiedziałem. — To niemiła metoda perswazji. Ale muszę tu teraz wezwać policję i karetkę po Beasleya.

Przeszedłem obok niej do telefonu, odpychając po drodze rękę, którą chwyciła mnie za ramię. Za moimi plecami mówiła dalej ciekim, pełnym rozpaczny głosem:

— Myślałam, że po prostu przetrzymają gdzieś Lou do chwili, gdy zakończy się proces. Ale wyciągnęli go z tej taksówki i zastrzelili bez słowa. Potem ten mały poprowadził taksówkę do miasta, a duży zawiózł mnie do domku w górach. Był tam Dorr. Powiedział mi, w jaki sposób chcą cię zrobić. Obiecał mi pieniądze, o ile im pomogę, albo śmierć w męczarniach, jeżeli nie będę posłuszna.

Przyszło mi do głowy, że za często odwracam się do ludzi plecami. Stałem przodem do dziewczyny, wziąłem w ręce telefon, ciągle jeszcze nie podnosząc słuchawki, i położyłem na biurku swój rewolwer.

— Posłuchaj! Daj mi szansę! — mówiła histerycznym tonem. — Dorr zaplanował to wszystko razem z Pina, tym krupierem. Pina był jednym z członków gangu, który wywiózł Shannona w ustronne miejsce, żeby go tam załatwić. Ja nie...

— Jasne — powiedziałem. — Wszystko w porządku. Nie przejmuj się.

W gabinecie i w całym domu panował zupełny spokój, jak gdyby wszyscy tłoczyli się pod drzwiami, słuchając nas.

— Nie był to zły pomysł — powiedziałem, jak gdybym dysponował nieograniczoną ilością czasu. — Lou był dla Dorra tylko pionkiem. Wymyślił sposób, żeby pozbyć się nas obu jako świadków. Ale było to wszystko zanadto skomplikowane, wymagało udziału zbyt wielu osób. Takie numery zawsze źle się kończą.

— Lou zamierzał wyjechać z tego stanu — mówiła dziewczyna, nerwowo zaciskając palce na sukni. — Bał się. Myślał, że ten numer z ruletą wymyślono po to, żeby go w pewnym sensie przekupić.

— Taak — powiedziałem. Podniosłem słuchawkę i poprosiłem o połączenie z komendą policji.

Drzwi otworzyły się znowu i wpadł sekretarz z rewolwerem w ręku. Tuż za nim stał szofer w liberii, także uzbrojony.

Zacząłem bardzo głośno mówić do słuchawki:

— Dzwonię z domu Franka Dorra. Został tu zabity człowiek...

Sekretarz i szofer wypadli z pokoju. Z hallu dobiegi pospieszny stuk ich butów. Odłożyłem słuchawkę, zadzwoniłem do redakcji gazety „Telegram” i połączyłem się z Von Ballinem. Gdy skończyłem podawać mu fakty do notatki z ostatniej chwili, panna Glenn wyszła już przez oszklone drzwi do ciemnego ogrodu.

Nie poszedłem za nią. Nie bardzo zależało mi na jej złapaniu.

Próbowałem dodzwonić się do Ohlsa, ale powiedziano mi, że jeszcze nie wrócił z Solano. W tym momencie ciszę nocną rozdzierały już odgłosy syren policyjnych.

Miałem trochę kłopotów, ale niezbyt wiele. Fenweather był kimś, z kim musiano się liczyć. Nie wszystkie fakty ujrzały światło dzienne, ale i tak faceci z rady miejskiej w eleganckich, drogich garniturach musieli przez jakiś czas zasłaniać twarze rękami.

Pinę złapano w Salt Lake City. Załamał się i wsypał jeszcze czterech członków gangu Manny Tinnena. Dwóch zastrzelono kiedy bronili się przed aresztowaniem, pozostali dwaj dostali dożywocie.

Panna Glenn zniknęła i nigdy nie natrafiono na jej ślad. I to byłoby chyba wszystko, jeżeli pominąć fakt, że musiałem wpłacić te dwadzieścia dwa kawałki skarbnikowi rady miejskiej. Pozwolił mi potrącić sobie dwieście dolarów honorarium oraz dziewięć dolarów dwadzieścia centów tytułem zwrotu kosztów benzyny. Czasami zastanawiam się, co zrobił z resztą.

## **Złote rybki**

Nie pracowałem tego dnia — po prostu rozparty wygodnie siedziałem w fotelu. Przez okna mego biura wdzierały się powiewy ciepłego wiatru; cząsteczki sadzy z palników olejowych Mansion House, hotelu stojącego po drugiej stronie uliczki, snuły się po szklanym blacie biurka, jak drobinki pyłu kwiatowego unoszące się nad łąką.

Miałem właśnie zamiar pójść na lunch, gdy weszła Kathy Home.

Była wysoką, zaniedbaną blondynką o smutnych oczach, pracowała kiedyś w policji, ale straciła posadę poślubiwszy drobnego kanciarza od czeków bez pokrycia nazwiskiem Johnny Horne, którego chciała nawrócić na drogę cnoty. Nie bardzo jej się to udało, teraz zaś czekała, aż wyjdzie z więzienia, by podjąć następną próbę. Tymczasem prowadziła stoisko z papierosami w Mansion House i przyglądała się kombinatorom przechadzającym się w obłokach dymu łańch cygar. Od czasu do czasu pożyczala któremuś z nich dziesięć dolarów, żeby mógł uciec z miasta. Takie już miała dobre serce. Usiadła, wyjęła z dużej błyszczącej torebki paczkę papierosów i przytknęła do ludnego z nich stojącą na mym biurku zapalniczkę.

Wypuściła z ust pióropusz dymu, marszcząc z niesmakiem nos.

— Czy słyszałeś kiedyś o perłach Leandra? — spytała. — Do diabła, jakie wyświecone masz ubranie. Musisz mieć kupę pieniędzy w banku, żeby się tak ubierać.

— Oba przypuszczenia są błędne — odparłem. — Nie słyszałem nigdy o perłach Leandra i nie mam pieniędzy w banku.

— W takim razie może chciałbyś zarobić część dwudziestu pięciu kawałków?

Zapaliłem jednego z jej papierosów. Wstała i zamknęła okno.

— Mam dość tego hotelowego smrodu — powiedziała.

Wróciła na fotel i ciągnęła dalej:

— Cała sprawa zaczęła się dziewiętnaście lat temu. Facet odsiedział w Leavenworth piętnastkę i cztery lata temu wyszedł. Wielki handlarz drzewem z północy, niejaki Sol Leander, kupił je dla żony — to znaczy te perły, dwie sztuki. Kosztowały dwieście kawałków.

— Musieli chyba przewozić je na taczkach — powiedziałem.

— Widzę, że nie bardzo znasz się na perłach — ciągnęła Kathy Horne. — To nie tylko kwestia wielkości. Tak czy owak, dziś warte są jeszcze więcej, a

dwadzieścia pięć kawałków nagrody wyznaczonej przez towarzystwo ubezpieczeniowe Reliance nadal czeka.

— Rozumiem — odezwałem się. — Ktoś je zwinął.

— Wreszcie zaczynasz myśleć. — Rzuciła niedopałek na popielniczkę, zwyczajem kobiet pozwalając mu się tlić. Zgasilem go za nią.

— Właśnie za to ten facet siedział w Leavenworth, ale nigdy nie dowiedziono mu, że miał te perły. Napadł na wagon pocztowy. Schował się w środku, gdzieś w Wyoming zastrzelił urzędnika, zgarnął zawartość przesyłek poleconych i ulotnił się. Przyskrzynili go dopiero w Kolumbii Brytyjskiej. Ale nie znaleźli jeszcze wtedy łupu, tylko samego faceta. Dostał dożywocie.

— Jeżeli to długa historia, napijmy się.

— Nigdy nie piję przed zachodem słońca. W ten sposób człowiek nie schodzi na psy.

— To system trudny do zniesienia dla Eskimosów — powiedziałem. — Zwłaszcza w lecie.

Przyglądała się, jak wyciągam małą, płaską butelkę. Potem ciągnęła dalej:

— Nazywał się Sype, Wally Sype. Pracował sam. I nie wydusili z niego nic na temat łupu, ani słowa. Dopiero po piętnastu latach obiecali mu ułaskawienie, o ile przyzna się, gdzie ukrył zrabowane rzeczy. Oddał im wszystko oprócz pereł.

— Gdzie miał to schowane? — spytałem. — W kapeluszu?

— Słuchaj, to nie żarty. Dowiedziałam się czegoś o tych perłach.

Zatkałem usta ręką i zrobiłem poważną minę.

— Oświadczył im, że nic nie wie na temat pereł i musieli mu chyba częściowo uwierzyć, bo wypuścili go. A jednak perły były w tym wagonie, w poleconej przesyłce i nikt ich więcej nie widział.

Poczułem lekką suchość w gardle. Nie odzywałem się.

— Pewnego razu podczas pobytu w Leavenworth — ciągnęła Kathy — tylko jeden raz w ciągu tych piętnastu lat, Wally Sype dorwał się do puszek białego szelaku i spił się jak bela. Jego sąsiadem w celi był wtedy mały człowieczek nazwiskiem Peeler Mardo. Odsiadywał dwadzieścia siedem miesięcy za fałszowanie banknotów dwudziestodolarowych. Sype powiedział mu, że zakopał te perły gdzieś w Idaho.

Pochyliłem się trochę do przodu.

— Bierze cię, co? — spytała. — No więc, posłuchaj. Peeler Mardo wynajmuje u mnie pokój, jest narkomanem i mówi przez sen.

Opadłem znów na oparcie fotela.

— Mój Boże! — wykrzyknąłem. — A ja już się zastanawiałem, jak wydam swoją część nagrody.

Spojrzała na mnie chłodno. Potem rozpogodziła się.

— Dobrze — powiedziała dość bezradnie. — Wiem, że to brzmi jak kompletna bzdura. Przez tyle lat wszyscy spryciarze usiłują rozwikłać tę zagadkę — facet z poczty, prywatne agencje i tak dalej. A potem udaje się to jakiemuś narkomanowi. Ale to miły człowieczek i jakoś mam wrażenie, że mówi prawdę. On wie, gdzie jest Sype.

— Czy wszystko to powiedział przez sen? — spytałem.

— Skądże. Ale znasz mnie. Stara policjantka ma dobry słuch. Może byłam wścibska, ale domyśliłam się, że to eks-kryminalista, i martwiłam się, że zażywa tyle tego świństwa. Jest w tej chwili moim jedynym lokatorem, więc przechodząc koło jego drzwi słyszałam, co do siebie mówi. W ten sposób dowiedziałam się tyle, że mogłam go trochę przycisnąć. Opowiedział mi resztę. Żeby zdobyć tę forszę, potrzebuje kogoś do pomocy.

— Gdzie jest Sype? — spytałem, znowu wychylając się do przodu.

Kathy Horne z uśmiechem potrząsnęła głową.

— Tego jednego właśnie nie chciał mi wyjawić ani nazwiska, pod jakim tamten występuje. Ale to gdzieś na północy, w stanie Washington, w miejscowości Olimpia albo w najbliższym sąsiedztwie. Peeler widział go tam i dowiedział się o nim wszystkiego. Twierdzi, że Sype go nie zauważył.

— A skąd ten Peeler wziął się tutaj? — spytałem.

— Tu właśnie aresztowano go i posłano do Leavenworth. Sam wiesz: stary kryminalista zawsze wraca do miejsca, gdzie powinęła mu się noga. Ale nie ma tu teraz żadnych przyjaciół.

Zapaliłem drugiego papierosa i nalałem sobie jeszcze troszkę whisky.

— Mówisz, że Sype wyszedł już dawno. Peeler siedział tylko dwadzieścia siedem miesięcy. Co robił przez cały czas od wyjścia?

W szeroko otwartych, lazurowych oczach Kathy Horne pojawił się wyraz współczucia.

— Tobie się pewno zdaje, że na świecie jest tylko jedno więzienie, do którego mógł trafić?

— Okey — powiedziałem. — Czy zgodzi się ze mną rozmawiać? Przypuszczalnie potrzebuje pomocy, żeby dogadać się z towarzystwem ubezpieczeniowym, na wypadek gdyby okazało się, że te perły w ogóle istnieją, że Sype bez wahania odda je Peelerowi i tak dalej. Czy o to mu chodzi?

Kathy westchnęła.



— Tak, porozmawia z tobą. Zależy mu na tym. Czegoś się boi. Czy możesz tam pójść od razu, zanim zażyje swoją wieczorną porcję?

— Jasne, jeżeli uważasz, że tak będzie lepiej.

Wyjęła z torebki płaski klucz; adres napisała na kartce z mojego notesu. Powoli podniosła się z krzesła.

— Ten dom to taki bliźniak z oddzielnymi wejściami. Ale w środku też są drzwi, zamknięte od mojej strony. Mówię ci to na wypadek, gdyby nie reagował na dzwonek.

— Okey — powiedziałem. Wypuściłem kłęb dymu pod sufit i spojrzałem na nią z uwagą.

Podeszła do drzwi, zatrzymała się i wróciła jeszcze raz. Utkwiła wzrok w podłodze.

— Mój udział w tej sprawie nie jest wiele wart — powiedziała. — Może w ogóle nic. Ale gdybym miała odłożony tysiąc czy dwa, w momencie kiedy Johnny wyjdzie, może...

— Może udałoby ci się zrobić z niego uczciwego człowieka — dokończyłem. — Cała ta sprawa, Kathy, jest pewnie nierealna. Ale jeśli się nie mylę, dostaniesz dokładnie jedną trzecią.

Gwałtownie westchnęła i spojrzała mi w oczy, po-wstrzymując łzy.

— I jeszcze jedno — powiedziała. — Chodzi mi o tego starego, o Sype'a. Odsiedział piętnaście lat. Odpokutował. Ciężko odpokutował. Czy wobec tego nie sądzisz, że postępujemy dość podle?

Potrząsnąłem głową.

— Ukradł je przecież, prawda? Zabił człowieka. Z czego on żyje?

— Jego żona ma pieniądze — odparła Kathy Horne. — On tylko hoduje dla zabawy złote rybki.

— Złote rybki? — powtórzyłem. — Niech go diabli wezmą.

Kathy wyszła z pokoju.

Ostatni raz byłem w okolicach Jeziora Szarego, kiedy pomagałem jednemu z ludzi prokuratora okręgowego, Bernie Ohlsowi, zastrzelić bandziora nazwiskiem Poke Andrews. Było to jednak bliżej wierzchołka wzgórza, dalej od jeziora. Dom Kathy Horne położony był niżej, przy pętli, jaką zataczała szosa okrążając krawędź zbocza. Stał na płaskim kawałku gruntu oddzielonym od

ulicy popekaną podmurówką; z tyłu dostrzegłem kilka niezabudowanych parceli.

Ponieważ kiedyś był to bliźniak, miał dwa oddzielne wejścia; do każdego z nich prowadziły osobne schody. Na kracie zasłaniającej małe okienko w jednych drzwiach wisiała kartka z napisem: „Dzwonić pod numer 1432”.

Zaparkowałem wóz, wspiałem się po wygodnych stopniach, przeszedłem między dwoma rzędami goździków i pokonawszy jeszcze jedne schody stanąłem pod drzwiami, na których wisiał ten napis. Tu powinno znajdować się wejście dla lokatorów. Nacisnąłem dzwonek. Nikt nie otwierał, przeszedłem więc do drugich drzwi. I tym razem nikt nie zareagował na dzwonek.

Gdy tak czekałem zza zakrętu wyjechał szary Dodge; siedząca w nim drobna, elegancka, ubrana na niebiesko dziewczyna przyglądała mi się przez jakąś sekundę. Nie zauważyłem, czy oprócz niej był w samochodzie ktoś jeszcze. Nie zwróciłem na to uwagi. Nie przypuszczałem, że może to mieć jakieś znaczenie.

Wyjąłem klucz Kathy Horne i po chwili byłem już w salonie, w którym unosił się zapach olejku cedrowego. Dostrzegłem kilka niezbędnych mebli, siatkowe firanki i smugę światła słonecznego na podłodze w miejscu, gdzie kończyły się zasłony. Była tam także niewielka jadalnia, kuchnia, sypialnia w głębi najwyraźniej używana przez Kathy, łazienka i druga sypialnia, pełniąca, jak się wydawało, funkcję garderoby. W tym właśnie pomieszczeniu znalazłem drzwi łączące ze sobą obie połowy domu.

Przekręciłem zamek i znalazłem się jak gdyby po drugiej stronie lustra. Wszystko z wyjątkiem mebli usytuowane było w odwrotnym porządku. Salon tej części domu zamieniony był w dwuosobową sypialnię, która sprawiała wrażenie niezamieszkałej.

Ruszyłem w głąb domu, minąłem drugą łazienkę i zapukałem do drzwi pokoju, który znajdował się w tym samym miejscu co sypialnia Kathy.

Nikt nie odpowiadał. Spróbowałem nacisnąć klamkę i wszedłem do środka. Mały mężczyzna leżący na łóżku, był zapewne Peelerem Mardo. Dostrzegłem najpierw jego stopy, ponieważ były bose (choć był całkowicie ubrany) i zwisały poza krawędź łóżka. Nogi związane były w kostkach sznurem.

Obie podeszwy miał przypalone do żywego mięsa. Mimo otwartego okna, w pokoju unosił się swąd zwęglonego ciała. Także woń palącego się drzewa. Sznur stojącego na biurku żelazka ciągle jeszcze wetknięty był w kontakt. Podeszedłem bliżej i wyciągnąłem go.

Cofnąłem się do kuchni Kathy i znalazłem w lodówce butelkę whisky. Łyknąłem sporą porcję, a potem oddychałem przez chwilę głęboko,

przyglądając się widocznym przez okno pustym parcelom. Za domem dostrzegłem wąski wybetonowany chodnik i zielone drewniane schody, którymi można było zejść na ulicę.

Wróciłem do pokoju Peelera Mardo. Brązowa marynarka w czerwone prążki wisiała na oparciu krzesła.

Kieszenie były wywrócone, a ich zawartość leżała na podłodze.

Wywrócone okazały się także kieszenie spodni z tego samego materiału, które Mardo miał na sobie. Przy nim na łóżku leżały klucze, trochę drobnych pieniędzy i chustka do nosa; było tam także metalowe pudełko podobne do damskiej puderniczki, z którego wysypało się trochę lśniącego białego proszku. Kokaina.

Był drobny, niski, miał rzadkie, ciemne włosy i duże uszy. Jego oczy nie posiadały określonej barwy. Ot, po prostu bardzo szeroko otwarte oczy nieboszczyka. Rozkrzyżowane ręce przewiązane były w przegubach kawałem sznura, który przeciągnięto pod łóżkiem.

Obejrzałem go dokładnie, ale nie znalazłem rany od kuli czy noża. Miał spalone stopy, ale ponadto nie był nigdzie zadraśnięty. Przyczyną śmierci musiał być szok, atak serca, a może jedno i drugie razem. Ciało miało jeszcze normalną temperaturę. Knebel w ustach był ciepły i wilgotny.

Wytarłem dokładnie wszystko, czego dotykałem. Przez chwilę stałem wyglądając przez wychodzące na ulicę okno, potem wróciłem do samochodu.

O wpół do czwartej wkroczyłem do hallu Mansion House i podszedłem do stojącego w rogu kiosku z papierosami. Oparłem się o szklany kontuar i poprosiłem o paczkę Cameli.

Kathy Horne szybkim ruchem położyła przede mną papierosy, wrzuciła resztę do górnej kieszonki mojej marynarki i posłała mi swój zawodowy uśmiech.

— No i co? Nie zajęło ci to wiele czasu — zauważyła, patrząc spod oka na jakiegoś stojącego z boku pijaka, który usiłował zapalić cygaro staromodną zapalniczką z knotem.

— Przygotuj się na złe wiadomości — powiedziałem.

Odwróciła się szybko i pchnęła paczkę zapalek po szklanym blacie w kierunku pijanego faceta. Sięgnął po nie niezdarnie, upuścił na podłogę zapaliki i cygaro, podniósł je z wściekłą miną i odszedł, oglądając się przez ramię, jakby oczekiwał, że ktoś go kopnie.

Kathy patrzyła w przestrzeń ponad moją głową; jej oczy były chłodne i pozbawione wyrazu.

— Jestem gotowa — szepnęła.

— Dostaniesz równą połowę — powiedziałem. - Peeler wysiadł. Sprzątnięto go w jego własnym łóżku.

Przymknęła oczy. Zacisnęła dłoń na blacie tuż obok mego łokcia. Usta zbieleły jej nagle.

— Posłuchaj — ciągnąłem. — Nie mów nic, dopóki nie skończę. Umarł pod wpływem szoku. Ktoś mu przypieklł stopy elektrycznym żelazkiem. Nie twoim — sprawdziłem. Chyba umarł od razu i nie zdążył wiele powiedzieć. Ciągle jeszcze miał w ustach knebel. Powiem ci szczerze, że jadąc tam uważałem to wszystko za jakąś bzdurę. Teraz nie jestem wcale pewien. Jeżeli wygadał się, przegraliśmy i my, i Sype, chyba że udałoby mi się znaleźć go wcześniej. To ludzie bez żadnych skrupułów. Jeżeli nie powiedział im nic, mamy jeszcze trochę czasu.

Odwróciła głowę i utkwiała nieruchomy wzrok w obrotowych drzwiach. Na jej policzkach pojawiły się dwie wyraźne białe plamy.

— Co mam zrobić? — wyszeptała cicho.

Zajrzałem do pudełka z cygarami i wsunąłem do środka klucz. Schwyciła go zrećźnie i ukryła w dłoni.

— Wrócisz zwyczajnie do domu i znajdziesz zwłoki. Nie wiesz o niczym. Nie wspominaj nic o perłach ani o mnie. Kiedy sprawdzą jego odciski palców, dowiedzą się o jego przeszłości i będą przypuszczać, że to jakieś dawne porachunki.

Odpakowałem papierosy, zapaliłem jednego i przyglądałem się jej przez chwilę. Nawet nie drgnęła.

— Potrafisz to dobrze odegrać? Jeżeli nie, to lepiej powiedz mi o tym teraz.

— Oczywiście, że potrafię! — Ze zdziwieniem uniosła brwi. — Czy wyglądam na osobę, która torturuje ludzi?

— Wyszłaś za oszusta — powiedziałem z niechęcią.

Zaczerwieniła się gwałtownie; właśnie o to mi chodziło.

— On nie jest oszustem! Jest tylko cholernym durniem! Nikt nie ma mi nic do zarzucenia, nawet ci faceci z komendy.

W porządku. Bardzo się cieszę. W końcu to morderstwo to nie nasza sprawa. A jeśli wygadamy się teraz, możemy pożegnać się z jakąkolwiek nagrodą, gdyby nawet została kiedyś wypłacona.

— No jasne — powiedziała stanowczo Kathy. — Ach, ten nieszczęsny biedak — dodała niemal ze szlochem.

Poklepałem ją po ramieniu, uśmiechając się tak serdecznie, jak tylko potrafiłem, i wyszedłem z Mansion House.

Towarzystwo ubezpieczeniowe Reliance zajmowało trzy niepozorne pokoiki w biurowcu Grassa. Byli na tyle potężną firmą, że mogli urzędować w tak nędznym lokalu.

Dyrektorem oddziału był niejaki Lutin, łysy facet w średnim wieku o tchnących spokojem oczach i delikatnych palcach, w których obracał cygaro. Siedział za dużym, lśniącym biurkiem i życzliwie przyglądał się memu podbródkowi.

— Pan Marlowe, prawda? Słyszałem o panu. — Błyszczącym paznokciem dotknął mej karty wizytowej. Co pana sprowadza?

Obróciłem w palcach papierosa i zniżyłem nieco głos:

— Czy pamięta pan sprawę pereł Leandra?

Uśmiechnął się powoli, z lekkim znudzeniem.

— Nieprędko chyba o nich zapomnę. Kosztowały naszą firmę sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Byłem wtedy zarozumiałym smarkaczem w dziale odszkodowań.

— Mam pewien pomysł — powiedziałem. — Może zupełnie bez sensu. Tak, chyba to bzdura. Ale chciał bym go jednak wypróbować. Czy nadal gotowi jesteście wypłacić te dwadzieścia pięć kawałków nagrody?

Roześmiał się cicho.

— Dwadzieścia kawałków, panie Marlowe. Sami wydaliśmy już pięć. Traci pan czas.

— Mój czas należy do mnie. A więc dwadzieścia. Czy mogę liczyć na jakąś pomoc z waszej strony?

— Pomoc? Jakiego rodzaju?

— Czy mógłbym otrzymać list polecający adresowany do waszych innych oddziałów? Na wypadek, gdybym musiał wyjechać do innego stanu i potrzebował poparcia tamtejszych władz?

— Do jakiego innego stanu?

Uśmiechnąłem się do niego. Stukając cygarem w krawędź popielniczki odwzajemnił mój uśmiech. Żaden z nas nie uśmiechał się szczerze.

— Nie mogę dać panu takiego listu — powiedział. — Nie zgodzi się na to Nowy Jork. Takie są wewnętrzne układy. Ale nieoficjalnie może pan liczyć na naszą pełną współpracę. Również na dwadzieścia tysięcy, jeżeli się panu uda. Ale nic z tego nie będzie.

Zapaliłem papierosa i rozsiadłem się wygodnie, wydmuchując dym w kierunku sufitu.

— Nie? Dlaczego pan tak sądzi? Nie znaleźliście tych pereł. A przecież istniały, prawda?

— Jasne, że istniały. I jeśli istnieją nadal, stanowią naszą własność. Ale nie zdarzyło się, by przedmiot wartości dwustu kawałków znikł na dwadzieścia lat, a potem został nagle odnaleziony.

— W porządku. Mówiłem już, że mój czas należy do mnie.

Strząsnął nieco popiołu ze swego cygara i przyjrzał mi się spod oka.

— Wydaje się pan sympatyczny — powiedział. — Nawet jeśli ma pan bzika. Jesteśmy jednak poważnym przedsiębiorstwem. Przypuśćmy, że od tej chwili każę pana śledzić. I co wtedy?

— Wtedy przegram. Będę wiedział, że jestem śledzony. Zbyt długo pracuję w tym zawodzie, bym mógł In przeoczyć. Zrezygnuję, powiem wszystko, co wiem, policji i wrócę do domu.

— Dlaczego zamierza pan postąpić w ten sposób?

Znow przechyliłem się ponad biurkiem w jego stronę.

— Ponieważ — odparłem powoli — człowiek, który wpadł na ślad tych pereł, został dziś sprzątnięty.

— Ach, tak? — Lutin poskrobał się w nos.

— Nie ja go sprzątnąłem — dodałem.

Przez chwilę żaden z nas się nie odzywał. Potem przemówił Lutin:

— Nie potrzeba panu żadnego listu. Nie nosiłby go pan przy sobie. A sam pan wie, że po tym, co właśnie usłyszałem, nie odważyłbym się go panu dać.

Wstałem, uśmiechnąłem się do niego i ruszyłem w stronę drzwi. Lutin podniósł się szybko z fotela obszedł biurko i położył mi na ramieniu drobną, kształtną dłoń.

— Niech pan posłucha. Wiem, że to wariacki pomysł, ale gdyby pan coś znalazł, proszę to od razu zgłosić w naszej firmie. Zależy nam na reklamie.

— I cóż ja, do diabła, będę z tego miał? — warknąłem.

— Dwadzieścia pięć kawałków.

— Myślałem, że tylko dwadzieścia.

— Dwadzieścia pięć. Dalej uważam, że ma pan bzika. Sype w ogóle nie znalazł tych pereł. Gdyby je miał, już dawno doszedłby z nami do jakiegoś porozumienia.

— Okey — powiedziałem. — Mielicie mnóstwo czasu, żeby się zdecydować.

Podaliśmy sobie ręce, uśmiechając się do siebie jak dwaj cwaniacy, którzy wiedzą, że żaden nie jest w stanie wystrychnąć drugiego na dudka, a jednak stale ponawiają próby.

Gdy wróciłem do biura, była za kwadrans piąta. Wypiłem dwa małe drinki, a potem nabiłem fajkę i usiadłem, by zebrać myśli. Zadzwoił telefon.

— Marlowe? — spytał jakiś głos kobiecy — cichy, skupiony, opanowany. Głos, którego nie znałem.

— Tak.

— Radzę zobaczyć się z Rushem Madderem. Zna go pan?

— Nie — skłamałem. — Po co miałbym się z nim zobaczyć?

W słuchawce zadźwięczał nagle lodowaty śmiech.

— W sprawie faceta, którego bolały stopy — powiedział ten sam głos.

Połączenie zostało przerwane. Odłożyłem słuchawkę, zapaliłem zapałkę i wpatrywałem się w ścianę, dopóki płomień nie sparzył mi palców.

Rush Madder był adwokatem o wątpliwej reputacji, urzędującym w gmachu Ouorna. Specjalista od wypadków ulicznych, ubijania drobnych interesów, podbudowywania alibi — od wszystkich spraw, z którymi łączył się lekki smród i niewiele większy zysk. Nie słyszałem, żeby miał związek z jakimś poważniejszym przedsięwzięciem, na przykład z przypiekaniem komuś stóp.

#### 4

Na Spring Street widać było, że zbliża się godzina zamykania biur. Puste taksówki krążyły blisko krawężników, stenotypistki ukończywszy wcześniej pracę szły już do domów, tramwaje tłoczyły się jeden za drugim, a policjanci drogowi usiłowali rozładować korki tworzące się na skrzyżowaniach ulic.

Budynek Ouorna miał wąską fasadę koloru wyschniętej musztardy; tuż obok wejścia wisiała duża gablota pełna sztucznych zębów. W spisie lokatorów znalazłem dentystów wyposażonych w bezbolesny sprzęt, ludzi pomagających innym zdobyć zawód, trochę nazwisk, przy których nie widniały dodatkowe informacje, i pewną ilość numerów bez żadnych nazwisk. Rush Madder, adwokat, wynajmował lokal 619.

Wysiadłem z rozklekotanej, otwartej kabiny windy, przyjrzałem się brudnej spluwacze na niechlujnej gumowej podstawie, przeszedłem korytarzem, w którym unosił się smród niedopałków, i nacisnąłem klamkę oszklonych drzwi pokoju 619. Były zamknięte. Zapukałem.

Na matowej szybie pojawił się jakiś cień, potem drzwi z głośnym skrzypnięciem otwarły się do wewnątrz. Stał przede mną tęgi mężczyzna; miał okrągły, miękki podbródek, grube, ciemne brwi, tłustawą cerę i wąsiki a la Charlie Chan, które wyraźnie poszerzały mu twarz.

Wysunął przed siebie dwa poplamione nikotyną palce.

— Proszę, proszę, stary tropiciel we własnej osobie. Człowiek o niezawodnym oku. Pan Marlowe, o ile się nie mylę?

Wszedłem do środka i czekałem na skrzypnięcie zamykanych drzwi. Pokój o nagich ścianach, z brązowym linoleum zamiast dywanu, mieścił jedno płaskie biurko, drugie, ustawione do niego pod kątem prostym i wyposażone w żaluzjowe zamknięcie, wielki zielony sejf, który wydawał się być równie ogniotrwały, jak torba z delikatesów, dwie szafki na akta, trzy krzesła oraz szafę ścienną i umywalkę w rogu, obok drzwi.

— Proszę, proszę, niech pan siada — powiedział Madder. — Cieszę się, że pana widzę. — Hałaśliwie obszedł biurko, poprawił starą poduszkę fotela i usiadł. — To ładnie, że zechciał pan wpaść. Czym mogę służyć?

Usiadłem, wetknąłem w zęby papierosa i przyglądałem mu się bez słowa. Zauważyłem, że zaczął się pocić, od czoła, tuż przy włosach. Po chwili chwycił ołówek i zaczął kreślić coś w notatniku. Wreszcie rzucił na mnie szybkie, przelotne spojrzenie i znowu spuścił wzrok na notatnik. Przyglądając mi się, przemówił w końcu:

— Ma pan jakiś pomysł? — spytał cicho.

— W jakiej sprawie?

— W sprawie dobrego interesu, który moglibyśmy ubić. Powiedzmy w branży jubilerskiej — mówił nie patrząc w moim kierunku.

— Co to za dziewczyna? — spytałem.

— Co? Jaka dziewczyna? — Nadal unikał mego wzroku.

— Ta, która do mnie dzwoniła.

— A więc ktoś do pana dzwonił?

Sięgnąłem po jego staromodny telefon, ze zwisającą słuchawką. Zdjąłem ją z zaczepu i bardzo wolno zacząłem nakręcać numer komendy policji. Wiedziałem, że musi znać ten numer równie dobrze, jak własny kapelusz.

Wyciągnął rękę i przerwał połączenie.

— Posłuchaj pan — powiedział płaczliwym tonem. — Po co ten pośpiech? Po co wzywać policję?

— Chcieliby z panem pogadać — mówiłem powoli. — Ponieważ zna pan dziewczynę, wiedzącą coś o facecie, którego bolały stopy.



— Czy to konieczne? — Jego kołnierzyk stał się zbyt ciasny. Szarpnął go palcami.

— Jeśli o mnie chodzi — nie. Ale jeśli pan sądzi, że mam zamiar tu siedzieć i znosić pańskie testy psychologiczne, na tym się chyba skończy.

Madder otworzył płaskie pudełko papierosów i wsunął jednego w usta. Ręka mu drżała.

— W porządku — powiedział stłumionym głosem. — W porządku. Niech pan się nie gorączkuje.

— Dostyc tego zawracania głowy — warknąłem. — Do rzeczy. Jeżeli ma pan zamiar zaproponować mi robotę, najprawdopodobniej jest zbyt śmierzcząca, bym zechciał maczać w tym palce. Ale w każdym razie mogę wysłuchać propozycji.

Kiwnął głową. Był już spokojniejszy. Wiedział, że blefowałem. Wypuścił kłęb dymu i patrzył, jak unosi się ku górze.

— W porządku — powiedział spokojnie. — Ja też czasem udaję głupiego. Rzecz polega na tym, że wiemy o wszystkim. Carol widziała, jak wchodził pan do domu, a potem z niego wyszedł. Nikt nie wezwał policji.

— Carol?

— Carol Donovan. Moja znajoma. To ona do pana dzwoniła.

Kiwnąłem głową.

— I co dalej?

Nie odpowiedział. Siedział na swym fotelu, przyglądając mi się z wyższością. Z uśmiechem pochyliłem się w jego stronę.

— A więc to pana niepokoi — powiedziałem. — Nie wie pan, po co tam pojechałem i dlaczego potem nie wezwałem policji. Odpowiedź jest prosta. Myślałem, że to sekret.

— Przestańmy wreszcie bawić się w kotka i myszkę — powiedział kwaśno.

— Zgoda — odparłem. — Porozmawiajmy o perłach. Czy to panu bardziej odpowiada?

Oczy Maddera załśniły. Usiłował nadać sobie wygląd człowieka podnieconego, ale bez większego powodzenia. Głos miał chłodny i opanowany.

— Carol poznała tego małego któregoś wieczora. Narwany kurdupel był mocno zaprawiony białym proszkiem, ale stale wracał do jednego tematu. Gadał coś o perłach, o jakimś starym facecie z północnego zachodu czy z Kanady, który zwinął te perły dawno temu i do dziś je ma. Nie chciał tylko powiedzieć, jak się nazywa ten gość i gdzie mieszka. Omijał ten temat. Nic nie wygadał. Nie mam pojęcia dlaczego.

— Może chciał, żeby przypalono mu stopy — zauważyłem.

Wargi Maddera zadrżały; na czole znów pojawiły się kropelki potu.

— Ja tego nie zrobiłem — powiedział stłumionym głosem.

— Pan czy dziewczyna — co za różnica? Facet nie żyje. Mogą z tego zrobić sprawę o morderstwo. Nie dowiedzieliście się tego, o co wam chodziło. Dlatego zaprosiliście mnie tu. Myślicie, że ja mam informacje, których wam nie udało się zdobyć. To bzdura. Gdybym wiedział, co trzeba, nie byłoby mnie tutaj, a gdybyście wy to wiedzieli, nie zapraszalibyście mnie. Zgadza się?

Uśmiechnął się bardzo powoli, jakby sprawiało mu to ból. Z wysiłkiem wyprostował się w fotelu, wyciągnął dolną szufladę biurka i ustawił na blacie kształtną brązową butelkę oraz dwie pasiaste szklanki.

— Pół na pół — wyszeptał. — Pan i ja. Wykluczam Carol ze spółki. Do diabła, Marlowe, jest za ostra. Widziałem wiele twardych kobiet, ale ona ma serce z kamienia. A wygląda tak, że nikt by ją o to nie posądził, no nie?

— Czy ja ją widziałem?

— Chyba tak. Ona mówi, że pan ją zauważył.

— Ach, to ta w Dodge'u.

Kiwnął twierdząco głową, nalał do obu szklanek, postawił butelkę i podniósł się zza biurka.

— Ja piję z wodą, a pan?

— Nie, dziękuję. Ale po co panu spółka ze mną? Nie wiem nic prócz tego, co tu usłyszałem. A raczej bardzo niewiele ponadto. Z pewnością wie pan więcej ode mnie, skoro gotów jest pan posunąć się aż tak daleko.

Podniósł wzrok znad szklanek i posłał mi przebiegłe spojrzenie.

— Wiem, gdzie można dostać za perły Leandra pięćdziesiąt kawałków, dwa razy więcej, niż panu zapłacą. Nawet dzieląc się po połowie wychodzę na swoje. Potrzebny mi ktoś, kto może występować oficjalnie, ktoś taki jak pan. No więc, z wodą czy bez?

— Bez — odparłem.

Podszedł do umywalki, odkręcił kran i wrócił ze szklanką do połowy wypełnioną płynem. Usiadł znowu za biurkiem i z uśmiechem podniósł ją w górę.

Wypiliśmy.

Do tego momentu popełniłem tylko cztery błędy. Pierwszy polegał na tym, że w ogóle wmieszałem się w całą aferę, nawet jeśli robiłem to dla dobra Kathy

Horne. Drugi, że nie wycofałem się po znalezieniu zwłok Peelera Mardo. Trzeci, że pozwoliłem Madderowi zorientować się, iż wiem, o co mu chodzi. Czwartym, najgorszym błędem, było wypicie tej whisky.

Już przelitykając ją poczułem, że ma dziwny smak. Potem nastąpił nagle moment olśnienia, w którym zrozumiałem — tak wyraźnie, jakbym widział to na własne oczy — że zamienił swoją szklanekę na ukrytą za szafą inną, z czymś nieszkodliwym.

Przez chwilę siedząc nieruchomo obracałem w palcach pustą szklanekę i zbierałem siły. Twarz Maddera zaczęła wydawać mi się coraz większa, okrągła jak księżyc w pełni i przysłonięta mgłą. Siedział i obserwował mnie; pod wąsikami a la Charlie Chan pojawiał się i znikał uśmiezek.

Sięgnąłem do tylnej kieszeni spodni i wyciągnąłem luźno złożoną chustkę do nosa. Miałem wrażenie, że ukryty wewnątrz mały ciężarek jest niewidoczny. Madder w pierwszej chwili szybko wsunął rękę pod marynarkę, potem jednak zastygł w bezruchu.

Wstałem z krzesła, zatoczyłem się bezwładnie do przodu i zderzyłem go prosto w czubek głowy.

Otworzył usta. Zaczął podnosić się z miejsca. Łupnąłem go w szczękę. Ugiął się w kolanach; jego ręka wysunęła się sztywno spod marynarki i przewróciła stojącą na biurku szklanekę. Postawiłem ją i przez chwilę nasłuchiwałem, walcząc ze wzbierającym we mnie sennym otępieniem.

Podszedłem do drzwi od sąsiedniego pokoju i próbowałem je otworzyć. Były zamknięte. Teraz już z trudem utrzymywałem się na nogach. Dowlokłem do drzwi wejściowych jedno z krzeseł i oparciem zablokowałem klamkę. Przez chwilę stałem pod drzwiami, dysząc ciężko, zaciskając zęby i przeklinając sam siebie. Potem wyjąłem kajdanki i ruszyłem w stronę Maddera.

Spomiędzy wiszących w szafie ubrań wyszła bardzo ładna ciemnowłosa dziewczyna o szarych oczach, z wycelowanym we mnie rewolwerem kaliber 32.

Miała na sobie elegancki niebieski kostium. Spod nasuniętego na oczy kapelusza o płaskim rondzie wystawały lśniące czarne włosy. Spojrzenie ciemno-szarych oczu było zimne, choć równocześnie pogodne.

Na młodej, świeżej, delikatnej twarzy malował się wyraz całkowitej bezwzględności.

— W porządku, Marlowe. Połóż się i prześpij. I tak jesteś przegrany.

Zrobiłem w jej kierunku niepewny krok, wymachując obciążoną chustką. Potrząsnęła głową. Pod wpływem tego ruchu jej twarz powiększyła się

gwałtownie. Jej kontury przesuwaly się i falowały. Lufa rewolweru była na przemian szeroka jak wylot tunelu i wąska jak wykałaczka.

— Nie bądź durniem, Marlowe. Prześpisz się kilka godzin, a my zyskamy trochę czasu. Nie zmuszaj mnie, żebym strzeliła. Jestem gotowa to zrobić.

— Do diabła — wymamrotałem. — Wcale w to nie wątpię.

— I masz rację, kotku. Jestem damą, która lubi stawiać na swoim. No dobrze. Siadaj.

Podłoga uniosła się i uderzyła mnie gwałtownie. Siedziałem na niej jak na tratwie płynącej po wzburzonym morzu. Próbowalem unieść się na rękach. Niemal nie czulem, że dotykam nimi parkietu. Dłonie mi zdrętwiały. Całe ciało było jak sparalizowane.

Próbowalem zmierzyć ją wzrokiem.

— Cha, cha! — zachichotałem. — Morderca w spódnicy!

Zaśmiała się chłodno, ale jej głos prawie do mnie nie docierał. W mojej głowie były teraz bębny, wojenne tam-tamy z dalekiej dżungli. Widziałem poruszające się fale światła i smugi cienia i słyszałem szelest, jaki wydają wierzchołki drzew kołysane wiatrem. Nie chciałem leżeć. Położyłem się.

Z bardzo daleka dotarł do mnie głos dziewczyny:

— Pół na pół, co? Nie podoba mu się mój sposób postępowania? Co za łagodność uczuć! Trzeba się będzie nim zająć.

Zapadając w głąb poczułem niewyraźnie jakiś stłumiony wstrząs — może huk rewolweru? Miałem nadzieję, że zastrzeliła Maddera, ale myliłem się. Po prostu pomogła mi zasnąć — przy pomocy mojego własnego ciężarka.

Kiedy odzyskałem przytomność, było już ciemno. Usłyszałem nad głową jakiś donośny trzask. W otwartym oknie obok biurka pojawił się snop żółtawego światła, padającego na boczne ściany budynku. Odgłos powtórzył się i światło zgasło. Neonowy napis na dachu.

Dźwignąłem się z podłogi ruchem człowieka gramolącego się z gęstego błota. Dobrnąłem do umywalki, ochlapałem twarz wodą, dotknąłem czubka głowy i skrzywiłem się z bólu. Potem dowlokłem się na powrót do drzwi i namacałem kontakt.

Wokół biurka leżały porzrzućane papiery, połamane ołówki, koperty, pusta brązowa butelka po whisky, niedopałki papierosów i resztki popiołu. Śmieci, które ktoś zostawił, opróżniając w pośpiechu szuflady. Uznałem, że nie warto ich przetrząsać. Wyszedłem z biura, zjechałem rozklekotaną windą, wypilem w

ulicznym barze kieliszek koniaku. Potem odnalazłem swój wóz i pojechałem do domu.

Przebrałem się, spakowałem torbę, wypilem trochę whisky i podniosłem słuchawkę dzwoniącego telefonu. Była jakaś dziesiąta trzydzieści.

— A więc nie wyjechałeś — odezwał się głos Kathy Horne. — Miałam nadzieję, że cię jeszcze zastanę.

— Jesteś sama? — spytałem, ciągle jeszcze ochrypłym głosem.

— Tak, ale dopiero od niedawna. Przez wiele godzin dom był pełen policji. Jak na to wszystko, byli bardzo mili. Sądzą, że to jakieś porachunki z dawnych czasów.

— A teraz telefon jest pewnie na podsłuchu — mruknąłem. — Dokąd właściwie miałem jechać?

— No... przecież wiesz. Powiedziała mi ta twoja dziewczyna.

— Niska brunetka? Bardzo opanowana? Mówiła, że nazywa się Carol Donovan?

— Miała twoją kartę wizytową. Jak to, czy to nie była...

— Nie mam żadnej dziewczyny — powiedziałem ponuro. — I mogę się założyć, że w trakcie rozmowy, bez zastanowienia, wymieniłaś pewną nazwę — nazwę miasta na północy. Prawda?

— Taaak — przyznała niepewnie Kathy.

Złapałem nocny samolot na północ.

Podróż byłaby zupełnie przyjemna, gdyby nie to, że bolała mnie głowa i że przez cały czas marzyłem o wodzie z lodem.

## 6

Hotel Snoqualmie w Olimpii stał przy Capitol Way. Przed jego oknami rozciągał się park, zajmujący cały odcinek ulicy. Wyszedłem przez kawiarnię i dotarłem aż do miejsca, w którym wchodząca najgłębiej w łód odnoga Cieśniny Pugeta kończyła się szeregiem opuszczonych przystani. Okolica usłana była starannie ułożonymi w sągi kłodami drzewa; jacyś starcy krzątali się ospale wśród sągów lub palili fajki siedząc na skrzynkach pod tablicami z napisem: „Drzewo opałowe i szczyпки na podpałkę. Dostawa bezpłatna”.

Za nimi wznosiła się niska nadmorska skała; ogromne północne sosny majaczyły na tle szarobłękitnego nieba.

Dwaj starcy, siedzący w odległości jakichś sześciu kroków od siebie, udawali, że nie widzą się nawzajem. Podszedłem wolno do jednego z nich. Miał na sobie

sztruksowe spodnie i coś, co było kiedyś czerwono-czarną wełnianą kurtką, a także stary filcowy kapelusz, tak poplamiony, jakby nosił go od dwudziestu lat. W jednej ręce ścisnął krótką czarną fajkę, brudnymi palcami drugiej powoli, ostrożnie, z namaszczeniem usiłował wyrwać długi, kręty włos, który wystawał mu z nosa.

Ustawiłem pionowo jedną ze skrzynek, usiadłem, napełniłem fajkę i zapaliwszy ją wydmuchnąłem kłęb dymu.

— Kto by pomyślał, że coś takiego łączy się z Pacyfikiem — powiedziałem, wyciągając niedbale rękę w kierunku morza.

Zwrócił wzrok w moją stronę.

— Ślepa zatoka... spokojna, senna, podobnie jak wasze miasto — ciągnąłem. — Lubię takie miejscowości.

Nadal przyglądał mi się w milczeniu.

— Mogę się założyć — odezwałem się — że człowiek, żyjący tu od dawna, zna wszystkich mieszkańców miasta i okolicy.

— O ile się pan założy? — spytał.

Wyjąłem z kieszeni srebrną dolarówkę. Pewna ich ilość była tu nadal w obiegu. Stary obejrzał ją, kiwnął głową, potem wyszarpnął nagle długi włos z nosa i przyjrzał mu się pod światło.

— Przegrałby pan — powiedział.

Położyłem monetę na kolanie.

— Czy zna pan tu kogoś, kto ma dużo złotych rybek? — spytałem.

Stary przyglądał się uważnie monecie. Siedzący blisko nas mężczyzna miał na sobie kombinezon, a przy butach brakowało sznurowadeł. On również wbił wzrok w dolarówkę. Obaj splunęli dokładnie w tym samym momencie.

— Kiepsko słyszę — powiedział mój rozmówca. Podniósł się powoli i ruszył w stronę baraku zbitego ze starych desek różnej długości. Wszedł do środka i z hałasem zatrzaskał drzwi.

Drugi z niechęcią rzucił na ziemię siekierę, splunął w kierunku zamkniętych drzwi i odszedł ku stosom drzewa.

Drzwi baraku uchylły się i ten w wełnianej kurtce wysunął głowę.

— Znajdziesz pan tu tylko kraby bagienne — powiedział i znów trzasnął drzwiami.

Schowałem dolarówkę do kieszeni i ruszyłem z powrotem pod górę. Uznałem, że nauczenie się ich języka zajęłoby mi zbyt wiele czasu.

Capitol Way biegła na północ i na południe. Minął mnie ciemnozielony tramwaj zmierzający do stacji o nazwie Tumwater.

W oddali widziałem budynki rządu stanowego. Idąc ku północy minąłem dwa hotele i jakieś sklepy, a potem dotarłem do miejsca, skąd odchodziły dwie drogi wylotowe. Prawa prowadziła do Tacoma i Seattle, lewa przez most i dalej poza miasto do Półwyspu Olympic.

Tuż za tym skrzyżowaniem ulica stawała się nagle stara i zaniedbana. Idąc popękaną asfaltową jezdnią

minąłem chińską restaurację, zabite deskami kino, jakiś lombard, aż dotarłem do wiszącego nad zaśmieconym trotuarem szyldu: „Wyroby tytoniowe”. Pod spodem widniało słowo: „Bilard” namalowane małymi literami, jakby w nadziei, że nikt go nie dostrzeże.

Wszedłem do środka, mijając półkę z kolorowymi czasopismami i gablotą z cygarami, w której latały muchy. Była tam długa drewniana lada ustawiona po lewej stronie, kilka automatów do gry i stół bilardowy. Przy automatach manipulowała trójka dzieci. Wysoki, chudy mężczyzna o długim nosie i słabo zarysowanej szczęce grał sam ze sobą w bilard, trzymając w ustach wygasłe cygaro.

Usiadłem na stołku barowym; łysy sprzedawca o nie-przyjemnym spojrzeniu wstał z krzesła, wytarł ręce w gruby szary fartuch i pokazał w uśmiechu złoty ząb.

— Whisky — powiedziałem. — Czy zna pan kogoś, kto hoduje złote rybki?

— Tak — powiedział. — Nie.

Nalał coś za ladą i podsunął w moją stronę szklankę z grubego szkła.

— Dwadzieścia pięć centów.

Powąchałem zawartość szklanki i zmarszczyłem nos.

— Czy to: „tak” odnosiło się do whisky?

Łysy mężczyzna wyjął spod lady dużą butelkę z etykietą, na której zapewniano, że jest to „Najlepsza Autentyczna Whisky z Południa Wyprodukowana Co najmniej Cztery Miesiące Przed Datą Nabycia”.

— Okey — powiedziałem. — Widzę, że jest tu od niedawna.

Dolałem do szklanki trochę wody i wypilem. Sądząc po smaku mogła to być szczepionka na cholereę. Położyłem na ladzie dwudziestopięciocentówkę. Barman wykrzywił twarz, pokazując złoty ząb po przeciwnej stronie ust, chwycił brzeg lady dwoma potężnymi rękami i wysunął podbródek w moją stronę.

— Coś pan powiedział? — spytał niemal łagodnym tonem.

— Że jestem tu od niedawna — odparłem. — Szukam złotych rybek do akwarium. Złotych rybek.

— Czy wyglądam na kogoś, kto może znać faceta od złotych rybek? — spytał bardzo powolnym głosem barman. Jego twarz przybladła nieco.

Długonosy, który rozgrywał sam ze sobą partię bilardu odłożył na półkę kij, szybko podszedł do lady i stanawszy tuż obok mnie rzucił na nią pięć centów.

— Daj mi Coca-Colę, zanim zrobisz w portki — powiedział do sprzedawcy.

Barman oderwał się od lady z wyraźnym wysiłkiem. Spojrzał w dół, by zobaczyć, czy jego palce nie zostawiły śladów wgnieceń na drewnianej powierzchni. Wyciągnął Coca-Colę, zamieszał ją pałeczką, postawił na barze, wciągnął głęboko powietrze i wypuścił je przez nos, potem mruknął coś i odszedł ku drzwiom z napisem: „Toaleta”.

Mężczyzna z długim nosem podniósł szklanę do ust patrząc w wiszące za ladą brudne lustro. Lewa strona jego ust poruszyła się na moment. Dosłyszałem jego stłumiony głos:

— Jak się ma Peeler?

Potarłem kciuk o palec wskazujący, podniosłem do nosa, powąchałem i ze smutkiem potrząsnąłem głową.

— Dalej zażywa to świństwo?

— Tak — odparłem. — Nie dosłyszałem nazwiska.

— Mów do mnie Sunset. Wędruję ciągle na zachód. Myślisz, że się nie wygada?

— Nie wygada się — odparłem.

— Jak się nazywasz?

— Dodge Willis. Z El Paso.

— Masz tu gdzieś pokój?

— W hotelu.

Odstawił pustą szklanę.

— No, to chodźmy — powiedział.

## 7

Weszliśmy na górę i siedzieliśmy w moim pokoju patrząc na siebie nad szklankami z whisky, wodą i lodem. Sunset przyglądał mi się badawczo blisko osadzonymi oczami bez wyrazu oceniając mnie stopniowo i podsumowując dokładnie wszystkie wrażenia.

Czekałem, popijając whisky. W końcu przemówił na swój więzienny sposób, nie poruszając wargami.

— Dlaczego Peeler nie przyjechał z tobą?



— Z tego samego powodu, dla którego tu nie zostałem.

— To znaczy?

— Domyśl się sam — odparłem.

Kiwnął głową, jak gdyby to, co powiedziałem, miało jakikolwiek sens.

— Jaka jest ostateczna cena? — spytał po chwili.

— Dwadzieścia pięć kawałków.

— Brednie — powiedział stanowczym, niemal aroganckim tonem.

Oparłem się o poręcz krzesła, zapaliłem papierosa, wydmuchnąłem obłok dymu w kierunku otwartego okna i patrzyłem, jak podmuch wiatru porywa go i rozwiewa na strzępki

— Posłuchaj — powiedział Sunset z niezadowoleniem — widzę cię pierwszy raz w życiu. Może jesteś w porządku. Po prostu nie mam pojęcia.

— Więc dlaczego mnie zaczepiłeś? — spytałem.

— Przecież znałeś hasło, nie?

W tym momencie poszedłem na całego.

— No tak — odparłem z uśmiechem. — Miałem się zgłosić w sklepie tytoniowym i spytać o złote rybki.

Brak reakcji z jego strony przekonał mnie, że zgadłem. Była to okazja, o jakiej człowiek śni, ale nawet we śnie nie potrafi jej wykorzystać.

— No dobrze, i co dalej? — spytał Sunset. Wciągnął do ust kawałek lodu ze szklanki i zaczął go ssać.

Roześmiałem się.

— Okey, Sunset. Przekonałem się już, że jesteś ostrożny. W ten sposób możemy rozmawiać tygodniami. Gdzie jest stary?

Sunset zacisnął wargi, oblizał je, potem znowu ściągnął usta. Bardzo powoli odstawił szklankę i swobodnie oparł prawą rękę na udzie. Byłem już pewny, że zrobiłem błąd, bo Peeler wiedział, gdzie jest stary, wiedział bardzo dokładnie. I dlatego ja również powinienem znać miejsce jego pobytu.

Gdy odezwał się, nic w jego głosie nie wskazywało, że zostałem rozszyfrowany.

— Chcesz, żebym wyłożył karty na stół i żebyś mógł je sobie bez trudu obejrzeć! — wykrzyknął ze złością. — Nic z tego.

— Może więc spróbuję inaczej — powiedziałem mruklawie. — Peeler nie żyje.

Drgnęła mu tylko jedna brew i kącik ust. Oczy — na tyle, na ile było to możliwe — stały się jeszcze bardziej pozbawione wyrazu. Głos zachrząścił lekko, jak palec przesuwający się po wysuszonej skórze.

— Jak to się stało?

— Konkurencja, o której żaden z was nie wiedział.

Rewolwer zaśnił w promieniach słońca niebieskawym, metalicznym blaskiem. Prawie nie dostrzegłem, kiedy po niego sięgnął. Zobaczyłem dopiero skierowany we mnie okrągły, ciemny wylot lufy.

— Zrobiłeś głupstwo, próbując mnie nabrać — powiedział Sunset głucho. — Nie lubię naciągaczy.

Założyłem ręce na piersiach, uważając, żeby moja prawa dłoń była wyraźnie widoczna.

— Zrobiłbym głupstwo, gdybym cię nabierał. Mówię prawdę. Peeler poderwał dziewczynę, a ona wyciągnęła z niego tę historię... ale nie do końca. Nie powiedział, gdzie szukać starego. Razem ze swoim szefem odwiedziła więc Peelera w mieszkaniu. Przy piekli mu stopy rozpalonym żelazkiem. Umarł na skutek szoku.

— Mogę jeszcze długo słuchać — powiedział Sunset.

Moja opowieść nie zrobiła na nim widocznego wrażenia.

— Ja też — warknąłem, nagle udając gniew. — Nie powiedziałaś jeszcze nic, co miałoby choć trochę sensu, z wyjątkiem tego, że znasz Peelera.

Zakręcił rewolwerem wokół wskazującego palca, przyglądając mu się uważnie.

— Stary Sype jest w Westport — powiedział spokojnym tonem. — Czy ta nazwa ci coś mówi?

— Tak. I tam ma te świecidełka?

— Skąd, do diabła, mogę wiedzieć? — Przestał kręcić rewolwerem i oparł go o udo. Wylot lufy nie był już zwrócony w moją stronę. — Gdzie jest ta konkurencja, o której mówiłeś?

— Mam nadzieję, że ich zgubiłem — odparłem. — Nie jestem całkiem pewny. Czy mogę opuścić ręce i napić się?

— Tak, możesz. Skąd ty się wzięłeś w tej całej sprawie?

Peeler mieszkał u żony mojego przyjaciela, który siedzi w pudle. Porządna dziewczyna, można jej zaufać. Przyjął ją do spółki, a ona opowiedziała mi o tym, już po wszystkim.

— Po tym, jak go sprzątnięto? Ile osób do podziału po waszej stronie? Połowa dla mnie.

Wypiłem swoją whisky i odsunąłem pustą szklanę.

— Mowy nie ma.

Lufa rewolweru uniosła się odrobinę, potem opadła.

— Więc ile osób razem? — spytał ostro.

— Trzy, teraz kiedy Peeler odpadł. Jeżeli poradzimy" sobie z konkurencją.

— Z tymi przypiekaczami? Nie będzie kłopotu. Jak oni wyglądają?

— Facet nazwiskiem Rush Madder, prawnik z południa, koło pięćdziesiątki, gruby, z cienkim opadającym wąsem, ciemne włosy, łysina na czubku głowy, średniego wzrostu, dość tęgi, mięczak. Dziewczyna, Carol Donovan, długie czarne loki, szare oczy, ładna, delikatne rysy, jakieś dwadzieścia pięć — dwadzieścia osiem lat, niewysoka, szczupła, ostatnio ubrana na niebiesko, twarda jak skała. To ona jest motorem całej spółki.

Sunset obojętnie skinął głową i schował rewolwer.

— Nauczmy ją grzeczności, jeżeli spróbuje wtykać tu nos — powiedział. — Mam pod domem wóz. Pojedziemy w stronę Westport i rozejrzemy się po okolicy. Może uda ci się podejść go od strony złotych rybek. Mówią, że ma bzika na tym punkcie. Ja nie będę się pokazywał. Stary od razu mnie rozgryzie. Pozna po mnie, że siedziałem.

— Doskonale — powiedziałem pogodnie. — Sam jestem miłośnikiem złotych rybek.

Sunset sięgnął po butelkę, nalał sobie whisky i wypił ją jednym haustem. Wstał, poprawił kołnierzyk koszuli i wsunął swą cofniętą szczękę tak daleko, jak było to możliwe.

— Ale nie wyobrażaj sobie, bracie, że łatwo ci to przyjdzie. Będziesz musiał poruszać się zupełnie po omacku i jakoś wydusić z niego prawdę. Chyba trzeba będzie wykraść te perły.

— W porządku — powiedziałem. — Mamy za sobą towarzystwo ubezpieczeniowe.

Sunset obciągnął poły kamizelki i potarł dłonią chudy kark. Włożyłem kapelusz, schowałem whisky do torby stojącej obok mego krzesła i zamknąłem okno.

Ruszyliśmy do wyjścia. Wyciągnąłem dłoń w stronę klamki, kiedy rozległo się pukanie. Ruchem ręki poleciłem Sunsetowi, żeby cofnął się pod ścianę. Przez chwilę przyglądałem się drzwiom, potem otworzyłem je.

Dwa wycelowane we mnie rewolwery znajdowały się tuż obok siebie. Jeden mały, kaliber 32, i drugi, wielki Smith and Wesson. Nie mogli równocześnie przejść przez drzwi, więc dziewczyna weszła pierwsza.

— Okey, cwaniaku — powiedziała oschle. — Ręce do góry. Zobaczymy, czy dostaniesz do sufitu.

Wolno cofnąłem się w kierunku pokoju. Przybysze napierali na mnie z obu stron. Potknąwszy się o torbę podróżną upadłem w tył, grzmotnąłem o podłogę i z jękiem przewróciłem się na bok.

— Rzuć broń! — rozkazał Sunset nie podnosząc głosu. — Tylko spokojnie!

Dwie pochylone nade mną głowy odwróciły się gwałtownie; wyciągnąłem rewolwer i trzymałem go przy boku, tak by nie był widoczny. Jęczałem dalej.

Zapadła cisza. Nie słyszałem odgłosu upadających rewolwerów. Drzwi od pokoju były nadal otwarte, Sunset zaś stał rozplaszczony przy ścianie i częściowo nimi zasłonięty.

— Pilnuj tego tajniaka, Rush, i zamknij drzwi — powiedziała przez zęby dziewczyna. — Chudy nie może tu strzelać. Ani nikt inny. Zatrzaśnij! — dodała ledwo dosłyszalnym szeptem.

Madder niezdarnie cofnął się ku drzwiom, trzymając mnie na muszce. Był do Sunseta odwrócony tyłem i na myśl o tym nerwowo przewracał oczami. Mogłem go bez trudu zastrzelić, ale nie o to chodziło w tej grze. Sunset stał na rozstawionych stopach, wysunąwszy, nieco język. W jego obojętnych oczach pojawiło się coś w rodzaju uśmiechu.

Obserwował dziewczynę, a ona patrzyła na niego. Oboje mierzyli w siebie z rewolwerów.

Rush Madder dotarł do drzwi i pchnął je z całej siły. Wiedziałem dokładnie, co teraz nastąpi. W momencie zatrzaśnięcia drzwi dziewczyna zamierzała nacisnąć spust. Gdyby stało się to równocześnie, nikt nie usłyszałby strzału. Łomot zamykanych drzwi zagłuszyłby huk rewolweru.

Wyciągnąłem rękę, chwyciłem Carol Donovan za nogę i szarpnąłem z całej siły ku sobie.

Drzwi zamknęły się z trzaskiem. Kula z rewolweru dziewczyny zostawiła ślad na suficie.

Odwracając się gwałtownie próbowała mnie kopnąć.

— Skoro tak, to zaczynajmy! — powiedział powoli Sunset stłumionym, a jednak przenikliwym głosem. Z trzaskiem odbezpieczył Colta.

W jego tonie było coś, co kazało dziewczynie uspokoić się. Rozluźniła mięśnie, opuściła rękę z rewolwerem i odsunęła się ode mnie ze spojrzeniem pełnym nienawiści.

Madder przekręcił klucz w zamku i głośno dysząc stał oparty o drzwi. Kapelusz zsunięty miał na jedno ucho; spod runda wystawały końce dwóch kawałków plastra.

Podczas kiedy czyniłem te spostrzeżenia, nikt się nie poruszył. Z korytarza nie dochodził hałas kroków ani odgłosy paniki. Podniosłem się na kolana, schowałem rewolwer, wstałem i podszedłem do okna. Nie dostrzegłem na chodniku nikogo wpatrującego się w górne piętra hotelu Snoqualmie.

Usiadłem na szerokim, staromodnym parapecie, nadając swej twarzy wyraz takiego zakłopotania, jak gdybym z ust pastora usłyszał ordynarny wyraz.

— Czy to twój wspólnik? — ostro spytała mnie dziewczyna.

Nie odpowiedziałem. Jej twarz zaczerwieniła się, oczy zaświeciły z gniewu.

— Posłuchaj, Carol — nerwowo zaczął Madder, wyciągając rękę. — Posłuchaj chwilę. W ten sposób do niczego...

— Zamknij się!

— No dobrze — powiedział niepewnie. — W porządku.

Sunset raz jeszcze leniwie zmierzył dziewczynę wzrokiem. Swobodnie opierał prawą rękę o biodro i miał wygląd człowieka przeżywającego chwilę beztroskiego odpoczynku. Ponieważ widziałem już raz, jak sięga po broń, miałem nadzieję, że dziewczyna nie da się zwieść pozorom.

— Słyszeliśmy o was — powiedział powoli. — Co macie do zaproponowania? Wcale bym was nie słuchał, ale wolę nie być zamieszany w strzelaninę.

— Tej forszy jest dosyć dla czworga — powiedziała dziewczyna. Madder energicznie przytaknął i zdobył się niemal na uśmiech.

Sunset zerknął na mnie. Wyraziłem zgodę ruchem głowy.

— A więc jest nas czworo — westchnął. — Ale na tym koniec. Pojedziemy do mnie i napijemy się. Nie podoba mi się tutaj.

— Chyba wyglądamy na frajerów — powiedziała z ironią dziewczyna.

— Na frajerów od zabijania — wycedził Sunset. — Wielu już takich widziałem. Właśnie dlatego musimy to wszystko omówić. Tu nie chodzi o strzelanie.

Carol Donovan wyciągnęła spod prawego ramienia zamszową torebkę i wsunęła do niej rewolwer. Uśmiechnęła się. Z uśmiechem na twarzy wyglądała bardzo ładnie.

— Wpłacam swoją stawkę — powiedziała spokojnie. — Przystępuję do gry. Dokąd jedziemy?

— Na Water Street. Weźmiemy taryfę.

Wyszliśmy z pokoju, zjechaliśmy w dół windą i jak czwórka przyjaciół przemaszerowaliśmy do wyjścia przez hall pełen jelenich rogów, wypchanych ptaków i suszonych polnych kwiatów w szklanych gablotkach. Taksówka pomknęła wzdłuż Capitol Way, mijając jakiś plac, potem duży czerwony budynek mieszkalny, zbyt wielki jak na tak małe miasto, nawet jeśli jest ono stolicą stanu. Następnie trzymając się szyn tramwajowych powiozła nas wzdłuż odległych budynków Kongresu Stanowego, obok wysokiej, zamkniętej bramy rezydencji gubernatora.

Po obu stronach drogi rosły dęby. Za murami zasłaniającymi ogrody dostrzeżliśmy kilka sporych willi. Taksówka przemknęła obok nich i skręciła na drogę wiodącą prosto w kierunku Cieśniny. Po chwili dostrzeżliśmy jakiś dom, stojący na wąskiej polanie wśród wysokich drzew. Między pniami błyszczała w dali powierzchnia wody. Dom miał krytą werandę, a niewielki trawnik porastały chwasty i wybujałe krzewy. Na końcu zaniedbanego podjazdu stała szopa, a w niej staromodny otwarty samochód.

Wysiedliśmy i zapłaciliśmy za taksówkę. Wszyscy czworo uważnie przyglądaliśmy się, jak znika z pola widzenia.

— Mieszkam na piętrze — powiedział Sunset. — Dół zajmuje jakaś nauczycielka. Nie ma jej teraz w domu. Chodźmy na górę i napijmy się.

Przeszliśmy przez trawnik do drzwi ganku. Sunset otworzył je i wskazał wąskie schody.

— Damy naprzód. Prowadź, ślicznotko. W tym mieście nikt nie zamyka mieszkania na klucz.

Dziewczyna spojrzała na niego chłodno, minęła go i weszła na schody. Ruszyłem za nią, Madder był trzeci, Sunset szedł na końcu.

Pokój zajmujący większą część pierwszego piętra zaciemniały stojące wokół drzewa. Było tam mansardowe okno, szerokie łóżko wsunięte pod pochyłą część sufitu, stół, kilka plecionych krzeseł, mały radioodbiornik i okrągły czarny piecyk na środku.

Sunset przeszedł do kuchenki i wrócił niosąc prostokątną butelkę i kilka szklanek. Nalał do nich whisky, potem wziął jedną do ręki zostawiając trzy na stole.

Wszyscy sięgnęli po szklanki i rozsiedli się wygodnie.

Sunset wypił jednym haustem i pochylił się, by postawić szklankę na podłodze. Gdy się wyprostował, trzymał w ręku Colta.

W chłodnej ciszy, która nagle zapadła, usłyszałem, jak Madder przełyka ślinę. Wargi dziewczyny drgnęły, jakby miała zamiar się roześmiać. Potem pochyliła się naprzód, stawiając swą szklankę na torebce i przytrzymując ją lewą ręką.

Sunset wolno zacisnął wargi; miały teraz kształt cienkiej, prostej kreski.

— Przypalacze stóp, co? — wycedził wyraźnie.

Madder zakrztusił się i próbował rozłożyć swe tłuste dłonie. Lufa Colta szybko zwróciła się w jego stronę, położył więc ręce na kolanach i mocno zacisnął palce.

— A w dodatku frajerzy — znużonym głosem ciągnął Sunset. — Zmuszać faceta do gadania przypalając mu stopy, a potem wleźć samemu do domu jego kumpla. Przecież trzeba mieć źle w głowie.

— W porządku — nerwowo wyjąkał Madder. — Czego chcesz?

Dziewczyna uśmiechnęła się lekko, ale nie powiedziała ani słowa.

Sunset wyszczerzył zęby.

— Sznura — powiedział cicho. — Długiego, mokrego sznura z dużą ilością węzłów. Potem obaj z moim kolegą pojedziemy złapać dwa świetliki — czyli po prostu perły — a jak wrócimy... — urwał i przesunął lewą dłonią po swym gardle. — Dobry pomysł? — zerknął w moim kierunku.

— Tak, ale nie gadaj tyle. Gdzie jest ten sznur?

— W biurku — odparł Sunset, ruchem głowy wskazując kąt pokoju.

Zacząłem iść w tamtą stronę, przesuając się pod ścianami. Madder pisnął nagle, błysnął białkami oczu i zemdlny upadł z krzesła prosto na twarz.

Sunset drgnął, zaskoczony. Nie spodziewał się czegoś aż tak głupiego. Poruszył prawą ręką zwracając lufę Colta w dół, w plecy Maddera.

Dziewczyna wsunęła dłoń pod torebkę i uniosła ją lekko. Jej rewolwer — o którym Sunset myślał, że jest wewnątrz, a który wsunięty był tylko w schowek z boku — trzasnął i wypluł krótkie pasemko ognia.

Sunset kaszlnął. Jego Colt zagrzmiał i od oparcia krzesła, na którym przedtem siedział Madder, odprysnął kawałek drewna. Sunset wypuścił rewolwer i zwiesiwszy brodę, próbował spojrzeć w sufit. Jego długie nogi wysunęły się spod niego i obcasy butów zgrzytnęły o podłogę. Siedział bezwładnie, z brodą wspartą na piersi i wywróconymi ku górze oczami — martwy jak kłoda.

Kopnięciem wywróciłem krzesło dziewczyny. Runęła w bok zadzierając w górę nogi w jedwabnych pończochach. Jej kapelusz przekrzywił się nieco. Krzyknęła cicho. Nastąpiłem na jej dłoń, potem szybkim ruchem kopnąłem jej rewolwer aż na drugą stronę pokoju.

— Wstawaj!

Podniosła się powoli i zrobiła krok do tyłu. Z zagryzionymi wargami i wściekłością w oczach wyglądała nagle jak brzydkie, osaczone dziecko. Cofała się dalej, aż natrafiła na ścianę. Oczy lśniły w jej upiornie bladej twarzy.

Zerknąłem na dół na Maddera i podszedłem do zamkniętych drzwi. Prowadziły do łazienki. Przełożyłem klucz na drugą stronę i gestem zaprosiłem dziewczynę do środka.

— Właź!

Sztywno przeszła przez pokój i przesunęła się tuż obok, niemal mnie dotykając.

— Posłuchaj chwilę, tajniaku...

Wepchnąłem ją do łazienki, zatrzasnąłem drzwi i prze-kręciłem klucz. Nie miałem nic przeciwko temu, żeby próbowała wyskoczyć przez okno. Widziałem te okna z dołu.

Podszedłem do Sunseta, obmacałem go i w jednej z kieszeni znalazłem kilka kluczy na kółku; gdy je wyciągałem, zwłoki omal nie zsunęły się z krzesła. Nie szukałem niczego więcej.

Na kółku były też klucze od samochodu.

Raz jeszcze spojrzałem na Maddera i spostrzegłem, że ma palce białe jak śnieg. Wąskimi, ciemnymi schodami zszedłem na werandę, okrążyłem dom i wsiadłem do stojącego w szopie starego samochodu. Jeden z kluczy pasował do stacyjki.

Oporny początkowo silnik zapalił w końcu; wycofałem wóz po zniszczonym podejździe na ulicę. Nie widziałem ani nie słyszałem, żeby w domu poruszyło się cokolwiek. Górne gałęzie wysokich sosen, rosnących wokół domu, chwiały się lekko, przepuszczając chwilami chłodne promienie słońca.

Na tyle szybko, na ile starczyło mi odwagi, wróciłem na Capitol Way, przejechałem centrum miasta i minawszy plac oraz hotel Snoqualmie skierowałem się na most prowadzący w stronę Pacyfiku i Westport.

Po godzinie szybkiej jazdy przez przerzedzone lasy, w czasie której towarzyszył mi kaszel ciekącego silnika i musiałem trzykrotnie zatrzymywać się, by nabrać wody, usłyszałem szum morza. Szeroka, biała szosa z żółtą przerywaną linią pośrodku, zatoczyła łuk wokół wzgórza; w oddali zamajaczyła grupa budynków na tle błyszczącej powierzchni oceanu i droga rozwidliła się. Lewa odnoga, oznaczona drogowskazem: „Westport — 9 mil”, nie zmierzała w



kierunku domów, tylko przez stary, zardzewiały żelazny most i dalej wśród sadów — długich rzędów powykęcanych przez wiatr jabłoni.

Po dalszych dwudziestu minutach mój dyszący pojazd wjechał do Westport. Na piaszczystym cyplu drewniane domy stały tu i ówdzie u podnóża rozciągającego się za nimi wzniesienia. Przedłużeniem cypla było długie, wąskie molo; na jego końcu kołysało się kilka jednomasztowych łodzi z łopoczącymi na wietrze opuszczonymi do połowy żaglami. Dalej ciągnął się wyznaczony bojami kanał i długa, nieregularna linia w miejscu, gdzie fale pieniały się, natrafiając na niewidzialną ławicę piasku.

Za ławicą falował Pacyfik, ciągnący się aż do Japonii. To właśnie był ostatni skrawek lądu, najdalej wysunięty na zachód punkt Stanów Zjednoczonych.

Wspaniałe schronienie dla byłego więźnia, który pragnie ukryć się z dwiema cudzymi perłami, wielkości młodych kartofli — pod warunkiem, że nie ma wrogów.

Zatrzymałem się przed domkiem, na którym wisiał szyld: „Obiady, podwieczorki, kolacje”. Drobny, piegowaty mężczyzna o króliczej twarzy wymachiwał grabiami w kierunku dwóch czarnych kurczaków, które głośnym gdakaniem usiłowały zmusić go do ucieczki. Odwrócił się, gdy silnik wozu Sunseta kaszlnął po raz ostatni.

Wysiadłem z samochodu, przeszedłem przez furtkę i wskazałem na szyld.

— Obiad gotowy?

Cisnął grabie w kierunku kurcząt, otarł ręce o spodnie i skrzywił się pogardliwie.

— Żona to wywiesiła — zwierzył mi się ciekawym, przekornym głosem. — Są tylko jajka na szynce.

— Mogą być jajka na szynce — powiedziałem. Weszliśmy do domu. Były tam trzy stoły przykryte wzorzystą ceratą, jakieś obrazki na ścianach i statek pod pełnymi żaglami w butelce na gzymsie kominka. Usiadłem. Gospodarz wszedł przez wahadłowe drzwi; usłyszałem jakiś podniesiony głos, a potem skwierczenie tłuszczu. Po chwili wrócił i pochylając się nade mną położył na ceracie sztucze oraz papierową serwetkę.

— Chyba jeszcze za wcześnie na jabłecznik, no nie? Powiedziałem mu, że chętnie się napiję. Odszedł znowu i wrócił ze szklankami i karafką przejrzystego, bursztynowego płynu. Usiadł obok i nalał jabłecznika. Z kuchni dolatywał głęboki baryton, wyśpiewujący „Chloe” i zagłuszający odgłos skwierczącego tłuszczu.

Stuknęliśmy się szklankami i wypiwszy czekaliśmy, aż ciepło rozejdzie się nam po kościach.

— Pan przyjezdny, prawda? — spytał.

Potwierdziłem.

— Może z Seattle? Tak pan elegancko ubrany.

— Z Seattle — przyznałem.

— Mało kto tu przyjeżdża — powiedział patrząc na moje lewe ucho. — Nikomu nie jest po drodze. Ale przed zniesieniem prohibicji... — przerwał, przerzucając czujne spojrzenie swych oczu dzięcioła na moje drugie ucho.

— Ach, przed zniesieniem prohibicji! — westchnąłem z wymownym gestem i pociągnąłem łyk jabłecznika.

Pochylony ku mnie, sapał mi prosto w twarz.

— Do diabła, można się było napić w każdym straganie rybnym na molo. Rybacy przywozili wódkę pod krabami i ostrygami. Cholera, w Westport było tego pełno! Dawali dzieciom do zabawy skrzynki whisky. W całym mieście nikt nie trzymał samochodu w garażu, panie, każdy garaż aż po dach był pełny kanadyjskiej wody. Kuter straży nadbrzeżnej stawał przy molo raz na tydzień, żeby obserwować wyładunek ryb. W piątek. Zawsze tego samego dnia. — Mrugnął do mnie porozumiewawczo.

Zaciągnąłem się papierosem. W kuchni nadal coś skwierczało, a baryton wyśpiewywał „Chloe”.

— Ale pan przecież nie handluje alkoholem — powiedział mężczyzna.

— Nie. Kupuję złote rybki — odparłem.

— Okey — stwierdził wyraźnie urażony.

Nalałem jeszcze po szklance jabłecznika.

— Za tę butelkę płacę ja — powiedziałem. — I chciał-bym wziąć ze sobą jeszcze dwie.

Rozpromienił się.

— Zapomniałem, jak brzmi pańskie nazwisko.

— Marlowe. Myśli pan, że nabieram pana z tymi rybkami? Mówię poważnie.

— Ale przecież, do diabła, nie można wyżyć z handlu tym drobiazgiem, no nie?

Wyciągnąłem rękę, pokazując mu rękaw marynarki.

— Mówił pan, że jestem elegancko ubrany. Oczywiście można zarobić na handlu rzadkimi gatunkami. Trzeba mieć stale nowe gatunki, nowe okazy. Słyszałem, że mieszka tu taki stary facet, który ma prawdziwą kolekcję. Może zgodzi się ją sprzedać. Albo choćby niektóre okazy, które sam wyhodował.

Potęźnie zbudowana kobieta z wąsami, uchyliła nogą wahadłowe drzwi.

— Zabieraj te jajka na szynce! — wrzasnęła.

Gospodarz odbiegł pospiesznie i wrócił z moim posiłkiem. Zacząłem jeść, a on przyglądał mi się uważnie. Po jakimś czasie nagle klepnął mnie w udo.

— Stary Wallace — zachichotał. — Na pewno przyjechał pan do starego Wallace'a. Do diabła, właściwie prawie go nie znamy. Trzyma się na uboczu.

Obrócił się na krześle i wskazał palcem dalekie wzgórze, widoczne przez liche firanki. Na szczycie stał biało-żółty dom, błyszczący w promieniach słońca.

— Właśnie tam mieszka. Ma ich mnóstwo. Złote rybki, mówisz pan? Cholera, kto by się spodziewał.

W tym momencie przestałem się interesować osobą mego rozmówcy. Przełknąłem posiłek, zapłaciłem za jajka na szynce oraz trzy butelki jabłecznika po dolarze sztuka, uścisnąłem rękę gospodarza i wróciłem do samochodu.

Nie było powodów do pośpiechu. Domyślałem się, że Rush Madder odzyska przytomność i uwolni dziewczynę. Ale nie wiedzieli, że Sype mieszka w Westport.

Sunset nie wymienił przy nich nazwy miejscowości. Nie znali jej też przybywając do Olimpui, bo skierowaliby się tu od razu. A gdyby podsłuchali pod drzwiami mego pokoju hotelowego, to wiedzieliby, że mam gościa. Tymczasem wdarli się do mnie, bo sądzili, że jestem sam.

Miałem mnóstwo czasu. Podjechałem do mola i obejrzałem je. Wydawało się mocne i wytrzymałe. Były tam kioski z rybami, bary, mała knajpka dla rybaków, sala bilardowa, pasaż z automatami do gry i pornograficznymi fotoplastykonami. Małe rybki na przynętę wiły się i skakały w wielkich drewnianych kadziach zanurzonych w wodzie między filarami. Było też paru włóczęgów, którzy sądząc z wyglądu mogli być groźni dla każdego, kto próbowałby mieszać się do ich spraw. Nie zauważyłem nigdzie ani jednego policjanta.

Wjechałem z powrotem na wzgórze i zbliżyłem się do żółto-białego domu. Stał samotnie; od najbliższych zabudowań dzieliły go cztery wolne parcele. Z przodu było trochę kwiatów, strzyżony trawnik, ogródek skalny. Jakaś kobieta we wzorzystej biało-brązowej sukni rozpylała środek przeciwko mszycom.

Zatrzymałem wóz, wysiadłem i zdjąłem kapelusz.

— Czy tu mieszka pan Wallace?

Na jej ładnej twarzy malowały się spokój i zdecydowanie. Kiwnęła potakująco głową.

— Chce się pan z nim zobaczyć? — Miała akcent osoby kulturalnej i spokojny, stanowczy ton głosu.

Nie brzmiał on jak głos żony człowieka, który obrabował pociąg.

Podąłem jej swoje nazwisko, mówiąc, że słyszałem w mieście o jego rybkach i że interesują mnie rzadkie gatunki.

Odłożyła aparat do spryskiwania i weszła do domu. Wokoło brzęczały duże, włochate pszczoły, którym nie szkodził chłodny nadmorski wiatr. Z oddali — jak muzyczne tło — dochodził odgłos fal, uderzających o ławice piasku. Promienie północnego słońca wydawały mi się blade, pozbawione wewnętrznego ciepła.

Kobieta wyszła z domu i stanęła w otwartych drzwiach.

— Jest na górze — powiedziała. — Proszę, niech pan wejdzie tędy.

Minąłem dwa ogrodowe bujane fotele i wszedłem do domu człowieka, który ukradł perły Leandra.

## 10

Cały wielki pokój zajmowały akwaria, ustawione dwoma rzędami na masywnych półkach; duże, prostokątne akwaria w metalowych ramach, oświetlone z góry lub od środka. Za pokrytym glonami szkłem kołysały się swobodnie girlandy wodorostów: w wodzie nasączonej promieniami upiornie zielonego światła poruszały się ryby o wszystkich kolorach tęczy.

Były tam długie, smukłe ryby w kształcie złotych strzał, japońskie welonki o fantastycznie powiewających ogonach, przezroczy indyjskie przejrzyste jak kolorowe szkło, maleńkie pawie oczka, nakrapiane ryby calico i wielkie, ospałe chińskie welony o żabich pyszczkach i oczach na teleskopach, przesuwające się w zielonej wodzie niezdarnie jak otyli mężczyźni udający się na lunch.

Głównym źródłem światła było duże okno w pochyłym dachu. Pod nim przy drewnianym stole stał wysoki, chudy mężczyzna; w lewej ręce trzymał wijącą się czerwoną rybkę, w prawej zaś żyłkę owiniętą z jednej strony taśmą izolacyjną.

Spojrzał na mnie spod krzaczastych, siwych brwi. Miał głęboko wpadnięte, mętne, bezbarwne oczy. Podeszedłem bliżej i przyjrzałem się rybie, którą trzymał w ręku.

— Grzybek? — spytałem.

Wolno skinął głową.

— Biały grzybek. — Położył rybę na stole i ostrożnie rozpostarł jej płetwę grzbietową. Była rozszczepiona i poszarpana; na porozdzieranych krawędziach widoczny był biały meszkowaty nalot.

— Biały grzybek — powiedział — nie jest zbyt groźny. Oczyszczę trochę tego małego zucha i będzie zdrów jak byk. Czym mogę panu służyć?

Uśmiechnąłem się do niego, obracając w palcach papierosa.

— Jak ludzie — powiedziałem. — Myślę o rybach. Też zdarza im się chorować.

Przycisnął lekko rybę do stołu i odciął poszarpany kawałek płetwy. Potem rozpostarł ogon i też trochę go skrócił. Ryba przestała się rzucać.

— Czasem można je wyleczyć, ale nie zawsze. Nie da się na przykład nic poradzić na zaburzenia pęcherza. — Podniósł na sekundę wzrok ku mnie. — Wcale ją to nie boli, niech pan się nie martwi. Rybę można śmiertelnie przestraszyć, ale nie można jej zadać bólu jak człowiekowi.

Odłożył żyletkę na stół, umoczył kłębek waty w jakimś czerwonym płynie i posmarował nim nacięte miejsca. Następnie zanurzył palec w słoiku z białą wazeliną i pokrył nią rany. Wrzucił rybę do małego akwarium stojącego w kącie. Zaczęła spokojnie pływać, jakby była całkiem zdrowa.

Mężczyzna wytarł ręce, usiadł na brzeżku ławy i utkwiał we mnie spojrzeniem swych martwych oczu. Kiedyś, dawno temu, musiał być przystojny.

— Interesuje się pan rybkami? — spytał. Jego głos przypominał ten spokojny, ostrożny półgłos, jakim porozumiewają się więźniowie w celach i na dziedzińcu.

— Nie bardzo — powiedziałem potrząsając przecząco głową. — Był to tylko pretekst. Przyjechałem do pana z daleka, panie Sype.

Nie odrywając ode mnie wzroku oblizał wargi. Gdy odezwał się znowu, jego głos był łagodny i znużony.

— Moje nazwisko brzmi Wallace, proszę pana.

Wydmuchnąłem kółko dymu i przebiłem je palcem.

— Dla moich celów lepiej jest, żeby brzmiało ono Sype.

Pochylił się naprzód i opuściwszy dłonie splótł je między kolanami. Duże, sękaty dłonie, nawykłe do ciężkiej pracy. Uniósł nieco głowę w moim kierunku i jego martwe oczy spoglądały na mnie chłodno spod krzaczastych brwi. Ale głos był w dalszym ciągu łagodny.

— Nie widziałem detektywa od roku. To znaczy nie rozmawiałem z żadnym. O co chodzi?

— Zgadnij — powiedziałem.

Jego głos stał się jeszcze łagodniejszy.

— Posłuchaj, tajniaku. Mam tu miły, spokojny dom. Nikt mnie już nie nachodzi. Nikt nie ma prawa. Dostałem akt ułaskawienia prosto z Białego Domu. Mam tu rybki do zabawy, a człowiek zaczyna po jakimś czasie lubić stworzenia, którymi się opiekuje. Nie jestem nikomu winien ani grosza. Zapłaciłem już. Moja żona ma dość pieniędzy, żebyśmy oboje mieli z czego żyć. Chodzi mi tylko o jedno, żeby mieć święty spokój. —

Przerwał na chwilę i przecząco pokręcił głową. — Nikomu nie pozwolę się już dłużej przesładować.

Nie odzywałem się. Obserwowałem go z lekkim uśmiechem.

— Nikomu nie wolno mnie tknąć — mówił dalej. — Dostałem akt ułaskawienia prosto z gabinetu prezydenta. Chcę mieć wreszcie święty spokój.

Potrząsnąłem głową i dalej uśmiechałem się do niego.

— To jest właśnie to, czego nigdy nie będziesz miał, dopóki nie wyznasz prawdy.

— Posłuchaj — powiedział łagodnie. — Być może, zajmujesz się tą sprawą od niedawna. Uważasz ją za coś nowego. Chcesz zdobyć dobrą opinię. Ale ja mam z tym do czynienia już od dwudziestu lat, tak samo zresztą jak wielu innych ludzi, i to niekiedy bardzo mądrych. Oni wiedzą, że nie mam nic, co nie jest moją własnością. I nigdy nie miałem. Musi to mieć ktoś inny.

— Pewnie ten strażnik pocztowy — powiedziałem.

— Posłuchaj — ciągnął nadal łagodnym głosem. — Odsiedziałem swoje. Nie jestem naiwny. Wiem, że zawsze będą chcieli poznać prawdę — tak długo, jak żyje ktoś, kto pamięta o tej sprawie. Wiem, że od czasu do czasu będą mi przysyłać jakiegoś frajera, ot tak, żeby trochę zamieszać. W porządku. Nie mam o to pretensji. No więc, co mogę zrobić, żeby skłonić cię do powrotu do domu?

Potrząsnąłem głową i wpatrywałem się ponad jego ramieniem w rybki, pływające w wielkich, cichych akwariach. Czułem się znużony. Spokój tego domu wywołał w moim umyśle duchy sprzed wielu lat. Ujrzałem pędzący w ciemności pociąg, napastnika schowanego w wagonie pocztowym, błysk rewolweru, ciało strażnika na podłodze, człowieka wysiadającego ukradkiem podczas postoju przy zbiorniku wody. Człowieka, który potrafi milczeć przez dziewiętnaście lat... ale nie do końca.

— Zrobiłeś jeden błąd — powiedziałem powoli. — Pamiętasz faceta nazwiskiem Peeler Mardo?

Podniósł głowę. Widać było, że szuka w pamięci. Wydawało się, że nazwisko to z niczym mu się nie kojarzy.

— Facet, którego poznałeś w Leavenworth — powiedziałem. — Mały człowieczek, który siedział tam za fałszowanie banknotów dwudziestodolarowych.

— Taaak. Przypominam sobie.

— Powiedziałeś mu, że masz te perły.

Widziałem, że mi nie uwierzył.

— Musiałem go bujać — stwierdził wolno, obojętnie.

— Być może. Ale sprawa wygląda w ten sposób: on był niedawno w tych stronach razem z przyjacielem, facetem, który nazywa się Sunset. Widzieli cię gdzieś i Peeler cię rozpoznał. Zaczął rozmyślać, jakby zarobić trochę forsy. Ale to kokainista, gadał przez sen. Dowiedziała się o wszystkim pewna dziewczyna, a potem jeszcze jedna i pewien adwokat. Przypiekli Peelerowi stopy i umarł.

Sype patrzył mi prosto w oczy. Bruzdy w kącikach jego ust stawały się trochę głębsze.

— Nie wiemy, jak wiele wygadał — ciągnąłem, machając papierosem — ale ten adwokat razem z dziewczyną są w Olimpii. Jest tam też Sunset, tyle że martwy. Zabili go. Nie mam pojęcia, czy znają miejsce twojego pobytu, czy nie. Ale poznają je w końcu, a jak nie oni, to inni w ich rodzaju. Może zdołasz pozbyć się policjantów, jeżeli nie znajdą pereł, a ty nie będziesz próbował ich sprzedać. Może zniechęcą się ludzie z towarzystwa ubezpieczeń, a nawet agenci poczty.

Sype siedział zupełnie nieruchomo. Jego wielkie, sękaty dłonie splecione między kolanami nawet nie drgnęły. Spoglądał na mnie obojętnie pozbawionymi wyrazu oczami.

— Ale nigdy nie pozbędziesz się naciągaczy — powiedziałem. — Ci nigdy nie zrezygnują. Zawsze znajdą się ludzie, mający dość czasu i pieniędzy, a także na tyle chciwi, żeby cię nachodzić. Wymyślą jakiś sposób, żeby dowiedzieć się tego, o co im chodzi. Porwą ci żonę albo ciebie samego wprowadzą do lasu i dadzą wycisk. I będziesz musiał wszystko wyśpiewać... Ja mam dla ciebie uczciwą, rzetelną propozycję...

— Kogo reprezentujesz? — spytał nagle Sype. — Wydawało mi się, że wyglądasz na detektywa, ale teraz nie jestem pewny.

— Towarzystwo ubezpieczeniowe — odparłem. — Oto, co proponuję. Nagroda wynosi w sumie dwadzieścia pięć kawałków. Pięć dla dziewczyny, która przekazała mi informację. To uczciwa kobieta i należy jej się udział w zyskach. Dziesięć kawałków dla mnie. Ja odwaliłem całą robotę i patrzyłem w

lufy wszystkich rewolwerów. Dziesięć dla ciebie, za moim pośrednictwem. Sam nie dostałbyś ani grosza. Co o tym sądzisz?

— Sądzę, że to świetny pomysł — odparł łagodnie. — Tylko że ja nie mam tych pereł.

Spojrzałem na niego z wściekłością. Wyczerpałem już wszystkie atuty. Nie miałem nic więcej do powiedzenia. Wyprostowałem się, rzuciłem niedopałek na drewnianą podłogę i zgmiotłem go obcasem. Odwróciłem się w stronę wyjścia.

Sype wstał i wyciągnął przed siebie rękę.

— Poczekaj chwilę — powiedział z powagą — a dowiodę ci, że mówię prawdę.

Przeszedł obok mnie i znikł za drzwiami. Zagryzając wargi przyglądałem się rybom. Usłyszałem daleki odgłos silnika jakiegoś samochodu. Dotarł do mnie szcęk otwieranej i zamykanej szuflady — najwyraźniej w sąsiednim pomieszczeniu.

Otworzyły się drzwi i do pokoju z akwariami wrócił Sype. W wychudłej dłoni trzymał błyszczącego Colta kaliber 45. Lufa wydawała się równie długa jak jego przedramię.

— Tu właśnie mam perły, sześć sztuk — oznajmił zwracając ku mnie wylot broni. — Ołowiane. Trafiam w muchę z pięćdziesięciu metrów. Nie jesteś żadnym, detektywem. Wstawaj i wynoś się, i zawiadom swoich napalonych przyjaciół, że wystrzelam ich jak kaczki, jeżeli się tu zjawią.

Stałem nieruchomo. W martwych oczach Sype'a czał się obłęd. Nie śmiałem ruszyć się z miejsca.

— Blefujesz — powiedziałem powoli. — Mogę dowieść, że jestem detektywem. Siedziałeś w kryminale, więc nie wolno ci mieć spluwy. Odłóż ją i pogadajmy rozsądnie.

Samochód, który słyszałem poprzednio, zatrzymał się chyba przed domem. Zapiszczały hamulce. Zadudniły kroki na chodniku, potem po schodach. Rozległy się jakieś podniesione głosy, czyjś stłumiony okrzyk.

Sype cofnął się w głąb pokoju, stając między stołem a wielkim akwariem. Zwrócił ku mnie twarz wykrzywioną szerokim uśmiechem człowieka gotowego do podjęcia walki.

— Wygląda, że twoi przyjaciele dołączyli do ciebie — wycedził powoli. — Wyciągnij rewolwer i rzuć na ziemię, dopóki jeszcze możesz.

Nie drgnąłem. Wpatrywałem się w jego krzaczaste brwi i w jego oczy. Wiedziałem, że jeśli się poruszę — choćby po to, by wykonać polecenie — zacznę strzelać.



Kroki na schodach zbliżyły się. Ktoś szedł nierówno, szurając nogami, jakby dźwigał jakiś ciężar.

Do pokoju weszły trzy osoby.

11

Pierwsza pojawiła się wyprostowana nienaturalnie pani Sype. Miała szkliste oczy i sztywno zgięte w łokciach, wyciągnięte naprzód ręce, jakby próbowała uchwycić coś, co nie istniało. Jej pleców dotykała lufa małego rewolweru kaliber 32, fachowo trzymanego przez Carol Donovan w drobnej, bezlitosnej dłoni.

Na końcu szedł Madder. Był podchmielony, pełen pijackiej odwagi, czerwony na twarzy i wściekły. Z drwiącym grymasem wycelował we mnie swego Smith and Wessona.

Dziewczyna odepchnęła panią Sype na bok. Starsza kobieta zatoczyła się w kąt pokoju i opadła na kolana, patrząc przed siebie niewidzącymi oczami.

Sype utkwił wzrok w Carol Donovan. Zaskoczył go fakt, że ma do czynienia z dziewczyną, w dodatku ładną i młodą. Nie był przyzwyczajony do tego typu przeciwników. Widok jej odebrał mu ochotę do walki. Gdyby do pokoju weszli mężczyźni, wystrzelałby ich bez wahania.

Drobna, ciemnowłosa dziewczyna o bladej twarzy przyglądała mu się chłodno.

— W porządku, dziadziu — powiedziała lodowatym, ostrym głosem. — Rzuć spluwę. Tylko ostrożnie.

Sype pochylił się wolno nie odrywając od niej oczu. Położył swego olbrzymiego Colta na podłodze.

— Odsuń go nogą od siebie.

Sype kopnął rewolwer, który ślizgając się po deskach przesunął się na środek pokoju.

— Bardzo ładnie, staruszk. Pilnuj go, Rush, a ja rozbiorę tajniaka.

Oba rewolwery zmieniły położenie. Twarde spojrzenie twardych oczu zwróciło się teraz w moją stronę. Madder podszedł nieco bliżej Sype'a i skierował wylot lufy Smith and Wessona prosto w jego pierś.

Dziewczyna uśmiechnęła się, ale nie był to miły uśmiech.

— Cwaniak z ciebie, co? Trzeba przyznać, że stale pakujesz się w kłopoty. Zrobiłeś głupstwo, tajniaku. Nie obszukałeś swego chudego kumpla. Miał w bucie mapkę.

— Nie była mi potrzebna — powiedziałem spokojnie, uśmiechając się do niej.

Staralem się, żeby ten śmiech wyglądał przekonywująco, bo pani Sype przesuwiała się na kolanach po podłodze i każdy ruch zbliżał ją do Colta.

— Tym razem już koniec z tobą i z twoją uśmiechniętą gębą. Podnieś ręce, żebym mogła ci wyjąć spluwę. No, jazda!

Była ode mnie niższa i na pewno słabsza — po prostu szczupła, drobna dziewczyna. Ja jestem wysoki i ważę prawie dziewięćdziesiąt kilo. Podnosząc ręce uderzyłem ją w szczękę.

Było to głupie, ale miałem już zupełnie dość spółki Madder-Donovan, ich sposobu bycia, rewolwerów i pogróżek. Uderzyłem ją w szczękę.

Cofnęła się o jakiś metr i strzeliła. Kula zapiekła mnie w zębra. Dziewczyna zachwiała się. Powoli, jak na zwolnionym filmie, zaczęła padać. W tym ruchu było coś nienaturalnego.

To pani Sype podniosła Colta i strzeliła jej w plecy.

Madder obejrzał się gwałtownie i w tym samym momencie Sype ruszył w jego kierunku. Madder z okrzykiem odskoczył i znów trzymał Sype'a na muszce. Ten zastygł w bezruchu; na jego chudej twarzy ponownie pojawił się szeroki uśmiech człowieka obłąkanego.

Trafiona kulą dziewczyna runęła naprzód, jak drzwi szarpnięte gwałtownym podmuchem. Ujrzałem powiewający niebieski materiał i coś uderzyło w moją pierś. Była to jej głowa. Gdy padała z powrotem w tył, dostrzegłem przez chwilę jej twarz — obcą twarz, której nie widziałem nigdy dotąd.

Potem leżała już na podłodze obok moich stóp; nieruchoma, martwa, zwinięta w kłębek drobna postać, spod której sączyła się czerwona strużka. Za nią klęczała wysoka, spokojna kobieta, trzymając w obu rękach dymiącego Colta.

Madder dwukrotnie strzelił w kierunku Sype'a. Sype z zastygłym na twarzy uśmiechem runął w przód, uderzając o krawędź stołu. Purpurowy płyn, którym smarował chorą rybę, oblał go od stóp do głów. W momencie gdy padał, Madder trafił go jeszcze raz.

Wyciągnąłem swego Lugera i wpakowałem Madderowi kulę w najbardziej bolesne miejsce, w jakie można, moim zdaniem, postrzelić człowieka, jeśli nie chce się go zabić: w kolano. Upadł dokładnie w taki sposób, jakby potknął się o niewidoczny drut. Założyłem mu kajdanki, zanim jeszcze zaczął jęczeć.

Kopnięciami porzrzucałem rewolwery po kątach, potem podszedłem do pani Sype i wyjąłem z jej rąk ogromnego Colta.

Przez chwilę panował w pokoju zupełny spokój. Smugi dymu sączyły się w kierunku okna w dachu, szare, matowe, blade w południowym słońcu. Słyszałem w oddali huk fal. Potem dotarł do mnie jakiś świszczący dźwięk.

Sype usiłował coś powiedzieć. Żona podpełzła bliżej, ciągle jeszcze na kolanach, i pochyliła się nad nim. Miał na ustach krew i pęcherzyki śliny. Mocno zacisnął oczy, starając się odzyskać przytomność umysłu. Uśmiechnął się do niej. Słabym, świszczącym głosem powiedział: — Welony, Hattie, czarne welony...

Potem uśmiech znikł stopniowo z jego twarzy. Głowa opadła bezwładnie na bok i stuknęła o deski podłogi.

Panie Sype dotknęła go, potem wolno podniosła się i spojrzała na mnie spokojnie suchymi oczami.

— Czy pomoże mi pan przenieść go na łóżko? — spytała cichym, wyraźnym głosem. — Nie chcę, żeby leżał tu razem z nimi.

— Oczywiście — odparłem. — Co on powiedział?

— Nie wiem. Coś bez związku, chyba o swoich rybach.

Ująłem Sype'a pod ramiona, a ona chwyciła go za nogi; razem przenieśliśmy go do sypialni, na łóżko. Złożyła ręce męża na piersi i zamknęła mu oczy. Potem podeszła do okna i opuściła story.

— To wszystko, dziękuję panu — powiedziała, nie patrząc w moją stronę. — Telefon jest na dole.

Usiadła przy łóżku na krześle i położyła głowę na kołdrze, obok ramienia męża.

Wszedłem z sypialni, zamykając za sobą drzwi.

Rana Maddera krwawiła lekko, niegroźnie. Gdy przewiązywałem mu mocno chustką nogę nad kolanem, przyglądał mi się na wpół obłąkanymi ze strachu oczami. Moim zdaniem miał przerwane ścięgno i być może pękniętą rzepkę. Istniała szansa, że będzie kulał, gdy poprowadzą go na szubienicę.

Zszedłem na dół i stałem chwilę na werandzie, patrząc na dwa stojące przed domem samochody, na stok wzgórza i odległe molo. Nikt nie byłby w stanie określić, skąd padły strzały, chyba żeby akurat przejeżdżał obok. Prawdopodobnie nikt nie zwrócił na nie nawet uwagi. W okolicznych lasach często chyba strzelano.

Wróciłem do domu i przyglądałem się telefonowi na korbkę, wiszącemu na ścianie w największym pokoju, ale jeszcze nie dzwoniłem. Coś mnie niepokoiło. Zapaliłem papierosa, wyjrzałem przez okno i nagle w moich uszach zabrzmiały słowa: „Welony, Hattie, czarne welony”.

Wróciłem znowu do pokoju, w którym stały akwaria. Z ust Maddera wydobywały się teraz stłumione, przerywane jęki. Cóż mnie obchodził los takiego oprawcy jak Madder?

Dziewczyna nie żyła. Żadne z akwariów nie było uszkodzone. Ryby pływały spokojnie, powoli i beztrąsko w zielonej wodzie. One też nie zwracały uwagi na Maddera.

Duże akwarium z chińskimi welonami stało w rogu. Były w nim tylko cztery duże ryby, długie na jakieś dziesięć centymetrów i całe czarne jak węgiel. Dwie wdychały tlen na powierzchni wody, dwie zaś poruszały się niezdarnie na dnie naczynia. Miały pełne, grube ciała, wielkie, rozpostarte ogony, szerokie płetwy grzbietowe i wylupiaste oczy, z powodu których oglądane od przodu podobne były do żab.

Patrzałem, jak kręcą się wśród zielonych roślin zarastających akwarium. Dwa czerwone stawowe ślimaki, zbierały osad z szyb. Ryby pływające blisko dna wydawały się grubsze i bardziej ociążałe niż te, które były bliżej powierzchni wody. Zastanawiałem się dlaczego.

Między akwariami leżało sito na długiej rączce. Zanurzysz je w wodzie, złapałem jedną z dużych ryb i wyciągnąłem ją na powierzchnię. Na powierzchni jej srebrnego brzucha dostrzegłem coś, co wyglądało jak blizna. Dotknąłem tego miejsca. Wyczułem pod nim jakiś twardy guz.

Wyciągnąłem drugą rybę z dna akwarium. Miała taką samą bliznę i taki sam twardy, okrągły guz. Wyłowilem jedną z tych, które wdychały tlen na powierzchni wody. Ani blizny, ani twardego, okrągłego guza. Trudniej było ją złapać.

Wrzuciłem ją z powrotem do akwarium. Interesowały mnie tylko tamte dwie. Nie mam nic przeciw ozdobnym rybkom, ale interes to interes, a zbrodnia to zbrodnia. Zdjąłem marynarkę i zawinawszy rękawy koszuli wziąłem ze stołu żyletkę owiniętą taśmą izolacyjną.

Była to bardzo nieprzyjemna robota. Zająła mi jakieś pięć minut. I oto leżały na mojej dłoni, duże jak czereśnie, ciężkie, idealnie okrągłe, mlecznobiałe, błyszczące owym wewnętrznym blaskiem, jakiego nie ma żaden inny klejnot. Perły Leandra.

Oplukałem je, zawinąłem w chustkę do nosa, opuściłem rękawy koszuli i włożyłem marynarkę. Spojrzałem na Maddera, na jego małe umęczone bólem i strachem oczy, na zalaną potem twarz. Nie obchodził mnie Madder. Był mordercą, torturował ludzi.

Wyszedłem na korytarz. Drzwi od sypialni były nadal zamknięte. Skierowałem się do pokoju, w którym wisiał telefon, i zakręciłem korbką.

— Dzwonię z domu Wallace'a w Westport — powiedziałem. — Zdarzył się tu wypadek. Chciałbym wezwać lekarza i policję. Czy może mi pani pomóc?

— Spróbuję wezwać lekarza, panie Wallace — odparła telefonistka. — Ale to trochę potrwa. W Westport jest zastępca szeryfa. Czy on panu wystarczy?

— Chyba tak. — Podziękowałem jej i odwiesiłem słuchawkę. Telefon na wsi ma jednak swoje zalety.

Zapaliłem papierosa i usiadłem w jednym ze stojących na werandzie bujanych foteli. Po chwili rozległy się kroki i z domu wyszła pani Wallace. Przez chwilę stała spoglądając w dół, potem usiadła na drugim fotelu obok mnie. Przyjrzała mi się uważnie oczami, w których nie było śladu łez.

— Jest pan zapewne detektywem? — spytała wolno, nieśmiałym tonem.

— Tak. Reprezentuję towarzystwo, które ubezpieczyło perły Leandra.

Skierowała wzrok w przestrzeń.

— Myślałam, że będzie tu miał spokój — powiedziała. — Że nikt go nie będzie więcej nachodzić. Że to miejsce stanie się dla niego schronieniem.

— Popęłnił błąd, starając się zatrzymać te perły.

Szybko odwróciła się w moją stronę. Na jej obojętnej dotąd twarzy pojawił się nagle lęk.

Sięgnąłem do kieszeni, wyciągnąłem złożoną chustkę i rozpostarłem ją na dłoni. Leżały obok siebie na białym płótnie. Kosztowały dwieście tysięcy i życie kilku ludzi.

— Mógł mieć swoje schronienie — powiedziałem. — Nikt nie chciał mu go odebrać. Ale to mu nie wystarczyło.

Powoli, jakby z ociąganiem, spojrzała na perły. Jej wargi drgnęły. Głos stał się lekko ochryply.

— Biedny Wally — powiedziała. — A więc znalazł je pan. Jest pan bystrym człowiekiem. Zabił dziesiątki ryb, zanim nauczył się, jak to zrobić.

Podniosła wzrok ku mojej twarzy. W głębi jej oczu odbijało się lekkie zdziwienie.

— Zawsze byłam temu przeciwna. Pamięta pan tę starą biblijną historię o kozle ofiarnym?

Potrząsnąłem przecząco głową.

— O zwierzęciu, na które przelewano wszystkie ludzkie grzechy, a potem wypędzano je na pustynię. Te ryby były jego kozłem ofiarnym.

Uśmiechnęła się do mnie. Nie odwzajemniłem jej uśmiechu.

— Widzi pan — ciągnęła, nadal z tym samym wyrazem twarzy — kiedyś miał te perły, to znaczy tamte prawdziwe, i uważał, że za to, co wycierpiał, stały się jego własnością. Ale nie miałby z nich żadnej korzyści, nawet gdyby udało mu się je odnaleźć. Podczas jego pobytu w więzieniu zmienił się chyba jakiś punkt orientacyjny i nigdy nie udało mu się znaleźć tego miejsca w Idaho, gdzie je wtedy zakopał.

Poczułem na plecach jakby dotknięcie lodowatego palca, przesuującego się w górę i w dół. Otworzyłem usta i czyjś głos, który może należał do mnie, spytał: — Jak to?

Czubkiem palca dotknęła jednej z pereł. Ciągle trzymałem je w tej samej pozycji, jakby zesztyniała mi ręka.

— Kupił więc te — ciągnęła. — W Seattle. Są puste, wypełnione białym woskiem. Wyglądają bardzo pięknie. Oczywiście nie widziałam nigdy w życiu cennych pereł.

— Po co je kupił? — wychrypiałem.

— Nie rozumie pan? Symbolizowały jego winę. Musiał ukryć je na pustkowiu, to znaczy tutaj. Schował je w rybach. I wie pan — pochyliła się znowu w moją stronę i oczy jej lekko zablęły. Mówiła bardzo wolno, z naciskiem. — Czasami myślę, że pod sam koniec, chyba w ciągu ostatniego roku, naprawdę już wierzył, że ukrywa prawdziwe perły. Czy pan jest w stanie to pojąć?

Opuściłem wzrok na perły. Moja dłoń zamknęła się z wolna wokół chustki.

— Jestem prostym człowiekiem, pani Sype. Wydaje mi się, że cała ta teoria kozła ofiarnego jest dla mnie zbyt skomplikowana. Powiedziałbym raczej, że próbował oszukać trochę sam siebie, jak każdy człowiek, któremu się nie powiodło.

Znów się uśmiechnęła. Uśmiech dodawał jej urody. Potem lekko wzruszyła ramionami.

— Oczywiście pan skłonny jest patrzeć na to pod tym kątem. Ale ja... — rozłożyła bezradnie ręce. — Tak czy owak nie ma to już znaczenia. Czy mogę zatrzymać je na pamiątkę?

— Zatrzymać je?

— Te., te lewe perły. Przecież pan nie...

Wstałem. Stary odkryty Ford hałaśliwie piał się pod górę. Siedzący w nim mężczyzna miał przypiętą do kamizelki dużą gwiazdę. Terkot silnika przypominał skrzeczenie jakiejś rozszoszczonej małpy, zamkniętej w ogrodzie zoologicznym.

Pani Sype stała obok mnie z lekko wysuniętą-ręką i z błagalnym, nieśmiałym wyrazem twarzy.

Uśmiechnąłem się do niej w nagłym przypiływie okrucieństwa.

— No tak, nieźle pani to zagrała do pewnego momentu — powiedziałem. — O mały włos bym się nabrał. Aż mnie zimny dreszcz przeszedł! Ale sama pani mi pomogła. Słowo: „lewe” nie pasowało do pani. Szybko i dość twardo posłużyła się pani tym Coltem. Ale największe podejrzenia wzbudziły we mnie ostatnie słowa Sype'a. „Welony, Hattie, czarne welony”. Nie trudziłyby się, gdyby to były imitacje. A nie było z nim aż tak źle, żeby naprawdę uwierzył we własną bajeczkę.

Przez krótką chwilę jej twarz zastygła w bezruchu. Nagle zmieniła się. W jej oczach pokazało się coś przerażającego. A potem splunęła mi w twarz. I znikła wewnątrz domu, zatrzasnąjąc za sobą drzwi.

Wsunąłem dwadzieścia pięć tysięcy dolarów do kieszeni kamizelki. Dwanaście i pół tysiąca dla mnie i tyle samo dla Kathy Horne. Wyobrażałem sobie jej minę, jak przyniosę czek, żeby mogła zdeponować go w banku aż do momentu, kiedy Johnny zostanie przedterminowo zwolniony z San Ouentin.

Ford zatrzymał się za stojącymi samochodami. Kierowca — potężnie zbudowany mężczyzna w koszuli z krótkimi rękawami — zaciągnął ręczny hamulec i wyskoczył nie otwierając drzwiczek.

Wyszedłem mu naprzeciw.

## **Gorący wiatr**

Przez cały wieczór wiał wiatr z pustyni. Jeden z tych suchych, ciepłych wiatrów, które przeciskają się przez przełęcz górskie, schodzą w dół, mierzwią przechodniom włosy, wywołują rozstrój nerwowy i swędzenie skóry. W taki wieczór każda pijatyka kończy się burdą. Łagodne, drobne żony sprawdzają palcem ostrość kuchennych noży, przyglądając się szyjom mężów. Wszystko

może się zdarzyć. Bywa nawet, że człowiek dostanie w knajpie uczciwie napełnioną szklanę piwa.

Właśnie mi taką podano w eleganckim nowym barze naprzeciw domu, w którym wynajmowałem mieszkanie. Otwarty był od tygodnia i nie miał jeszcze klienteli. Barman miał niewiele ponad dwadzieścia lat i wyglądał na człowieka, który nigdy w życiu nie wypił kropli alkoholu.

Oprócz mnie był tam tylko jeden klient — jakiś pijak siedzący na barowym stołku tyłem do drzwi. Stała przed nim starannie wzniesiona kolumnienka dziesięcio-centówek — w sumie ze dwa dolary. Pił małymi szklaneczkami żytniówkę i był zupełnie sam, pogrążony w swym własnym świecie.

Usiadłem przy barze trochę dalej od wejścia i barman podał mi szklanę piwa.

— Nie dajecie tu człowiekowi samej piany — powiedziałem. — Muszę to wam przyznać.

— Dopiero co otworzyliśmy lokal — odparł chłopak. — Musimy pozyskać sobie klientów. Pan już tu był, prawda?

— Aha.

— Mieszka pan w pobliżu?

— W bloku Berglunda, naprzeciwko — powiedziałem. — Nazywam się Filip Marlowe.

— Bardzo mi miło. Jestem Lew Petrolle. — Pochylił się w moją stronę nad lśniącem barem. — Zna pan tego faceta?

— Nie znam.

— Chyba powinien już pójść do domu. Może zawołam mu taksówkę. Już dziś zaczął pić porcję alkoholu przypadającą na następny tydzień.

— W taką noc... — powiedziałem. — Zostaw pan go w spokoju.

— Niezdrowo tyle pić — powiedział chłopak i skrzywił się z niesmakiem.

— Jeszcze jedną — zachrypiał pijak nie podnosząc głowy. Trzasnął palcami, nie chcąc widać grzmotnąć pięścią w bar, by nie rozburzyć swego stosu monet.

— Podać mu? — Barman spojrzał na mnie i wzruszył ramionami.

— W końcu to jego żołądek, nie mój.

Chłopak nalał mu żytniówkę i chyba poprawił ją za barem wodą, bo gdy się wyprostował, miał minę tak pełną winy, jakby kopnął własną babkę. Pijak nie zwrócił na to uwagi. Zdejmował monety precyzyjnym, skupionym gestem świetnego chirurga, który operuje guz mózgu.



Chłopak wrócił na miejsce i dał mi jeszcze jedno piwo. Z zewnątrz dochodziło wycie wiatru. Co jakiś czas uchylał nawet trochę ciężkie, ozdobione witrażem wahadłowe drzwi.

— Po pierwsze, nie lubię pijaków — powiedział barman. — Po drugie, nie lubię, gdy upijają się tutaj. A po trzecie, to W ogóle z zasady ich nie znoszę.

— Tę kwestię mogłaby wykorzystać wytwórnia filmowa Warner Brothers — powiedziałem.

— Już to zrobiła.

W tym momencie pojawił się jeszcze jeden klient. Na ulicy z piskiem zahamował samochód i wahadłowe drzwi otworzyły się. Przybysz wyglądał na człowieka, któremu się spieszy. Zatrzymał się w progu i zlustrował lokal szybkim spojrzeniem zimnych, błyszczących, ciemnych oczu. Dobrze zbudowany, ciemnowłosy, o szczupłej twarzy i wąskich wargach, mógł wydać się przystojny komuś, kto lubi ten typ urody. Miał ciemne ubranie; z górnej kieszeni marynarki wystawała biała chustka. Wydawał się równocześnie spokojny i jakby czymś zdenerwowany. Ja czułem się podobnie, tyle że nie byłem spokojny.

Spojrzał na plecy pijaka, który grał w warcaby swymi pustymi szklaneczkami. Z kolei zerknął na mnie, wreszcie na rząd odgradzonych od siebie ściankami stolików po drugiej stronie sali. Nie było tam nikogo. Potem minął chwiejącego się i mamroczącego pod nosem pijaka i zwrócił się do barmana.

— Czy nie było tu wysokiej, ładnej szatynki, we wzorzystym bolerku i sukni z niebieskiej jedwabnej żorzety? W słomkowym kapeluszu z szerokim rondem i aksamitną wstążką?

Jego ostry głos wydał mi się niesympatyczny.

— Nie, proszę pana. Nikogo takiego tu nie widziałem — odparł chłopak.

— Dziękuję. Jedną whisky, tylko jak najszybciej!

Chłopak podał mu szklanę. Przybysz zapłacił, wypił jednym haustem i ruszył do wyjścia. Zrobił może trzy, cztery kroki i zatrzymał się nagle na widok mężczyzny siedzącego przy drzwiach. Pijak wykrzywił twarz w szerokim uśmiechu. Wyciągnął skądś pistolet tak szybko, że widzieliśmy tylko zamazaną smugę w powietrzu. Trzymał go pewnie i nie wydawał się bardziej pijany, niż ja. Wysoki, ciemnowłosy mężczyzna stał jak sparaliżowany; potem nagle odchylił głowę nieco w tył i znów zastygł w bezruchu.

Na ulicy zapiszczały opony. Pistolet pijaka — sportowa dwudziestka dwójka z dużą muszką — wydał dwa „ ostre trzaski; w powietrzu uniósł się obłoczek dymu.

— Żegnaj, Waldo — powiedział pijak. Potem skierował lufę na barmana i na mnie.

Upłynął chyba tydzień, zanim trafiony mężczyzna upadł na ziemię. Zatoczył się, odzyskał równowagę i zatoczył się ponownie, zrzucając przy tym swój kapelusz. Potem uderzył twarzą o podłogę, z takim hałasem, jakby był odlany z betonu.

Pijak zsunął się ze stołka, zgarnął do kieszeni swój bilon i ruszył ku drzwiom, odwrócony do nas bokiem, z bronią tuż przy sobie. Nie miałem ze sobą rewolweru. Wychodząc, żeby się napić piwa, nie sądziłem, że będzie mi potrzebny. Barman stał nieruchomo, bez słowa.

Mężczyzna namacał drzwi ramieniem, nie spuszczać z nas wzroku, potem popchnął je plecami. Gdy były już szeroko otwarte, wdarł się przez nie silny podmuch powietrza i rozwiały włosy leżącego.

— Biedny Waldo — powiedział pijak. — Chyba rozkrwawiłem mu nos.

Drzwi zatrzasnęły się. Rzuciłem się za nim — jako człowiek od dawna nawykły do robienia głupstw. Tym razem nie miało to znaczenia. Zawarczał silnik samochodu i kiedy wypadłem na trotuar, dostrzegłem tylko czerwoną smugę tylnych świateł znikającą za najbliższym rogiem. O odczytaniu numeru rejestracyjnego nie było nawet mowy.

Na ulicy, na której jak zwykle sporo było samochodów i przechodniów, nikt nie zachowywał się tak, jakby słyszał wystrzał. Wiatr robił tyle hałasu, że każdy mógł wziąć ten ostry krótki trzask dwudziestki dwójki za odgłos zatraskiwanych drzwi. Wróciłem do baru.

Chłopak jeszcze nie ruszył się z miejsca. Stał lekko oparty o bar i wpatrywał się w plecy leżącego. Ten także nie zmienił pozycji. Schyliłem się i dotknąłem jego tętnicy szyjnej. Zrozumiałem, że nie poruszy się już nigdy więcej.

Twarz barmana miała tyle ekspresji co befsztyk — i mniej więcej ten sam kolor. Wydawał się bardziej oburzony niż wstrząśnięty.

Zapaliłem papierosa i wypuściłem w górę kłęb dymu.

— Idź pan do telefonu — powiedziałem krótko.

— Może on jeszcze żyje.

— Kiedy ktoś używa broni kaliber 22, to znaczy, że umie strzelać. Gdzie jest telefon?

— Nie założyłem go jeszcze. I tak miałem dosyć wydatków. Panie, osiemset dolarów wyrzucone przez okno!

— Pan jest właścicielem?

— Byłem, dopóki to się nie wydarzyło.

Zdjął białą kurtkę i wysunął się zza baru.

— Zamykam drzwi — oznajmił, wyciągając klucze.

Wyszedł z lokalu i manipulował przy zamku, dopóki zatrask nie zaskoczył. Schyliłem się i odwróciłem zwłoki. Z początku nie dostrzegłem nawet, gdzie został trafiony. Potem zobaczyłem dwa małe otwory w marynarce na wysokości serca. Koszula była poplamiona krwią.

Pijak był prawdziwym ekspertem — od zabijania.

Wóz policyjny zjawił się po jakichś ośmiu minutach. Chłopak stał już wtedy z powrotem za barem. Znów miał na sobie białą kurtkę; liczył znajdujące się w kasie pieniądze i wkładał je do kieszeni zapisując coś w notesie.

Siedziałem przy jednym ze stolików, paliłem papierosy i patrzyłem, jak twarz leżącego na podłodze staje się coraz bardziej martwa. Zastanawiałem się, kim może być dziewczyna we wzorzystym bolerku, dlaczego Waldo zostawił przed barem wóz z zapalonym silnikiem, dokąd się tak spieszył, czy pijak czekał na niego, czy też znalazł się tu przypadkiem.

Weszli dwaj spoceni policjanci z wozu patrolowego. Jak zwykle obaj byli wysocy; jeden miał kwiat wetknięty pod rondo przekrzywionej nieco czapki. Ujrawszy zwłoki wyjął kwiat i pochylił się, by namacać puls.

— Chyba nie żyje — powiedział i odwrócił zwłoki na plecy,

— Tak, widzę, gdzie dostał. Ładna, czysta robota. Czy byliście przy tym?

Potwierdziłem. Barman nie odezwał się ani słowa. Opisałem im całe zajście, wyrażając przypuszczenie, że morderca odjechał samochodem ofiary.

Policjant wyciągnął portfel zabitego, przejrzał szybko zawartość i gwizdnął cicho.

— Kupa forsy i brak prawa jazdy. — Odłożył portfel na miejsce. — Nie dotykaliśmy go, słyszycie? Myślałem, że może da się ustalić, jaki miał wóz, i ogłosić numer przez radio.

— Przecież dotknęliśmy go — powiedział Lew Petrolle.

Policjant spojrzał na niego przeciągle.

— Okey, kolego — powiedział cicho. — Dotknęliśmy go.

Chłopak wziął czystą wysoką szklankę i zaczął ją wycierać. Wycierał ją aż do końca naszego pobytu w barze.

Po jakiejś minucie rozległa się syrena wozu policyjnego, za drzwiami zapisały hamulce i weszli czterej mężczyźni: fotograf, ekspert z laboratorium i dwaj nie znani mi policjanci po cywilnemu. W dużym mieście, nawet będąc przez długi czas detektywem, można nie poznać wszystkich pracowników komendy.

Niższy był ciemny, kędzierzawy; w jego bystrych oczach błąkał się łagodny uśmiech. Drugi, wysoki i kościsty, miał wystającą szczękę, pokryty drobnymi żyłkami nos i szkliste oczy człowieka, który dużo pije. Wyglądał na twardego, zachowywał się jednak tak, jakby uważał się za jeszcze twardszego, niż jest. Wepchnął mnie do ostatniej łoży pod ścianą, jego kolega kazał chłopcu wyjść z baru. Umundurowani policjanci opuścili bar. Fotograf i ekspert od odcisków palców wzięli się do roboty.

Przybył lekarz i zaraz wyszedł, wściekły, że na miejscu nie ma telefonu, z którego mógłby wezwać samochód z kostnicy.

Niższy z policjantów opróżnił kieszenie zabitego oraz jego portfel i ułożył ich zawartość na chustce rozpostartej na stole. Była tam spora ilość gotówki, klucze, papierosy, jeszcze jedna chustka do nosa i chyba nic więcej.

Wysoki wepchnął mnie z powrotem do łoży.

— Dokumenty — powiedział. — Jestem Copper, porucznik służby śledczej.

Podąłem mu portfel. Obejrzał go, przeglądał zawartość, rzucił z powrotem na stół i zapisał coś w notesie.

— Filip Marlowe, co? Szpicel. Był pan tu w sprawach zawodowych?

— W sprawie picia — odparłem. — Mieszkam po drugiej stronie, w domu Berglunda.

— Zna pan tego chłopaka z baru?

— Byłem tu jeden raz, od kiedy otworzył lokal.

— Czy uderza pana coś w jego postępowaniu?

— Nie.

— Niezbyt przejęty, jak na młodego faceta, no nie? Mniejsza o to. Opowiedz pan całą historię.

Zrelacjonowałem ją — trzy razy. Raz, aby przedstawić zarys wydarzeń, drugi, by podać szczegóły, i trzeci, aby mógł się zorientować czy nie opowiadam zbyt płynnie.

— Ciekaw jestem, co to za kobieta — powiedział w końcu. — Mówi pan, że morderca zwrócił się do niego po imieniu, ale nie wynika z tego, czy wiedział, że się tu spotkają. No, bo jeżeli Waldo nie był pewien, czy zastanie tu tę kobietę, to skąd mógł ktoś wiedzieć, że Waldo się tu zjawi.

— Bardzo trafne rozumowanie — powiedziałem.

Spojrzał na mnie badawczo. Nie uśmiechałem się.

— Wygląda to na zemstę, no nie? Chyba nie zaplanowaną. Zdołał uciec tylko przypadkiem. Mało kto zostawia w tym mieście otwarty samochód z kluczami i na chodzie. W dodatku, żeby zabijać w obecności dwóch wiarygodnych świadków? Nie podoba mi się to.

— A mnie nie podoba się, że mam być świadkiem — powiedziałem. — Za mało płacą.

Skrzywił twarz w uśmiechu. Miał ciemne plamy na zębach.

— Czy ten pijak był naprawdę pijany?

— Skoro tak strzelał? Nie.

— Ja też tak myślę. No cóż, to prosta sprawa. Facet na pewno jest notowany i zostawił mnóstwo odcisków palców. Nawet jeżeli nie mamy tu jego fotografii, dowiemy się, kim jest, za kilka godzin. Miał jakieś pretensje do tego Waldo, ale nie był z nim dziś umówiony. Waldo wpadł tu po prostu, by spytać o kobietę, z którą miał się spotkać, ale stracił z nią kontakt. Jest gorąco i ten wiatr niszczy makijaż. Przypuszczał, że weszła gdzieś, by poczekać ze względu na ten gorący wiatr. Morderca wpakował mu dwie kule i dał nogę, nie przejmując się wcale świadkami. To bardzo proste.

— Taak — powiedziałem.

— Tak proste, że aż się chce rzygać — stwierdził Copper.

Zdjął kapelusz, zmierzwił rzadkie jasne włosy i oparł brodę na dłoniach. Miał długą, nieprzyjemną końską twarz. Wyciągnął chustkę, by obetrzeć czoło, kark i dłonie. Potem wyjął grzebień, uczesał się — co pogorszyło jeszcze jego wygląd — i znów włożył kapelusz.

— Przyszło mi coś do głowy — odezwałem się.

— Tak? A co?

— Ten Waldo wiedział dokładnie, jak ona jest ubrana. To znaczy, że już widział się z nią tego wieczora.

— No i co z tego? Może musiał wyjść do klozetu.

A kiedy wrócił, już jej nie było. Może jej znudziło się jego towarzystwo.

— To prawda — przyznałem.

Ale wcale nie byłem przekonany. Pomyślałem, że Waldo określił strój dziewczyny w taki sposób, w jaki przeciętny mężczyzna nie potrafiłby go opisać. Wzorzyste bolerko nałożone na suknię z niebieskiej, jedwabnej żorżety. Ja nie wiedziałem nawet, co to jest bolerko. I mogłem powiedzieć: niebieska

suknia, czy może: suknia z niebieskiego jedwabiu, ale nigdy: suknia z niebieskiej, jedwabnej żorżety.

Po jakimś czasie przyszli dwaj ludzie z koszem. Lew Petrolle nadal wycierał szklanę, rozmawiając z niskim, ciemnym policjantem.

Wszyscy pojechaliśmy na komendę.

Okazało się, że Petrolle jest w porządku. Sprawdzili, że jego ojciec ma winnicę niedaleko Antiochii, w okręgu Contra Costa. Dał synowi tysiąc dolarów na jakiś interes i Lew otworzył ten cocktail-bar, płacąc za wszystko, łącznie z neonowym napisem, równe osiemset.

Pozwolili mu odejść, nakazując, by nie otwierał lokalu, dopóki nie okaże się, czy nie będą musieli ponownie zbierać odcisków palców. Z uśmiechem uściśnął nam wszystkim ręce, mówiąc, że może ten wypadek zwiększy mu obroty, bo ludzie nie wierzą nigdy w gazetowe sprawozdania, będą więc przychodzić po relacje do niego i pić słuchając jego opowiadań.

— Oto facet, który nigdy się nie przejmuję — powiedział Copper po jego wyjściu. — W każdym razie cudzym losem.

— Biedny Waldo — stwierdziłem. — Dobre są te odciski?

— Trochę zamazane — odparł z niechęcią. — Ale prześlemy je jeszcze tej nocy dalekopisem do Waszyngtonu. Jeśli nic z tego nie wyjdzie, wezwiemy pana któregoś dnia do obejrzenia fotograficznej kartoteki tu na dole.

Pożegnałem się z nim i z tym drugim, który nazywał się Ybarra, i wyszedłem z budynku policji. Nie wiedzieli jeszcze nawet, kim był Waldo. Nie miał w kieszeniach nic, co by umożliwiło identyfikację.

## 2

Około dziewiątej znalazłem się z powrotem przed moim domem. Zanim wszedłem do środka, rozejrzałem się na prawo i lewo. Bar położony był kawałek dalej, po drugiej stronie ulicy. Nie było przed nim tłumu gapiów — tylko jedna czy dwie osoby próbowały zajrzeć przez szybę. Przechodnie widzieli policję i ambulans z kostnicy, ale nie mieli pojęcia, co się wydarzyło. Prawdę znali tylko młodzi ludzie grający w kręgle w narożnym drugstorze. Oni wiedzieli wszystko prócz jednej rzeczy: jak wytrwać na stałej posadzie.

Nadal wiał wiatr, gorący jak podmuch z pieca, pędząc po ulicy kłęby pyłu i skrawków papieru.

Wszedłem do hallu i wjechałem windą na czwarte piętro. Wsiadając, ujrzałem wysoką dziewczynę, która czekała na windę.

Spod słomkowego kapelusza z aksamitną wstążką wysuwały się pukle brązowych włosów. Miała szeroko rozstawione błękitne oczy i rzęsy, które zasłaniały niemal połowę twarzy. Niebieska suknia z materiału, który mógł być jedwabną żorzetą, była skromna, ale znakomicie skrojona. Jej ramiona okrywało coś wzorzystego, co pewnie było bolerkiem.

— Czy to się nazywa bolerko? — spytałem.

Spojrzała na mnie z roztargnieniem, wykonując taki gest, jakby odgarniała na bok pajęczynę.

— Tak. Czy mógłby pan... Dosyć mi się spieszy. Chciałabym...

Nie poruszyłem się. Stałem między nią a windą i patrzyłem jej w oczy. Powoli zarumieniała się.

— Niech pani lepiej nie wychodzi w tym stroju na ulicę — odezwałem się w końcu.

— Jak to, jak pan śmie...

Winda szcęknęła i ruszyła z powrotem w dół. Nie dowiedziałem się, co zamierzała powiedzieć. W jej głosie nie było wulgarnego tonu typowego dla bywalczyń barów. Brzmiał lekko i miękko jak wiosenny deszcz.

— Mówię prawdę. Szukają pani. Jeżeli jada na to piętro, zdąży pani jeszcze zniknąć z hallu. Ale przede wszystkim proszę zdjąć ten kapelusz i żakiet, tylko prędko!

Nie drgnęła. Wydawało mi się mimo makijażu, że jej twarz pobladła.

— Szuka pani policja. Wiedzą, jak pani jest ubrana. Chciałbym wytłumaczyć pani, o co chodzi.

Odwróciła szybko głowę i spojrzała w głąb korytarza. Była tak ładna, że nie miałem jej za złe jeszcze jednego uniku.

— Kimkolwiek pan jest, zachowuje się pan arogancko. Nazywam się Leroy i zajmuję mieszkanie numer trzydzieści jeden. Zapewniam...

— Że jest pani na niewłaściwym piętrze — stwierdziłem. — Tu jest czwarte.

Winda zatrzymała się na dole. Dobiegł do nas odgłos gwałtownie otwieranych drzwi.

— Chodźmy! — warknąłem ostro. — Prędzej!

Szybkim ruchem zdjęła kapelusz i zsunęła bolerko. Zmiałem je i wtłoczyłem pod pachę. Wziąłem dziewczynę pod rękę i odwróciwszy się ruszyliśmy korytarzem.

— Moje mieszkanie ma numer czterdzieści dwa. Naprzeciwko pani, tylko piętro wyżej. Proszę wybierać. Raz jeszcze zapewniam, że mówię prawdę.

Poprawiła włosy szybkim ruchem przyglądającego pióra ptaka. Ruchem, który ćwiczą kobiety od dziesięciu tysięcy lat.

— Chodźmy do mnie — powiedziała i wetknąwszy pod ramię torebkę ruszyła w bok. Winda znowu zatrzymała się o piętro niżej. Wtedy dziewczyna stanęła nagle. Odwróciła się i spojrzała mi w oczy.

— Schody są po tamtej stronie, za windą — powiedziałem łagodnie.

— Nie mieszkam tutaj — wyznała.

— Od początku tak przypuszczałem.

— Czy szukają mnie?

— Tak, ale dopiero jutro zaczną przeczesywać cały budynek. I tylko wtedy, jeśli nie zdołają ustalić, kim jest Waldo.

— Waldo? — spojrzała na mnie badawczo.

— Ach, więc nie zna go pani?

Wolno potrząsnęła głową. Winda znów ruszyła w dół. W jej niebieskich oczach błysnął lęk — jak zmarszczka na powierzchni wody.

— Nie — powiedziała. — Ale niech mnie pan zabierze z tego hallu.

Staliśmy już niemal przed moimi drzwiami. Wetknąłem klucz i przekręciwszy go szybko pchnąłem drzwi. Wyciągnąłem rękę i zapaliłem światło. Gdy mijała mnie, poczułem lekki zapach drzewa sandałowego.

Zamknąłem drzwi, rzuciłem kapelusz na krzesło i patrzyłem, jak podchodzi do stolika, na którym usiłowałem bezskutecznie rozwiązać pewien problem szachowy. Jej lęk zniknął, gdy znalazła się w zamkniętym mieszkaniu.

— A więc jest pan szachistą — powiedziała pełnym dystansu głosem, jak gdyby przyszła tu obejrzeć moją kolekcję znaczków. Żałowałem, że tak nie jest.

Oboje staliśmy nieruchomo, słuchając odległego trzasku drzwi windy, a potem kroków — zmierzających w przeciwnym kierunku.

Uśmiechnąłem się nie z radości, lecz ze zdenerwowania, ruszyłem w stronę kuchni i nagle uświadomiłem sobie, że ciągle jeszcze trzymam pod pachą jej kapelusz i zakiet. Wszedłem więc do garderoby i schowałem je do szuflady. Wróciwszy do kuchni, wyciągnąłem butelkę whisky i zrobiłem dwa cocktaile.

Kiedy wkroczyłem z nimi do pokoju, dostrzegłem w jej ręku mały rewolwer o kolbie wykładanej masą perłową. Z oczami pełnymi przerażenia skierowała ku mnie wylot lufy.

Zatrzymałem się ze szklankami w rękach.



— Widać ten gorący wiatr i panią doprowadzał do szaleństwa. Jestem prywatnym detektywem. Udowodnię to, jeżeli pani mi pozwoli.

Wolno skinęła głową. Była bardzo blada. Podeszedłem wolno, postawiłem obok niej jedną szklankę, potem cofnąłem się i odstawiwszy drugą, wyciągnąłem najmniej zmiętą kartę wizytową. Siedziała w fotelu, wygładzając lewą ręką pończochę na kolanie; w drugiej trzymała broń. Położyłem kartę wizytową obok jej cocktailu i usiadłem ze szklanką w dłoni.

— Niech pani nigdy nie pozwala nikomu podchodzić do siebie tak blisko — powiedziałem. — W każdym razie, o ile sprawa jest poważna. Poza tym nie odbezpieczyła pani broni.

Opuściła gwałtownie wzrok, zadrżała i schowała rewolwer do torebki. Wypiwszy duszkiem połowę zawartości szklanki, odstawiła ją i sięgnęła po moją kartę.

— Nie wszystkich częstuję tą whisky. Nie stać mnie na to.

Pogardliwie skrzywiła usta.

— Spodziewałam się, że zażąda pan pieniędzy.

— Co?

Nie odezwała się. Znów sięgnęła w kierunku torebki.

— Niech pani pamięta o bezpieczniku — powiedziałem. Jej dłoń zatrzymała się. — Ten facet, którego nazywam Waldo, jest dość wysoki, szczupły, ma ciemne włosy i brązowe błyszczące oczy. Nos i usta trochę zbyt cienkie. Miał ciemne ubranie z białą chusteczką w kieszonce i chciał panią jak najszybciej znaleźć. Czy wie pani, o kim mówię?

Znów wzięła do ręki szklankę.

— A więc to jest Waldo — powiedziała. — No dobrze, i co się z nim stało?

Jej głos pod wpływem wypitej whisky brzmiał teraz nieco agresywnie.

— Dosyć zabawna rzecz. Po drugiej stronie ulicy jest bar... Ale gdzie pani spędziła wieczór?

— Prawie cały czas siedziałam w swoim samochodzie — odparła chłodno.

— Nie widziała pani tego zamieszania naprzeciwko?

Po wyrazie jej twarzy poznałem, że chciała zaprzeczyć, ale potem zmieniła zdanie.

— Owszem. Widziałam policjantów i czerwone reflektory. Pomyślałam, że komuś coś się stało.

— Istotnie. A ten Waldo pytał o panią tuż przedtem. W tym barze. Opisał pani wygląd i strój.

Jej oczy były nieruchome i pozbawione wyrazu jak dwa metalowe krążki. Usta zaczęły drżeć.

— Siedziałem tam i rozmawiałem z barmanem. Był tylko jakiś pijak przy barze, barman i ja. Pijak nie zwracał na nic uwagi. Potem wszedł Waldo, spytał o panią, a kiedy usłyszał, żeśmy nikogo takiego nie widzieli, ruszył w stronę wyjścia.

Pociągnąłem łyżeczek whisky. Lubię czasem zrobić efektowną pauzę. Dziewczyna pożerała mnie wzrokiem.

— Ale tylko ruszył. Wtedy ten pijak, który dotąd nie zwracał na nikogo uwagi, zawołał go po imieniu i wyciągnął rewolwer. Wpakował mu dwie kule, o tak — dwukrotnie trzasnąłem palcami. — Trup na miejscu.

Ku mojemu zdumieniu wybuchnęła śmiechem.

— A więc mój mąż kazał mnie śledzić — powiedziała. — Mogłam się domyślić, że to wszystko bzdury. Pan i pański Waldo.

Przyglądałem się jej z osłupieniem.

— Nie sądziłam, że może być zazdrosny — ciągnęła szybko. — W każdym razie nie o naszego byłego szofera. Może trochę o Stana, to byłoby dość zrozumiałe. Ale Joseph Coates...

Zacząłem machać rękami.

— Proszę pani, jedno z nas otworzyło książkę na niewłaściwej stronie. Nie wiedziałem nawet, że ma pani szofera, daję słowo honoru. W tych stronach rzadko się to zdarza. Co do mężów — no tak, czasem trafia się jakiś mąż. Niezbyt często.

Wolno potrząsnęła głową. Jej ręka spoczywała blisko torebki. W oczach lśniły iskierki gniewu.

— Nie udało się panu, panie Marlowe. Znam was, prywatnych detektywów. Zwabił mnie pan do swego mieszkania... o ile w ogóle należy ono do pana. Najprawdopodobniej jest własnością jakiegoś łobuza, który za kilka dolarów gotów jest zeznać, cokolwiek mu się każe. Teraz usiłuje mnie pan szantażować, żeby wyłudzić pieniądze, oprócz tego, co dostaje pan od mojego męża. W porządku — złapała oddech — ile pan chce?

Odłożyłem szklankę i oparłem się o poręcz krzesła.

— Wybacz pani, że zapalę. Moje nerwy są w opłakanym stanie.

Z uwagą śledziła moje ruchy. W jej spojrzeniu było zbyt mało lęku, żebym mógł podejrzewać ją o jakieś przestępstwo.

— A więc nazywa się Joseph Coates? — powiedziałem. — Facet, który zastrzelił go w barze, mówił do niego Waldo.

Uśmiechnęła się z lekkim niesmakiem, ale niemal pobłażliwie.

— Nie traćmy czasu. Ile?

— Po co miała się pani spotkać z tym Josephem Coatesem?

— Żeby odkupić coś, co mi ukradł. Coś, co posiada również wartość obiegową. Prawie piętnaście tysięcy dolarów. Dał mi to mężczyzna, którego kochałam. Nie żyje. Naprawdę nie żyje! Zginął w płonącym samolocie. Idź i opowiedz to mojemu mężowi, ty wstrętny mały szczurze!

— Nie jestem mały i nie jestem szczurem.

— Ale jesteś wstrętny. I nie wysilaj się, żeby donosić mojemu mężowi. Sama mu powiem. I tak już pewnie o wszystkim wie.

— To bardzo sprytnie — powiedziałem z uśmiechem. — Po co w takim razie mnie wynajmował?

Chwyciła szklanekę i wypila resztę whisky.

— A więc podejrzewa, że spotykam się z Josephem? Może widywałam się z nim. Ale nie po to, żeby z nim spać. Nie z szoferem, z łobuzem, którego znalazłam w rynsztoku i dałam mu posadę. Gdybym lubiła przygody, nie musiałabym się aż tak zniżać.

— Z pewnością by pani nie musiała — przyznałem.

— Wychodzę — powiedziała. — Spróbuj mnie za-trzymać.

Wyszarpnęła z torebki swój rewolwer. Nie poruszyłem się.

— Ty wstrętny łajdaku — zaatakowała mnie nagle. — Skąd mogę wiedzieć, że jesteś prywatnym detektywem? Możesz być oszustem. Karta wizytowa nic nie znaczy. Każdy może sobie takie wydrukować.

— Oczywiście — przyznałem. — W dodatku zamieszkałem tu już dwa lata temu, wiedząc, że pani ma wprowadzić się dziś, by panią szantażować za to, że nie spotkała się pani z człowiekiem nazwiskiem Joseph Coates, który zastrzelony został naprzeciwko jako Waldo. Czy ma pani pieniądze, żeby wykupić to, co jest warte piętnaście kawałków? ,

— Ach! Pewnie myślisz, że uda ci się mnie obrabować!

— Ach! — przedrzeźniłem ją. — A więc teraz jestem bandytą, tak? Droga pani, proszę z łaski swojej albo schować ten rewolwer, albo- odsunąć bezpiecznik. Jako fachowiec nie mogę znieść, żeby ktoś w ten sposób obchodził się z porządną bronią.

— Nie cierpię takich facetów jak pan — powiedziała. — Zejdź mi pan z drogi.

Nie poruszyłem się. Ona również. Oboje siedzieliśmy na swoich miejscach — i w dodatku dość daleko od siebie.

— Niech mi pani przed wyjściem zdradzi jeden sekret — poprosiłem. — Po co wynajmowała pani to mieszkanie na trzecim piętrze? Żeby spotkać się na ulicy z tym facetem?

— Niech pan nie plecie głupstw — warknęła. — Nie wynajęłam go. Okłamałam pana. To on tam mieszka.

— Joseph Coates?

Kiwnęła głową.

— Czy z mojego opisu wynika, że ten Waldo to właśnie on?

Znów potwierdziła w taki sam sposób.

— W porządku. Przynajmniej to udało się w końcu ustalić. Czy nie rozumie pani, że Waldo opisał pani strój, zanim został zastrzelony, kiedy pani szukał, i że opis ten zna już policja, a nie wiedząc, kim jest ten Waldo, szuka teraz kogoś, kto jest tak ubrany, żeby im to powiedział. Nie jest pani w stanie tego pojąć?

Rewolwer w jej dłoni zaczął gwałtownie drżeć. Opuściła oczy, przyjrzała mu się bezmyślnie i wolno odłożyła do torebki.

— Głupia jestem — szepnęła — że w ogóle z panem rozmawiam.

Przyglądała mi się przez dłuższą chwilę, potem wciągnęła głęboko powietrze.

— Powiedział mi, gdzie mieszka. Nie wydawał się przestraszony. Pewnie tak zachowują się szantażyści. Miał spotkać się ze mną na ulicy, ale spóźniłam się. Kiedy przyjechałam, było tam już pełno policjantów. Wróciłam więc do wozu i siedziałam w nim przez jakiś czas. Później weszłam tu i zapukałam do jego mieszkania. Potem znowu czekałam w samochodzie. W sumie byłam na górze trzy razy. Ostatnim razem weszłam piętro wyżej, żeby wsiąść do windy, bo już dwa razy widziano mnie na trzecim. Spotkałam pana. To wszystko.

— Mówiła pani coś o mężu — mruknąłem. — Gdzie on jest?

— Na posiedzeniu.

— Ach, na posiedzeniu — powiedziałem z ironią.

— Mój mąż zajmuje poważne stanowisko. Bierze udział w wielu posiedzeniach. Jest inżynierem, specjalistą od hydroelektrowni. Podróżował po całym świecie. Powiem panu jeszcze, że...

— Niech pani sobie daruje — przerwałem.—Zaproszę go kiedyś na lunch, żeby sam mi o tym opowiedział. Cokolwiek Coates wiedział o pani, należy już do przeszłości. Podobnie jak on sam.

— Naprawdę nie żyje? — szepnęła. — Naprawdę?

— Nie żyje — powiedziałem. — Nie żyje, nie żyje, nie żyje. Czy dotarło to do pani wreszcie?

W końcu uwierzyła mi. Niemal straciłem już nadzieję, że kiedykolwiek to nastąpi. W ciszy, która zapanowała, usłyszałem, że winda zatrzymuje się na moim piętrze.

Na korytarzu rozległy się kroki. Każdemu z nas zdarzają się przecucia. Przytknąłem palec do ust. Siedziała nieruchomo. Na jej twarzy zastygł wyraz przerażenia. Niebieskie oczy stały się tak ciemne, jak cienie pod nimi. Gorący wiatr uderzył z hałasem o zamknięte okna. Kiedy wieje Santa Ana, okna muszą być zamknięte, bez względu na temperaturę.

Korytarzem szedł bez pośpiechu jakiś mężczyzna. Zatrzymał się pod moimi drzwiami i zapukał.

Pokazałem palcem drzwi do garderoby, znajdującej się obok składanego łóżka. Wstała cicho, przyciskając do siebie torebkę. Wyciągnąłem palec w kierunku jej szklanki. Podniosła ją szybko, przemknęła po dywanie i weszła do garderoby, bezgłośnie zamykając za sobą drzwi.

Nie miałem pojęcia, po co pakuję się w te wszystkie kłopoty.

Znów rozległo się pukanie. Dłonie miałem wilgotne. Wstałem skrzypiąc krzesłem i ziewnąłem głośno. Potem podszedłem do drzwi i otworzyłem je, nie biorąc do ręki rewolweru. Był to błąd.

### 3

W pierwszej chwili nie poznałem go. Być może z tego samego powodu, dla którego—jak się wydawało — nie rozpoznał go Waldo. W barze przez cały czas miał na głowie kapelusz, teraz zaś przyszedł z gołą głową. Jego włosy sięgały tylko do miejsca, do którego kapelusz przykrywa głowę. Powyżej tej linii czaszkę powlekała gładka, biała, sucha skóra. Nie tylko wydawał się dwadzieścia lat starszy. Był zupełnie innym człowiekiem.

Poznałem jednak broń, którą trzymał w ręku: automatyczny pistolet kaliber 22 z dużą muszką. Rozpoznałem też jego oczy. Jasne, świdrujące, tępe — jak oczy jaszczurki.

Był sam. Delikatnie przytknął wylot lufy do mojej twarzy.

— Tak, to ja — powiedział przez zęby. — Wejdźmy.

Cofnąłem się nieco w głąb. Tyle tylko, aby mógł zamknąć za sobą drzwi, nie tracąc mnie z pola widzenia. Poznałem po jego oczach, że właśnie o to mu chodzi.

Nie byłem przestraszony. Raczej sparaliżowany.

Zamknawszy drzwi zmusił mnie do powolnego cofania się aż do momentu, kiedy nogami natrafiłem na jakąś przeszkodę. Wtedy spojrział mi w oczy.

— Stolik do kart — powiedział. — Jakiś cymbał gra tu w szachy. To ty?

Przełknąłem ślinę.

— Nie gram właściwie. Bawię się nimi od czasu do czasu.

— To znaczy, że są tu dwie osoby — stwierdził cichym i ochrypłym głosem, jakby jakiś policjant uderzył go kiedyś podczas przesłuchania pałką w tchawicę.

— To problem szachowy — wyjaśniłem. — Nie gra. Spójrz na ustawienie figur.

— Nie znam się na tym.

— W każdym razie jestem sam — oświadczyłem. Mój głos drżał lekko.

— Zresztą wszystko jedno — powiedział. — I tak już po mnie. Jakiś tajniak wsypie mnie jutro czy za tydzień, co za różnica? Po prostu nie podobała mi się twoja gęba, koleś. Ani tego mydłka w stroju barmana. Niech szlag trafi takich facetów jak wy.

Stałem bez ruchu, milcząc. Duża muszka, lekko, niemal pieszczotliwie podrapała mój policzek. Mężczyzna uśmiechnął się.

— To zresztą rozsądne posunięcie — powiedział. — Na wszelki wypadek. Taki stary kryminalista jak ja nie zostawia wyraźnych odcisków. Mogą więc mieć przeciwko mnie tylko dwóch świadków. Ale nic z tego.

— Co ci zrobił ten Waldo? — spytałem, udając ciekawość, choć w istocie myślałem tylko o tym, jak opanować drżenie.

— Sypnął mnie po napadzie na bank w Michigan

Dostałem przez niego cztery lata. Jemu umorzyli za to sprawę. Cztery lata w Michigan to nie letnia wycieczka jachtem. W tych stanowych więzieniach próbują człowieka wychowywać.

— Skąd wiedziałeś, że on tam przyjdzie? — wychrypiałem.

— Wcale nie wiedziałem. Jasne, szukałem go. Miałem wielką ochotę się z nim spotkać. Mignął mi dwa dni temu na ulicy, ale go zgubiłem. Przedtem nie szukałem go specjalnie, ale od przedwczoraj zacząłem się za nim rozglądać. Bystry facet ten Waldo. Jak się miewa?

— Nie żyje — odparłem.

— Ciągle jeszcze nieźle strzelam — zachichotał. — Po pijanemu i na trzeźwo. No cóż, będę miał teraz trochę kłopotów. Czy gliny już wiedzą, kim jestem?

Uznał, że zbyt długo zwlekam z odpowiedzią. Przycisnął mi lufę do gardła tak silnie, że zakrztusiłem się i o mało nie wyciągnąłem instynktownie ręki w kierunku rewolweru.

— No, no — ostrzegł mnie cicho. — Nie jesteś przecież aż taki głupi.

Znów opuściłem ręce wzdłuż ciała, odwracając otwarte dłonie wewnętrzną stroną ku niemu. Wiedziałem, że o to mu chodzi. Jak dotąd dotknął mnie tylko swoim pistoletem. Nie zainteresował się nawet, czy jestem uzbrojony. Oznaczało to, że przybył w ściśle określonym celu.

Wracając pod mój dom dowiedział, że na niczym mu specjalnie nie zależy. Może to także był wpływ tego gorącego wiatru. Uderzał w moje zamknięte okna z hałasem, jaki robią fale przybrzeżne walące o molo.

— Mają odciski palców — odparłem. — Nie wiem, na ile wyraźne.

— Są dość wyraźne, ale nie na tyle, żeby przekazać je dalekopisem. Będą musieli wysłać je do Waszyngtonu pocztą lotniczą i poczekać na wynik. Jak myślisz, koleś, dlaczego tu przyszedłem?

— Słyszałeś, jak rozmawiam w barze z tym chłopakiem. Podałem mu nazwisko i adres.

— Nie pytam, w jaki sposób, koleś. Pytam, dlaczego. — Uśmiechnął się do mnie. Był to nieprzyjemny uśmiech, zwłaszcza że miał być ostatnim, jaki widzę w życiu.

— Daj mi spokój — powiedziałem. — Kat nie każe ci zgadywać, po co do ciebie przyszedł.

— Proszę, proszę, w dodatku się stawiasz. Po wizycie u ciebie odwiedzę tego barmana. Jechałem za nim z komendy aż do domu, ale pomyślałem, że lepiej zacząć od ciebie. Miałem ten samochód, który wynajął Waldo, i czekałem pod ratuszem. Pod samą komendą, koleś. Śmieszni są ci policjanci. Możesz siedzieć tuż pod ich nosem, a nie zauważą cię. Ale spróbuj biec za tramwajem, to zaczną strzelać z pistoletów maszynowych i rąbną dwóch przechodniów, taksówkarza śpiącego w wozie i starą sprzątaczkę myjącą okna na drugim piętrze. Ale nie trafią faceta, którego ścigają. Śmieszni, głupi gliniarze.

Przycisnął mi do szyi wylot lufy. Jego oczy coraz bardziej przypominały oczy szaleńca.

— Mam dużo czasu — powiedział. — Meldunek o zaginięciu wynajętego wozu dostaną dopiero za jakiś czas. I nieprędko dowiedzą się, kim był Waldo. Znam go dobrze. Cwaniak. Przytomny facet ten Waldo.

— Jeśli nie odsuniesz mi od gardła tej spluwy, wyrzygam się — powiedziałem.

Uśmiechnął się i przesunął lufę na wysokość mojego serca.

— Tu będzie dobrze? Powiedz kiedy.

Chyba odezwałem się głośniejszym głosem, niż zamierzałem.

W drzwiach garderoby dostrzegłem ciemną szparę. Potem poszerzyła się troszkę. Potem jeszcze bardziej. Ujrzałem oczy, choć nie patrzyłem w ich kierunku. Wpatrywałem się z napięciem w oczy łysego. Z wielkim napięciem. Chciałem przykuć do siebie jego wzrok.

— Boisz się? — spytał cicho.

Oparłem się o wylot lufy i zacząłem drżeć. Pomyślałem, że ten widok go ucieszy. Dziewczyna wysunęła się przez uchylone drzwi. Znów miała w ręku swój rewolwer. Było mi jej cholernie żal. Wiedziałem, że będzie próbowała dojść do drzwi albo zacnie krzyknąć. W obu wypadkach oznaczało to śmierć... dla nas obojga.

— No cóż, nie trać czasu. — Moje słowa zdawały się dochodzić z daleka, jak głos kogoś mówiącego przez radio po drugiej stronie ulicy.

— Lubię to, koleś — powiedział z uśmiechem. — Taki już jestem.

Dziewczyna bezgłośnie przesunęła się przez pokój gdzieś za jego plecami. Poruszała się tak cicho, jakby płynęła w powietrzu. Było to daremne. Wiedziałem, że nie będzie z nią żartował. Znałem go całe życie, choć patrzyłem mu w oczy dopiero od pięciu minut.

— Mógłbym zacząć krzyknąć — powiedziałem.

— Taak, mógłbyś zacząć krzyknąć — odparł ze swym uśmiechem mordercy. — Dalej, spróbuj krzyknąć.

Nie podeszła do drzwi. Stała tuż za nim.

— No dobrze, spróbuję.

Jak gdyby było to umówione hasło, bez słowa stuknęła go mocno lufą w zębra.

Musiał zareagować. Był to odruch — jak przy uderzeniu w kolano. Otworzył nagle usta, gwałtownie odsunął ręce na boki i odrobinę zgiął się w krzyżu. Lufa jego rewolweru skierowana była w moje prawe oko.

Pochyliłem się i równocześnie z całej siły kopnąłem go kolanem między nogi.

Szczeka mu opadła i uderzyłem w nią. Huknąłem go tak, jakbym wbijał ostatni gwóźdź przy budowie pierwszej transkontynentalnej linii kolejowej. Dotąd jeszcze boli mnie to miejsce, kiedy zacisnę pięść.

Pistolet otarł się o mój policzek, ale nie wystrzelił. Jego właściciel był już bezwładny. Chwytając z trudem oddech osunął się i upadł na lewy bok. Kopnąłem go mocno w prawe ramię. Pistolet wyskoczył mu z ręki, prześliznął



się po dywanie i wpadł pod krzesło. Usłyszałem, jak figury szachowe rozsypują się gdzieś za mną po podłodze.

Dziewczyna stała nad nim, spoglądając w dół. Potem podniosła szeroko otwarte z przerażenia oczy i utkwiała wzrok w mojej twarzy.

— Jestem pani niewolnikiem — powiedziałem. — Może pani dysponować wszystkim, co posiadam, teraz i w przyszłości.

Nie słyszała mnie. Oczy miała tak szeroko rozwarte, ich białka widoczne były nawet wokół jasnoniebieskiej tęczy. Trzymając nadal w dłoni rewolwer cofnęła się szybko w kierunku drzwi, nie odwracając się namacała klamkę, przekręciła ją, a potem pociągnęła ku sobie i wysunęła się na korytarz. Drzwi zamknęły się.

Była bez swego kapelusza i bojerka.

Miała tylko rewolwer z zasuniętym bezpiecznikiem — więc i tak nie mogła z niego wystrzelić.

Mimo szalejącego wiatru, w pokoju zapanowała cisza. Potem usłyszałem z podłogi urywany oddech. Twarz leżącego miała odcień zielonkawy. Stanąłem nad nim i obmacałem go, ale nie znalazłem innej broni. Wyjąłem z biurka parę lichych kajdanków i zacisnąłem je na przegubach leżącego. Wiedziałem, że wytrzymają, o ile nie będzie się zbyt mocno szarpał.

Jego oczy, choć pełne bólu, były nadal oczami mordercy. Leżał na środku pokoju, ciągle na lewym boku; zwinięty, skurczony, łysy, drobny mężczyzna. Spoza warg widać było jego zęby z tanimi srebrnymi plombami. Z ust, które wyglądały jak czarna jama, wydobywały się krótkie serie oddechów; co jakiś czas dławił się, potem znów zaczynał nieregularnie wciągać powietrze.

Wszedłem do garderoby i otworzyłem szufladę. Kapelusz i bojerko nadal leżały na stosie mojej bielizny. Wsunąłem je pod spód, w głąb, i wygładziłem leżące na nich koszule. Przeszedłem do kuchni, nalałem sobie porcję whisky i wypilem ją, a potem stałem przez chwilę słuchając, jak gorący wiatr z naciskiem uderza w szyby okienne. Trzasnęły jakieś drzwi od garażu; zbyt luźno umocowany przewód elektryczny walił o ścianę budynku wydając odgłos przypominający trzepanie dywanu.

Odczułem działanie alkoholu. Wróciłem do pokoju i otworzyłem okno. Leżący na podłodze facet nie poczuł zapachu drzewa sandałowego, ale mógł go poczuć ktoś inny.

Zamknąłem na powrót okno, wytarłem dłonie i nakręciłem numer komendy.

Copper był jeszcze na miejscu.

— Tak? — powiedział swym aroganckim głosem. — Marlowe? Domyślam się, o co chodzi. Założę się, że ma pan znowu jakiś pomysł.

— Wiecie już, kto jest tym zabójcą?

— Nie udzielamy informacji, Marlowe. Bardzo nam przykro i tak dalej. Wie pan, jak to jest.

— Okey. Nie interesują mnie jego personalia. Chcę tylko, byście przyjechali i zabrali go sobie z mojej podłogi.

— Rany boskie! — Nagle zniżył głos. — Poczekaj pan chwilę. Jedną sekundę. — Usłyszałem w oddali odgłos zamykanych drzwi. Potem odezwał się znowu. — Słucham — powiedział cicho.

— Jest skutny — oznajmiłem. — Do waszej dyspozycji. Musiałem zaprawić go kolanem, ale nic mu nie będzie. Przyszedł, by zlikwidować świadka.

Znowu przerwa. Potem jego życzliwy nagle głos:

— Posłuchaj, chłopcze, kto tam jest jeszcze oprócz ciebie?

— Oprócz mnie? Nie ma nikogo. Jestem sam.

— To nie wzywaj nikogo. Siedź spokojnie. Dobra?

— Myślisz, że zamierzam zaprosić wszystkich sąsiadów, żeby go sobie obejrżeli?

— Spokojnie, bracie. Spokojnie. Po prostu usiądź i zaczekaj. Już tam jestem. Nie dotykaj niczego. Rozumiesz?

— Tak. — Raz jeszcze podałem mu adres i numer mieszkania, by nie tracił czasu na szukanie.

Wyobrażałem sobie, jak promienieje jego duża, koścista twarz. Wyjąłem spod krzesła pistolet i siedziałem trzymając go w ręku do chwili, gdy usłyszałem z hallu odgłos szybkich kroków, a potem ciche stukanie do drzwi.

Był sam. Szybko przekroczył próg, popychając mnie w głąb z nerwowym uśmiechem, i zamknął drzwi. Stał oparty o nie plecami, trzymając prawą rękę pod połą marynarki. Wysoki, silny, chudy facet o bezwzględny spojrzeniu.

Wolno opuścił wzrok i spojrzał na podłogę. Szyja leżącego drgała lekko. Jego oczy poruszały się nerwowo jak oczy chorego.

— Jesteś pewien, że to ten? — spytał ochrypłym głosem Copper.

— Absolutnie. Gdzie Ybarra?

— Ybarra? Jest zajęty — powiedział nie patrząc na mnie. — To twoje kajdanki?

— Tak.

— Klucz.

Rzuciłem mu klucz. Szybko przyklęknął obok mordercy, otworzył moje kajdanki i odrzucił je na bok. Potem odpiął od pasa własne, wykręcił łysemu ręce do tyłu i zacisnął je na jego przegubach.

— W porządku, ty draniu — powiedział tępym głosem morderca.

Copper skrzywił się w uśmiechu, zacisnął pięść i z całej siły uderzył skutego mężczyznę w twarz. Jego głowa odskoczyła w tył niemal łamiąc mu kręgi szyjne. Z lewego kącika ust pociekła krew.

— Daj mi ręcznik! — rozkazał Copper. Wręczyłem mu nieduży ręcznik. Brutalnie wcisnął go w usta leżącego, wstał i przeczesał rzadkie włosy swymi kościstymi palcami.

— W porządku. Powiedz, jak było.

Opowiedziałem mu wszystko — całkowicie pomijając obecność dziewczyny. Historia wydawała się odrobinę naciągnięta. Copper przyglądał mi się w milczeniu, pocierając palcem swój pokryty żyłkami nos. Potem wyjął grzebień i przeczesał włosy tak, jak zrobił poprzednio w barze.

Podszedłem i wręczyłem mu pistolet. Przyjrzał mu się pobieżnie i wsunął go do bocznej kieszeni marynarki. Jego oczy miały dziwny wyraz. Twarz wykrzywił szeroki, pogodny uśmiech.

Schyliłem się i zacząłem zbierać figury szachowe, wrzucając je do pudełka. Postawiłem pudełko na gzymsie kominka, potem wyprostowałem nogę stolika do kart i przez chwilę krzątałem się po pokoju. Copper przyglądał mi się przez cały czas. Czekałem, aż coś wymyśli.

— Ten facet używa dwudziestki dwójki — powiedział w końcu — ponieważ umie strzelać i wystarczy mu taka mała spluwa. To znaczy, że naprawdę jest dobry. Puka do twoich drzwi, przykłada ci lufę do,, brzucha, każe cofnąć się do pokoju, mówi, że przyszedł, żeby na zawsze zamknąć ci gębę, a tobie udaje się go załatwić. I to bez broni. Bez żadnej pomocy. Chyba i ty musisz być niezły, bracie.

— Posłuchaj — powiedziałem patrząc na podłogę. Podniosłem jeszcze jedną figurę i obracałem ją w palcach.— Rozwiązywałem problem szachowy. Starłem się o wszystkim zapomnieć.

— A jednak coś cię dręczy, bracie — powiedział cicho Copper. — Nie będziesz chyba próbował wykołować starego policjanta, co?

— Aresztowałem tego faceta, a ty zgarniesz wszystkie pochwały — odparłem. — Czego, do cholery, jeszcze chcesz?

Leżący na podłodze mruknął coś niewyraźnie przez ręcznik. Jego łysa głowa lśniła od potu.

— O co chodzi, bracie? — niemal wyszeptał Copper. — Wdałeś się w jakąś aferę?

Spojrzałem na niego przelotnie i znów odwróciłem wzrok.

— No dobrze — powiedziałem. — Wiesz doskonale, że nie mogłem poradzić sobie z nim sam. Mierzył we mnie z pistoletu, a jak sam powiedziałeś, umie strzelać.

Copper mrugnął do mnie przyjaźnie jednym okiem.

— Mów dalej, kolego. I ja rozumowałem mniej więcej w ten sam sposób.

Zwlekałem jeszcze przez chwilę, żeby moja historyjka wypadła bardziej przekonująco. W końcu zacząłem:

— Był u mnie chłopak, który brał udział w napadzie w Boyle Heights. Napad się nie udał. Chcieli obrabować jakiś mały warsztat samochodowy. Znam jego rodzinę. Nie jest w gruncie rzeczy zły. Przyszedł tu, żeby mnie błagać o pieniądze na bilet kolejowy. Kiedy ktoś zapukał do drzwi, schował się tu. — Pokazałem palcem rozkładane łóżko i znajdujące się obok niego drzwi garderoby.

Copper wolno odwrócił głowę, potem znowu usiadł przodem do mnie. Raz jeszcze mrugnął porozumiewawczo.

— Ten chłopak miał rewolwer — powiedział.

Kiwnąłem potakująco głową.

— Stanął za jego plecami. To wymaga odwagi, Copper. Musisz pomóc temu chłopakowi. Nie mieszaj go do tej sprawy.

— Czy wydano nakaz jego aresztowania?

— Mówił, że jeszcze nie. Ale boi się, że do tego dojdzie.

Copper uśmiechnął się.

— Jestem funkcjonariuszem wydziału zabójstw. Nie wiem nic o tamtej sprawie i nic mnie to nie obchodzi.

Wyciągnąłem palec w kierunku skutego i zakneblowanego bandyty na podłodze?

— Ty go aresztowałeś, prawda? — spytałem cicho.

Copper nadal się uśmiechał. Wysunął białawy język i oblizał swą grubą dolną wargę.

— Ale jak? — spytał.

— Wyjęliście już kule z ciała tego Waldo?

— Jasne. Kaliber 22. Jedna uderzyła o żebro, druga jest nieuszkodzona.

— Jesteś dokładny. Pamiętasz o wszystkim. Nie znasz mnie wcale, prawda? Wpadłeś więc tu, żeby zobaczyć, jaki mam rewolwer.

Copper wstał i znowu przyklęknął obok mordercy.

— Słyszysz mnie, draniu? — spytał, zbliżając usta do jego twarzy.

Leżący wydał jakiś niewyraźny dźwięk. Copper podniósł się i ziewnął.

— Kto by się przejmował, co on tam gada. Mów dalej, kolego.

— Nie spodziewałeś się, że coś u mnie znajdziesz, ale chciałeś obejrzeć moje mieszkanie. Kiedy szukałeś tam — wyciągnąłem rękę w kierunku garderoby — a ja siedziałem cicho, może dlatego, że byłem trochę urażony, ktoś zapukał do drzwi. Wszedł ten facet. Więc odczekawszy chwilę, wysunąłeś się cicho i aresztowałeś go.

— Świetnie — Copper uśmiechnął się szeroko, pokazując wszystkie zęby jak koń. — Odpowiada mi twoja wersja, kolego. Trzasnąłem go, dołożyłem mu kolanem i obezwładniłem. Ty nie miałeś broni, a on odwrócił się do mnie nagle, więc powaliłem go lewym sierpowym. Okey?

— Okey — odparłem.

— Zeznasz tak na komendzie?

— Tak — powiedziałem.

— Będę cię popierał, bracie. Potrafię odplacić się każdemu, kto postąpi wobec mnie przyzwoicie. Zapomnij o tym chłopaku. Daj mi znać, gdyby trzeba było mu pomóc.

Podszedł do mnie i wyciągnął rękę. Uścisnąłem ją. Była wilgotna i zimna jak ryba. Takie ręce i ich właściciele zawsze przyprowadzają mnie o mdłości.

— Jeszcze jedno — powiedziałem. — Ten twój kolega — Ybarra. Czy nie będzie miał żalu, że nie wzięłeś go tu ze sobą?

Copper zmierzwił włosy i wytarł wnętrze swego kapelusza dużą, żółtą, jedwabną chustką.

— Ten makaroniarz? — mruknął pogardliwie. — Niech go diabli wezmą! — Podszedł do mnie i zbliżył swą twarz do mojej. — Tylko się nie pomył, kolego, jak będziesz opowiadał tę naszą historyjkę.

Miał nieświeży oddech. Mogłem się tego spodziewać.

Kiedy Copper opowiadał swoją historię, w gabinecie naczelnika służby śledczej było pięć osób. Stenograf, szef, Copper, ja i Ybarra, który siedział na odchylonym w tył krześle opierając się o ścianę. Miał nasunięty na czoło

kapelusz, spod którego błyszczały jego łagodne oczy. Przez cały czas uśmiechał się lekko kącikami pełnych, typowych dla południowca ust. Nie patrzył na swego kolegę. Copper ani razu nie spojrzął w jego kierunku.

Oczekujący na korytarzu fotoreporterzy zrobili już zdjęcia Copperra ściskającego moją dłoń i pozującego w starannie nałożonym kapeluszu z rewolwerem w ręku i poważnym, stanowczym wyrazem twarzy.

Nie chcieli mi podać personaliów Waldo, choć twierdzili, że już je znają. Nie uwierzyłem w to, bo szef służby śledczej miał na biurku jego zdjęcie wykonane w kostnicy. Świetne zdjęcie. Uczesano mu włosy, starannie zawiązano krawat, a lampy ustawiono pod takim kątem, żeby ich blask odbijał się w oczach. Nikt by się nie domyślił, że jest to fotografia nieboszczyka z dwoma dziurami w sercu. Wyglądał jak król nocnych lokali, zastanawiający się, czy poprosić do tańca blondynkę czy rudą.

Kiedy wróciłem do siebie, było koło północy. Zamknięto już drzwi wejściowe mojego domu. Szukając w kieszeni kluczy usłyszałem, że ktoś cicho woła do mnie z ciemności:

— Proszę pana!

Poznałem ten głos. Odwróciwszy się, ujrzałem ciemnego Cadillaca, zaparkowanego niemal tuż przed wejściem. W oczach kobiety odbijały się uliczne światła.

Podszedłem do samochodu.

— Zachowuje się pani jak wariatka — powiedziałem.

— Proszę wsiadać.

Zapadłem w fotel, a ona zapaliła silnik, minęła przecznicę i wjechała w Kingsley Drive. Ciepły wiatr nadal grzmiał i dudnił. Z otwartego, zasłoniętego okna jakiejś kamienicy płynęły wesołe dźwięki radia. Na ulicy stało mnóstwo samochodów, ale udało się nam znaleźć miejsce za małym, nowym Packardem, na którego szybie naklejona była jeszcze kartka z adresem agenta firmy. Dobiwszy do krawężnika rozsiadła się wygodnie, nie zdejmując rąk z kierownicy.

Tym razem miała czarną czy ciemnobrązową suknię i śmieszny kapelusik. Czuję jej perfumy o zapachu drzewa sandałowego.

— Chyba nie byłam dla pana bardzo miła, prawda?

— Tyle tylko, że ocaliła mi pani życie.

— Co było dalej.

— Wezwałem policję, opowiedziałem trochę kłamstw facetowi, którego nie lubię, i pozwoliłem mu pochwalić się, że to on dokonał aresztowania. To wszystko. Facet, od którego mnie pani uwolniła, jest mordercą Waldo.

— To znaczy... nie powiedział im pan nic o mnie?

— Droga pani, ocaliła mi pani życie — powtórzyłem. — Jakie są pani dalsze żądania? Jestem zwarty, gotowy i postaram się być silny.

Siedziała bez ruchu, nie odzywając się.

— Nikt nie dowiedział się ode mnie, kim pani jest. Nawiasem mówiąc, sam tego nie wiem.

— Nazywam się Barsaly. Mieszkam na Fremont Place, dwieście dwanaście. Telefon Olympia dwieście czterdzieści pięć-dziewięćdziesiąt sześć. Czy tego chciał pan się dowiedzieć?

— Dziękuję — wymamrotałem, obracając w dłoni nie zapalonego papierosa. — Po co pani tu wróciła? — Nagle trzasnąłem palcami. — Kapelusz i bolerko — przypomniałem sobie. — Zaraz je przyniosę.

— To nie wszystko — powiedziała. — Chodzi o moje perły.

Niewykluczone, że lekko podskoczyłem. Uważałem, że i bez pereł mam dość problemów.

Przemknął obok nas jakiś pędzący samochód. W świetle ulicznych lamp dojrzelismy obłok gryzącego pyłu, który podniósł się, zawirował i znikł. Szybko podniosła szybę, by nie dostał się do wnętrza wozu.

— Wspaniale! — wykrzyknąłem. — Niech mi pani opowie o perłach. Mieliśmy już morderstwo, tajemniczą kobietę, obłąkanego zabójcę, bohaterski ratunek i policjanta, który dał się namówić na złożenie fałszywego raportu. Teraz kolej na perły. W porządku... zamieniam się w słuch.

— Miałam je odkupić za pięć tysięcy dolarów. Od człowieka, którego pan nazywa Waldo, a ja wiem, że nazywał się Joseph Coates. Powinien mieć je przy sobie.

— Nie miał pereł — powiedziałem. — Widziałem, co wyjęto z jego kieszeni. Dużo pieniędzy, ale ani jednej perły.

— Czy mógł je ukryć w swoim mieszkaniu?

— Owszem — odparłem. — Z tego, co wiem, mógł je ukryć w każdym punkcie Kalifornii, z wyjątkiem własnych kieszeni. Jak znosi tę gorącą noc pan Barsaly?

— Jest jeszcze ciągle na posiedzeniu. W przeciwnym razie nie mogłabym tu przyjechać.

— Trzeba go było przywieźć ze sobą. Mógłby siedzieć na rozkładanym fotelu z tyłu.

— Och, nie jestem pewna. Frank waży dziewięćdziesiąt kilo i jest dość masywny. Nie sądzę, żeby zgodził się siedzieć na rozkładanym fotelu, panie Marlowe.

— Właściwie po jakiego diabła o nim rozmawiamy?

Nie odpowiedziała. Jej dłonie w rękawiczkach lekko prowokująco stukały o wąską obudowę kierownicy. Wyrzuciłem przez okno niezapalonego papierosa, odwróciłem się nieco i wziąłem ją w ramiona.

Kiedy wypuściłem ją z objęć, odsunęła się ode mnie, na sam koniec siedzenia, i przytknęła do ust grzbiet rękawiczki. Siedziała nieruchomo.

Przez jakiś czas oboje milczeliśmy. Potem powiedziała wolno:

— Chciałam, żebyś to zrobił. Ale nie zawsze taka byłam. Dopiero od momentu, kiedy Stan Phillips zginął w samolocie. Gdyby nie to, byłabym teraz panią Phillips. To on dał mi te perły. Powiedział kiedyś, że kosztowały piętnaście tysięcy dolarów. Czterdzieści jeden białych pereł. Największe z nich mają prawie pół cala średnicy. Nie wiem, ile ważą. Nigdy nie pokazywałam ich żadnemu jubilerowi i nie prosiłam o ich wycenę, więc nie mam pojęcia, ile są warte. Ale lubię je ze względu na Stana. Kochałam go. Tak, jak kocha się tylko raz. Czy potrafisz to zrozumieć?

— Jak masz na imię? — spytałem.

— Lola.

— Mów dalej, Lola. — Wyjąłem z kieszeni jeszcze jednego zeschniętego papierosa i machinalnie obracałem go w palcach.

— Miały prostą, srebrną zapinkę w kształcie śmigła. W środku był osadzony mały brylant. Powiedziałam Frankowi, że to sztuczne perły, które kupiłam sama. Nie zorientował się, że są prawdziwe. Wydaje mi się, że trudno to rozpoznać. Widzisz... Frank jest trochę zazdrosny.

Przysunęła się do mnie w ciemności i oparła się o moje ramię. Ale tym razem nie poruszyłem się. Wiatr huczał nadal, potrząsając gałęziami drzew. Dalej obracałem papierosa w palcach.

— Chyba czytałeś to opowiadanie — powiedziała. — O kobiecie, która ma sznur prawdziwych pereł i wmawia mężowi, że są sztuczne.

— Czytałem — odparłem. — Somerset Maugham.

— Przyjęłam do pracy tego Josepha. Mój mąż był wtedy w Argentynie. Czułam się dość samotna.

— Mogę sobie wyobrazić.



— Często wyjeżdżaliśmy z Josephem. Czasem wy-pijaliśmy razem kieliszek czy dwa. Ale to wszystko. Nie mam zwyczaju...

— Powiedziałaś mu o tych perłach — przerwałem. — I kiedy twój mąż wrócił z Argentyny i wykopał go, Joseph ukradł perły, bo wiedział, że są prawdziwe. A potem zgodził się odsprzedać ci je za pięć kawałków.

— Tak — odparła. — Nie poszłabym przecież na policję, więc Joseph nie bał się podać mi swego adresu.

— Biedny Waldo — powiedziałem. — Jakoś trochę mi go żal. Miał pecha, żeby akurat w tym momencie spotkać starego kumpla, który żywił do niego urazę.

Potałem zapałkę o podeszwę buta i zapaliłem papierosa. Tytoń był tak wyschnięty od gorącego wiatru, że palił się jak siano. Siedziała spokojnie obok mnie, znów trzymając obie ręce na kierownicy.

— Ci lotnicy mają powodzenie u kobiet — zauważyłem. — I wciąż jeszcze go kochasz, a przynajmniej tak ci się wydaje. Gdzie trzymałaś te perły?

— W szkatułce na biżuterię z rosyjskiego malachitu, która stała na mojej toalecie. Razem z innymi świecidełkami. Musiałam je tam przechowywać, inaczej nie mogłabym ich nigdy nosić.

— A one były warte piętnaście kawałków. I przypuszczasz, że Joseph mógł je ukryć w swoim mieszkaniu. Czterdzieści jeden sztuk, co?

— Tak — powiedziała. — Wiem, że nie mam prawa tego od ciebie wymagać.

Otworzyłem drzwi i wysiadłem z samochodu.

— Zapłatę otrzymałem z góry — powiedziałem. — Pójdę i zobaczę. Drzwi mojego mieszkania dość łatwo jest otworzyć. Policjanci dowiedzą się adresu Waldo, kiedy opublikują jego fotografię, ale chyba jeszcze nie dziś.

— To strasznie miłe z twojej strony, Czy mam zaczekać tutaj?

Stałem z jedną nogą na progu, pochylony w kierunku wozu i przyglądałem się dziewczynie. Nie odpowiedziałem na jej pytanie. Po prostu patrzyłem na błyszczące w jej oczach światło. Potem zatrzasnąłem drzwi i ruszyłem w stronę ulicy Franklina.

Mimo szalejącego wiatru, ciągle czułem jeszcze aromat drzewa sandałowego, którym pachniały jej włosy. I smak jej warg.

Otworzyłem bramę, poszedłem przez milczący hall do windy i wjechałem na trzecie piętro. Potem bezgłośnie przemknąłem przez korytarz i zajrzałem pod drzwi mieszkania numer trzydzieści jeden. Nie paliło się w nim światło. Zapukałem — wybijając stary, wypróbowany werbel, jakim posługiwali się

handlarze alkoholem. Cisza. Wyjąłem z portfela twardą, celuloidową płytkę, za którą wetknięte było prawo jazdy, i wsunąłem ją pomiędzy zamek a framugę, z całej siły pchając równocześnie klamkę w kierunku zawiasów. Krawędź płytki oparła się o krzywiznę rygla, który odskoczył z kruchym trzaskiem, jaki wydaje pękający sopel lodu. Drzwi ustąpiły i wszedłem w ciemność. Światło sączące się z ulicy tworzyło tu i ówdzie jaśniejsze plamy.

Zamknąłem drzwi, zapaliłem światło i stałem bez ruchu. W powietrzu unosił się jakiś dziwny zapach. Po chwili zidentyfikowałem go: woń ciemnego tytoniu.

Podszedłem do stojącej przy oknie dużej popielniczki i ujrzałem cztery niedopałki meksykańskich albo południowoamerykańskich papierosów.

Nade mną, piętro wyżej, ktoś przeszedł po dywanie i otworzył drzwi do łazienki. Usłyszałem odgłos spuszczenia wody. Zajrzałem do łazienki Waldo. Panował tu lekki bałagan, ale poza tym była pusta, nie dało się w niej niczego ukryć. Kuchnia zajęła mi więcej czasu, ale i ją przejrzałem dość pobieżnie. Wiedziałem, że nie ma tu tych pereł. Byłem pewny, że Waldo zamierzał wyjechać i że spieszył się, kiedy dostał od starego przyjaciela dwie kule.

Wróciłem do pokoju i zacząłem odchylać składane w ścianie łóżko zaglądając równocześnie do garderoby obok, by sprawdzić, czy była ostatnio używana. Wysunąłem łóżko jeszcze kawałek — i nie szukałem już pereł. Miałem przed sobą jakiegoś mężczyznę.

Był to drobny człowieczek w średnim wieku o siwiejących skroniach i bardzo ciemnej skórze, w brązowym ubraniu i krawacie koloru czerwonego wina. Jego kształtne, małe ręce zwisały bezwładnie po bokach. Krótkie stopy w lśniących, spiczastych butach ułożone były niemal prostopadle do podłogi.

Zwisał z metalowej górnej krawędzi łóżka na pasku, zaciśniętym wokół szyi. Język wystawał mu z ust; nie miałem pojęcia, że język może być wysunięty aż tak daleko.

Huśtał się lekko i widok ten nie był zbyt przyjemny, złożyłem więc łóżko i zapadł się znowu pomiędzy dwie wypchane poduszki. Nie musiałem go dotykać, wiedziałem, że jest zimny jak bryła lodu.

Przeszedłem do garderoby i pootwierałem szuflady, dotykając uchwytów przez chusteczkę do nosa. Nie znalazłem w nich niczego oprócz niepotrzebnych rzeczy, jakie pozostawia samotnie mieszkająca mężczyzna.

Wróciwszy do pokoju zacząłem przeszukiwać zwłoki. Nie miał portfela. Waldo musiał zabrać go z sobą i gdzieś porzucić. Znalazłem natomiast płaskie, do połowy wypełnione pudełko papierosów ze złotym napisem: „Louis Tapia y Cia, Calle de Paysandu, 19 Montevideo”, paczkę zapalek z nadrukiem: „Spezzia

Club" i ukrytą pod marynarką pochwę z ciemnej skóry, mieszczącą Mausera kaliber 9 mm.

Obecność rewolweru dowodziła, że był zawodowcem, więc moje współczucie trochę się zmniejszyło. Nie mógł być jednak wybitnym specjalistą, skoro dał się wykończyć gołymi rękami, nie wyciągnąwszy nawet Mausera — broni, z której można przebić ścianę.

Coś niecoś z tego rozumiałem, ale niezbyt wiele. Wypalono cztery brązowe papierosy, musiał więc czekać albo rozmawiać przez jakiś czas. W którymś momencie Waldo złapał go za gardło i ścisnął fachowo, powodując utratę przytomności w ciągu kilku sekund. Mauser był mu równie mało przydatny, jak wykałaczka. Potem Waldo powiesił go na pasku; zapewne już martwego. Zrozumiałem, dlaczego Waldo tak pospiesznie opuścił mieszkanie i nerwowo poszukiwał dziewczyny. I dlaczego zostawił przed barem wóz z zapalonym silnikiem.

Oczywiście wszystko to było jasne pod warunkiem, że zabił go Waldo, że naprawdę było to jego mieszkanie — krótko mówiąc, że nie zostałem po prostu nabrany.

Przeszukałem dokładniej jego kieszenie. W lewej bocznej w spodniach znalazłem złoty scyzoryk i kilka monet. W lewej, tylnej — złożoną, naperfumowaną chustkę do nosa. W prawej — drugą; zmiętą, ale czystą. W prawej bocznej kieszeni — kilka chusteczek papierowych. Mały, schludny człowieczek. Nie lubił wycierać nosa w chustkę. W tej samej kieszeni był mały, nowy pokrowiec, mieszczący cztery kluczyki do samochodu. Wytłoczono na nim złotymi literami napis: „, R.K. Vogelsang, Inc. Salon Samochodowy Firmy Packard”.

Wetknąłem mu to wszystko na powrót do kieszeni, złożyłem łóżko, wytarłem klamki, wystające przedmioty i gładkie powierzchnie chustką do nosa i wyjrzałem na korytarz. Był pusty. Zszedłem na ulicę i skręciłem za rogiem w Kingsley Drive. Cadillac stał na miejscu.

Otwarłem drzwi samochodu i oparłem się o nie. Wydawało się, że Lola nie poruszyła się przez cały czas. Trudno było odczytać wyraz jej twarzy. Widziałem tylko oczy i podbródek i czułem zapach drzewa sandałowego.

— Zapach tych perfum doprowadziłby do szaleństwa nawet świętego — powiedziałem. — Pereł nie ma.

— No cóż, dziękuję, że chciałeś mi pomóc — przemówiła cichym, łagodnym głosem. — Jakoś się z tym pogodzę. Czy mam... Czy my... To znaczy...

— Jedź teraz do domu — przerwałem. — I cokolwiek nastąpi, nigdy w życiu mnie nie widziałaś. Cokolwiek się zdarzy. Zapewne nigdy mnie już zresztą nie zobaczysz.

— Chciałabym cię jeszcze spotkać.

— Wszystkiego najlepszego, Lola. —Zatrzasnąłem drzwi i odszedłem od samochodu.

Zapłonęły światła, zabrzmiał silnik. Walcząc z przeciwnym wiatrem wielka limuzyna skręciła powoli, z godnością i znikła za rogiem ulicy. Stałem przy krawężniku, w miejscu, które przed chwilą opuściła.

Było już całkiem ciemno. W oknach, z których dochodziły poprzednio dźwięki radia, zgasło światło. Spoglądałem na Packarda, który wydawał się zupełnie nowy. Widziałem go już poprzednio, zanim poszedłem na górę —; na tym samym miejscu, tuż przed Cadillacem Loli. Ciemny samochód z niebieską naklejką w prawym rogu lśniącej przedniej szyby.

W moich myślach odbijał się inny obraz: komplet nowych kluczyków w pokrowcu z napisem: „Salon Samochodowy Firmy Packard”. Widziałem go na górze, w kieszeni martwego mężczyzny.

Obszedłem kabriolet i oświetliłem latarką niebieską kartkę papieru. Ten sam agent samochodowy. Pod jego nazwiskiem i nazwą firmy napisał ktoś atramentem: Eugenia Kolchenko, 531 5 Arvieda Street, Zachodnie Los Angeles.

Wszystko to nie miało sensu. Wróciłem do mieszkania numer 31, raz jeszcze sforsowałem drzwi i odchyliwszy rozkładane łóżko, wyjąłem skórzany pokrowiec z kieszeni spokojnie wiszącego martwego mężczyzny. Po pięciu minutach byłem już z powrotem na ulicy. Kluczyki pasowały.

Niewielki dom stał za Sawtelle, niedaleko krawędzi kanionu, zasłonięty grupą powykręcanych drzew eukaliptusowych. Po drugiej stronie ulicy odbywało się właśnie jedno z owych przyjęć, których uczestnicy wychodzą przed dom i tłuką butelki na chodniku, wrzeszcząc przy tym tak, jakby drużyna piłkarska uniwersytetu Yale zdobyła właśnie punkt w meczu z Princeton.

Poszukiwany przeze mnie dom otoczony był drucianym ogrodzeniem. Za nim dostrzegłem kilka krzewów róż, zaniedbany chodnik i szeroko otwarty pusty

garaż. Przed domem również nie było samochodu. Zadzwoiłem. Czekałem dłuższą chwilę, potem drzwi otworzyły się dość gwałtownie.

Nie byłem tym, kogo spodziewała się ujrzeć. Poznałem to po błysku jej mocno pomalowanych oczu. Potem znikł z nich jakikolwiek wyraz. Stała nieruchomo przyglądając mi się uważnie; wysoka, szczupła, koścista brunetka o uróżowanych policzkach, gęstych, czarnych włosach przedzielonych na środku głowy i dużych ustach. Miała koralowo-złotą piżamę, sandały i polakierowane paznokcie u nóg. Dwa małe dzwoneczki zwisające z jej uszu brzęczały cicho poruszane powiewami wiatru. Wykonała powolny, pogardliwy gest papierosem, osadzonym w cygarniczce długiej jak kij od baseballu.

— O co chodzi, chłopcze? Czego pan chce? Nie może pan trafić z powrotem na to wspaniałe przyjęcie naprzeciwno?

— Ho, ho! — powiedziałem. — Niezły bankiet, co? Nie, po prostu odwiozłem wóz. Zgubiła go pani, prawda?

Po drugiej stronie ulicy ktoś przechodził właśnie atak delirium tremens i mieszany kwartet rozdierał na strzępy resztki ciszy nocnej, starając się śpiewać jak najbardziej fałszywie. Egzotyczna brunetka nie zareagowała na to nawet ruchem rzęs.

Nie była piękna, nie była nawet ładna, ale robiła wrażenie osoby pełnej temperamentu.

— Że co? — spytała wreszcie ochryplym głosem.

— Pani wóz. — Wskazałem palcem przez ramię, nie spuszczając z niej wzroku. Wyglądała na osobę gotową posłużyć się nożem.

Powoli opuściła rękę z cygarniczką; papieros spadł na ziemię. Zdeptałem go i w ten sposób znalazłem się w hallu. Cofnęła się, a ja zamknąłem drzwi.

Hall przypominał długą halę dworca kolejowego. Żelazne kinkiety jarzyły się różowym światłem. W głębi była zasłona z koralików i skóra tygrysia na podłodze. Wnętrze domu pasowało do jego właścicielki.

— Czy mam przyjemność rozmawiać z panną Kolchenko? — spytałem, widząc, że rozmowa nie posuwa się naprzód.

— Tak. To ja. O co panu, do cholery, chodzi?

Patrzyła na mnie teraz, jakbym był czyścicielem okien, który zjawił się w nieodpowiednim momencie.

Wyjąłem kartę wizytową i wyciągnąłem dłoń w kierunku dziewczyny. Przechyliła nieco głowę i odczytała treść karty, nie dotykając jej.

— Detektyw? — spytała, z trudem łapiąc oddech.

— Tak jest.

Mruknęła do siebie w dziwnie brzmiącym obcym języku. Potem przeszła na angielski.

— Wejdz pan. Od tego cholernego wiatru skóra wysycha jak bibuła.

— Jesteśmy już w domu — powiedziałem. — Właśnie zamknąłem drzwi. Niech pani przestanie się zgrywać. Kim jest ten mały człowieczek?

Za zasłoną z koralików rozległo się męskie kasznięcie. Dziewczyna drgnęła gwałtownie, jakby ukłuta czymś ostrym. Potem próbowała się uśmiechnąć, ale bez większego powodzenia.

— Nagroda? — spytała cicho. — Poczekaj pan tu chwilę. Dziesięć dolarów wystarczy, no nie?

— Nie — odparłem. Potem wolno wyciągnąłem w jej kierunku palec.

— On nie żyje — dodałem.

Podskoczyła chyba na metr w górę i krzyknęła przeraźliwie.

Zaskrzypiało głośno jakieś krzesło. Za kurtyną z koralików rozległy się energiczne kroki, duża dłoń rozsunęła ją i przyłączył się do nas potężnie zbudowany blondyn. W prawej ręce, wsuniętej do kieszeni czerwonego szlafroka, narzuconego na pizamę, trzymał jakiś przedmiot. Po wyjściu zza kotary zatrzymał się, rozstawił nieco stopy i wysunąwszy szczękę utkwił we mnie spojrzenie bezbarwnych oczu, przypominających dwie bryłki szarego lodu. Robił wrażenie człowieka, którego trudno byłoby minąć na boisku futbolowym.

— O co chodzi, kochanie? — Miał donośny, gardłowy głos i efektowny ton pasujący do faceta, który lubi kobiety lakierujące paznokcie u nóg.

— Przyszedłem w sprawie samochodu panny Kolchenko — powiedziałem.

— Więc na początek mógłby pan zdjąć kapelusz — stwierdził.

Odkryłem głowę, przepaszając.

— Okey — powiedział, nie wyjmując ręki tkwiącej głęboko w kieszeni szlafroka. — Przyszedł pan w sprawie wozu panny Kolchenko. I co dalej?

Przesunąłem się obok dziewczyny, żeby podejść do niego bliżej. Przywarła do ściany, dotykając jej rozpostartymi dłońmi. Dama kameliowa ze szkolnego przedstawienia. Długa cygarniczka leżała pustaki jej stóp.

Kiedy byłem od niego o jakieś dwa kroki, powiedział spokojnie:

— Usłyszę pana stamtąd. Nie radzę się zbliżać. Mam w kieszeni rewolwer i umiem się nim posługiwać. Co z tym samochodem?

— Ten, który go pożyczył, nie mógł odwieźć go osobiście — powiedziałem, podsuwając mu swą wizytówkę, którą ciągle trzymałem w ręku. Zerknął na nią, potem znowu na mnie.

— I co z tego?

— Czy zawsze jest pan taki twardy? — spytałem. — Czy tylko wtedy, kiedy ma pan na sobie piżamę?

— Dlaczego nie mógł go odwieźć osobiście? — odpowiedział pytaniem na pytanie. — A te dowcipy może pan sobie darować.

Stojąca obok mnie kobieta mruknęła coś niewyraźnie.

— Nie przejmuj się, kochanie — uspokoił ją mężczyzna. — Dam sobie radę. Słucham.

Prześliznęła się obok nas i zniknęła za kotarą z koralików. Odczekałem jeszcze chwilę. Stał całkiem bez ruchu. Wydawał się równie zdenerwowany, jak wygrzewająca się w słońcu ropucha.

— Nie mógł odwieźć go osobiście, bo ktoś go sprzątnął — powiedziałem. — Ciekawe, jak da pan sobie z tym radę.

— Tak? — spytał. — Czy przywiózł go pan może ze sobą, żeby mnie o tym przekonać?

— Nie — odparłem. — Ale jeżeli włoży pan coś na siebie mogę pana tam zawieźć, żeby pan go sobie obejrzał.

— Nie dosłyszałem, kim pan, do diabła, właściwie, jest — warknął.

— Nie mówiłem, kim jestem. Myślałem, że może umie pan czytać. — Raz jeszcze podsunąłem mu wizytówkę.

— Ach tak — powiedział. — Filip Marlowe, detektyw prywatny. No, no. Więc po co mam z panem jechać i komu się przyglądać?

— Może on ukradł ten samochód — powiedziałem.

Mężczyzna kiwnął głową.

— To jest myśl. Może go ukradł. Kto?

— Drobnny, ciemny facet, który miał w kieszeni klucze od tego wozu i zaparkował go w bocznej ulicy obok budynku Berglunda.

Zastanowił się przez chwilę, nie okazując większego przejęcia.

— Jest coś w tym, co pan mówi — przyznał. — Niewiele. Ale zawsze coś. Policjanci mają pewno dziś wieczorem swój doroczny koncert. Więc pan odwała za nich całą robotę.

— Jak to?

— Na karcie napisano wyraźnie: Detektyw prywatny — powiedział. — A może czekają na ulicy, zbyt nieśmiali, żeby wejść?

— Nie. Przyjechałem sam.

Wykrzywił twarz w uśmiechu. Na jego opalonej twarzy ukazały się białe zmarszczki.

— A więc odkrywszy zwłoki, wziął pan te klucze oraz samochód i przyjechał pan tu zupełnie sam. Bez policji. Zgadza się?

— Owszem.

— Wejdźmy do środka — powiedział z westchnieniem. Odsunął kotarę, robiąc mi przejście. — Być może ma pan jakąś koncepcję, której powinienem wysłuchać.

Przeszedłem obok niego, on zaś obrócił się w taki sposób, by jego obciążona kieszeń była zwrócona w moją stronę. Dopiero teraz, z bliska, dostrzegłem na jego twarzy kropelki potu. Mogły być skutkiem gorącego wiatru, ale uznałem to za mało prawdopodobne.

Usiedliśmy w dużym pokoju, przyglądając się sobie nawzajem. Ciemną podłogę zdobiły meksykańskie i tureckie dywany, główny element wyposażenia wnętrza obok dość zużytych, wyściełanych mebli. Było tam też pianino, kominek, chiński parawan, chińska lampa na postumencie z dębu indyjskiego oraz złote siatkowe firanki w oknach z małymi szybkami. Od strony południowej okna były otwarte. Szum drzewa owocowego o pobielanym pniu zlewał się z hałasem dochodzącym z drugiej strony ulicy.

Mężczyzna zasiadł wygodnie na brokatowym fotelu i oparł stopy w pantoflach na niskim podnóżku. Przez cały czas — od momentu, gdy ujrzałem go po raz pierwszy — trzymał prawą dłoń w kieszeni, w której był rewolwer.

Brunetka majaczyła niewyraźnie w nieoświetlonej części pokoju. Usłyszałem bulgot płynu nalewanego z butelki i brzęk dzwoneczków w jej uszach.

— Wszystko w porządku, kochanie — powiedział mężczyzna. — Nie ma powodów do niepokoju. Ktoś kogoś sprzątnął i ten facet myśli, że nas to zainteresuje. Usiądź i nie przejmuj się.

Dziewczyna przechyliła głowę i wlała sobie do gardła pół szklanki whisky. Wciągnąwszy powietrze, powiedziała spokojnie: — Do diabła — i położyła się na szerokim tapczanie, zajmując całą jego długość. Miała wspaniałe nogi. Jej lakierowane paznokcie połyskiwały z ciemnego kąta. Leżała odtąd spokojnie przez cały czas rozmowy.

Mężczyzna nie strzelił do mnie, gdy wyjmowałem z kieszeni papierosa, zapaliłem go więc i zrelacjonowałem całą historię. Nie była ona całkiem prawdziwa, ale w zasadzie odzwierciedlała faktyczny przebieg wydarzeń. Powiedziałem im, że mieszkam w domu Berglunda, a mieszkanie numer 31 o piętro niżej zajmował Waldo, którego obserwowałem na polecenie klienta.

— Jaki Waldo? — przerwał mi wysoki blondyn. — I co to za klient?

— Drogi panie — odezwałem się. — Pan też ma chyba jakieś sekrety.



Zaczerwienił się lekko.

Opowiedziałem im, co zaszło w barze położonym naprzeciw mojego domu. Nie mówiłem nic o wzorzystym bolerku ani o kobiecie, która je nosiła. W ogóle o niej nie wspomniałem.

— Uznałem, że w tej sprawie należy zachować dyskrecję — powiedziałem

— Orientuje się pan chyba, co mam na myśli. — Znów zaczerwienił się i zagryzł wargi. — Wróciłem z komendy policji, nie przyznawszy się nikomu, że znam tego Waldo. Po jakimś czasie, kiedy doszedłem do wniosku, że tego wieczora nie zdążą ustalić jego adresu, pozwoliłem sobie przeszukać to mieszkanie.

— Czego pan szukał? — spytał głucho mężczyzna.

— Kilku listów. Nawiasem mówiąc, nie znalazłem nic oprócz zwłok jakiegoś mężczyzny. Był uduszony, zwisał na pasku z górnej krawędzi rozkładanego łóżka tak, że nie było go widać. Niski mężczyzna, jakieś czterdzieści pięć lat, pochodzący z Meksyku albo z Ameryki Południowej, w eleganckim, brązowym ubraniu i...

— Wystarczy — powiedział mężczyzna. — Jedno pytanie, Marlowe, czy sprawa, którą się pan zajmował, dotyczyła szantażu?

— Owszem. Cały dowcip polega na tym, że ten mały miał pod pachą ogromny rewolwer.

— Nie miał przypadkiem w kieszeni pięciuset dolarów dwudziestkami, co? O ile zechce pan odpowiedzieć na to pytanie.

— Nie. Ale Waldo, kiedy zastrzelono go w tym barze, miał przy sobie ponad siedemset.

— Wygląda na to, że nie doceniłem tego Waldo — powiedział spokojnie mężczyzna. — Załatwił mojego człowieka i zabrał mu pieniądze przeznaczone na okup, choć tamten był uzbrojony. Czy miał broń?

— Nie przy sobie.

— Zrób nam drinka, kochanie — poprosił. — Tak, muszę przyznać, że ten Waldo okazał się znacznie groźniejszy, niż przypuszczałem.

Dziewczyna zdjęła nogi z tapczanu i nałała nam dwie porcje whisky z lodem i wodą sodową. Sama wypła spory łyk bez żadnych dodatków i ułożyła się na nowo. Wpatrywała się we mnie z uwagą dużymi, czarnymi, lśniącymi oczami.

— No, to pańskie zdrowie — mężczyzna podniósł swą szklankę. — Nie zamordowałem nikogo, ale wisi nade mną teraz sprawa rozwodowa. Z pańskiej relacji wynika, że pan też nikogo nie zabił, ale może pan odpowiadać za złożenie fałszywych zeznań. Do cholery. Jakkolwiek na to spojrzeć, życie jest

jednym pasmem kłopotów. Mam tę dziewczynę. To emigrantka z Rosji. Poznałem ją w Szanghaju. Jest zupełnie spokojna, ale wygląda na osobę gotową za pięć centów poderżnąć komuś gardło. To właśnie mi się w niej podoba. Wdzięk bez ryzyka.

— Mówisz bzdury — warknęła na niego dziewczyna.

— Wygląda pan na porządnego faceta — ciągnął mężczyzna, nie zwracając na nią uwagi. — W każdym razie jak na szpicla. Czy jest jakieś wyjście z tej sytuacji?

— Owszem. Ale musi to trochę kosztować.

— Spodziewałem się tego. Ile?

— Powiedzmy jeszcze pięćset.

— Do diabła, ten gorący wiatr wysusza człowieka na popiół — powiedziała ze złością dziewczyna.

— Mogę zapłacić pięćset — stwierdził mężczyzna. — Co za to będę miał?

— Postaram się zataić pański udział w całej sprawie. Jeśli mi się to nie uda, nie zapłaci pan ani grosza.

Zastanowił się. Na jego znużonej twarzy widać było teraz liczne zmarszczki. Wśród krótkich, jasnych włosów błyszcząły kropelki potu.

— To drugie morderstwo zmusi pana do opowiedzenia całej prawdy — powiedział niechętnie. — A wtedy nie uzyskam tego, za co gotów jestem zapłacić. Jeśli zaś chodzi o zatuszowanie sprawy, lepiej zrobiłbym pertraktując bezpośrednio z policją.

— Kto to był ten mały ciemny facet? — spytałem.

— Leon Valesanos, Urugwajczyk. Jego także przywiozłem do Stanów. Dużo podróżuję w interesach. Pracował w Spezzia Club, w Chiseltown, wie pan, na tym odcinku Sunset Boulevard, niedaleko Beverly Hills. Zdaje się, że był krupierem przy rulecie. Dałem mu pięćset dolarów, żeby pojechał do tego... tego Waldo i wykupił od niego kilka rachunków za rzeczy, które panna Kolchenko kazała dostarczyć tutaj, płacąc moimi czekami. Nie bardzo mądry pomysł, prawda? Nosilem je w teczce, a temu Waldo udało się je ukraść. Jak pan przypuszcza, co było dalej?

Sącząc whisky spojrzałem na niego spod oka.

— Zapewne pański urugwajski przyjaciel ostro przystąpił do rzeczy, a Waldo nie bardzo chciał słuchać. Wtedy pomyślał, że Mauser wzmacni jego siłę przekonywania, ale tamten okazał się szybszy. Nie sędzę, żeby zamordował go z rozmysłem. Szantażyści rzadko to robią. Może się zdenerwował, a może ścisnął go po prostu za szyję odrobinę zbyt długo. Potem musiał wiać. Ale był

umówiony jeszcze z kimś, od kogo miał otrzymać większą sumę pieniędzy. Krążył więc po ulicy szukając tej osoby. I przypadkiem natknął się na kumpla, który był na tyle wrogo usposobiony i na tyle pijany, że wpakował mu kule.

— Cholernie dużo w tej sprawie przypadków — powiedział mężczyzna.

— To ten gorący wiatr — uśmiechnąłem się. — Wszyscy mają dziś kręcka.

— A więc. nic pan nie gwarantuje za moją pięćsetkę? Jeśli zostanę w to wplątany, pan nie dostaje forsy, zgadza się?

— Tak — uśmiechnąłem się do niego.

— Rzeczywiście wszyscy mają kręcka — powiedział i opróżnił szklanekę. — Przyjmuję pańskie warunki.

— Są tylko dwa problemy — szepnąłem, pochylając się w jego stronę. — Waldo zostawił przed barem, w którym go zastrzelono, otwarty, przygotowany do ucieczki samochód, z zapalonym silnikiem. Zabrał go morderca. Istnieje szansa, że tą drogą mogą dotrzeć do pana. Rozumie pan, w tym samochodzie były wszystkie rzeczy tego Waldo.

— A wśród nich moje rachunki i pańskie listy.

— Właśnie. Ale policja zwykle zachowuje się w takim wypadku przyzwoicie, chyba że pańska osoba może narobić szumu w prasie. Jeśli tak nie jest, myślę, że uda mi się jakoś to załatwić. Ale jeśli pan jest kimś znanym, sprawa wygląda trudniej. Zapomniałem... Jak brzmi pańskie nazwisko?

Długo zwlekał z odpowiedzią. Kiedy wreszcie przemówił, jego słowa zaskoczyły mnie o wiele mniej, niż można by się spodziewać. Wszystko nagle ułożyło się w logiczną całość.

— Frank C. Barsaly — powiedział.

Po chwili dziewczyna wezwała mi taksówkę. Kiedy odjeżdżałem, przyjęcie naprzeciwno było w pełnym toku. Zauważyłem, że ściany domu jeszcze się trzymają. Trochę mnie to zmartwiło.

Kiedy otworzyłem oszkloną bramę mego domu, wyczułem obecność policjantów. Spojrzałem na zegarek. Dochodziła trzecia w nocy. W ciemnym kącie hallu drzemał wyciągnąwszy przed siebie długie nogi jakiś mężczyzna z twarzą przykrytą gazetą. Róg gazety uniósł się lekko i zaraz opadł. Potem facet znów zastygł w bezruchu.

Przeszedłem przez hall do windy i wjechałem na górę. Cicho przebywszy korytarz, otworzyłem zamek, pchnąłem mocno drzwi i sięgnąłem w stronę kontaktu.

Rozległ się trzask wyłącznika; ktoś zapalił lampę, stojącą na podłodze pomiędzy fotelem a stolikiem, na którym wciąż jeszcze leżały porozrzucone figury szachowe.

Na fotelu siedział Copper, Jego twarz wykrzywił nieprzyjemny grymas. Niski, ciemnawy Ybarra siedział po drugiej stronie i jak zwykle lekko się uśmiechał.

Copper pokazał resztę swych dużych, żółtych, końskich zębów.

— Cześć, przyjacielu — powiedział. — Dawnośmy się nie widzieli. Miałeś randkę?

Zamknąłem drzwi, zdjąłem kapelusz i przez dłuższą chwilę powoli wycierałem kark chustką. Copper nadal szczyrzył zęby. Ciemne, łagodne oczy Ybarry spoglądały w przestrzeń.

— Siadaj, kolego — wycedził Copper. — Czuj się jak u siebie w domu. Chcemy z tobą pogadać. Stary, jak ja nie lubię pracować po nocy. Czy wiesz, że kończy ci się już zapas whisky?

— Mogłem się tego domyślić — powiedziałem. Stałem, opierając się o ścianę.

— Zawsze nienawidziłem prywatnych detektywów — wyznał Copper nie zmieniając wyrazu twarzy. — Ale dopiero dziś mam okazję dać któremuś w kość.

Leniwym ruchem sięgnął za siebie, wyciągnął stamtąd wzorzyste bolerko i rzucił je na stół. Powtórzył swój ruch i umieścił obok niego kapelusz o szerokim rondzie.

— Mogę się założyć, że jest ci w tym cholernie do twarzy — powiedział.

Odwrociłem krzesło i siadłem na nim okrakiem, kładąc złożone ręce na oparciu i patrząc na Coppera.

Wolno, z namaszczeniem podniósł się z miejsca, przeszedł przez pokój i stanął naprzeciw mnie, wygładzając marynarkę. Potem uniósł otwartą prawą dłoń i mocno uderzył mnie w twarz. Poczułem ból, ale nie poruszyłem się.

Ybarra popatrzył na podłogę, potem na ścianę i znów utkwiał wzrok w przestrzeni.

— Wstydzilibyś się, kolego — powiedział leniwie Copper. — Kto widział tak się obchodzić z wytworną garderobą. Zwinąć ją i schować pod starymi koszulami? Rzygać mi się chce na widok takich gnojów jak ty!

Stał nade mną jeszcze przez chwilę. Siedziałem bez ruchu, milcząc. Wpatrywałem się w jego szkliste oczy pijaka. Złożył dłoń w pięść, potem wzruszył ramionami, odwrócił się i wrócił na fotel.

— Okey — powiedział. — Reszta może poczekać. Skąd masz te rzeczy?

— Należą do pewnej damy.

— Co ty powiesz? Należą do pewnej damy! Chyba żartujesz, draniu. Mogę ci powiedzieć, do której damy. Do tej, o którą pytał Waldo w barze naprzeciwko — mniej więcej na dwie minuty przed śmiercią. A może już o tym zapomniałeś?

Nie odezwałem się.

— Sam się zastanawiałeś, kim ona może być — ciągnął pogardliwie Copper. — Ale byłeś chytry, kolego. Wyprowadziłeś mnie w pole.

— To jeszcze nie dowodzi mojej chytrości — odparłem.

Gwałtownie wykrzywił twarz i zaczął wstawać z fotela. Ybarra zaśmiał się nagle cicho, niemal niedosłyszalnie. Copper szybko zwrócił oczy w jego stronę i przyglądał mu się przez chwilę. Potem znów utkwiał we mnie wzrok.

— Makaroniarz cię lubi — powiedział. — Myśli, że jesteś porządny facet.

Z twarzy Ybarry znikł uśmiech i nie mogłem nic z niej odczytać. Była całkowicie pozbawiona wyrazu.

— Od początku wiedziałeś, kim jest ta kobieta — mówił Copper. — Wiedziałeś, kim jest Waldo i gdzie mieszka. Tuż pod tobą, po drugiej stronie korytarza.

Wiedziałeś, że ten Waldo sprzątnął faceta i postanowił czmychnąć, ale miał jakiś interes do tej baby i chciał się z nią przed wyjazdem zobaczyć. Tylko że mu się to nie udało. Bandzior ze Wschodu nazwiskiem Al Tessilore zgarnął go przekreślając jego plany. Więc spotkałeś się z tą dziewczyną, ukryłeś jej łaszki i pozwoliłeś jej odejść, nie mówiąc nikomu ani słowa. W ten sposób zarabiają na życie tacy faceci jak ty. Zgadza się?

— Owszem — odparłem. — Tylko że dowiedziałem się o tym wszystkim dopiero niedawno. Kim był Waldo?

Copper wyszczerzył do mnie zęby. Na jego ziemistych policzkach dostrzegłem dwie czerwone plamy.

— Waldo Ratigen — powiedział cicho Ybarra, wpatrując się w podłogę. — Dostaliśmy z Waszyngtonu dalekopis z jego danymi. Drobnym włamywacz, kilka razy odsiadywał niewielkie wyroki. Brał udział w napadzie na bank w Detroit, jako szofer. Potem wsypał cały gang i umorzono przeciw niemu postępowanie. Jednym z członków bandy był ten Al Tessilore. Nic nie powiedział, ale wydaje nam się, że do ich spotkania w barze doszło zupełnie przypadkowo.

Ybarra mówił cichym, spokojnym, opanowanym głosem człowieka, który przykłada wagę do brzmienia słów.

— Dziękuję, Ybarra — powiedziałem. — Mogę zapalić, czy Copper wykopie mi papierosa z ust?

Ybarra zaśmiał się krótko.

— Oczywiście, możesz zapalić — odparł.

— Makaroniarz cię lubi — drwiąco zauważył Copper. — Nigdy nie wiadomo, kto spodoba się takiemu makaroniarzowi, no nie?

Zapaliłem papierosa. Ybarra przeciągle spojrział na Coppera.

— Trochę przesadzasz z tym słowem: makaroniarz — powiedział cicho. — Nie bardzo lubię, kiedy się mnie tak nazywa.

— Nie obchodzi mnie, co lubisz, makaroniarzu.

Ybarra znów się zaśmiał.

— Szkoda — powiedział. Potem wyjął z kieszeni składany pilnik i spuściwszy wzrok zaczął sobie czyścić paznokcie.

— Od początku wydałeś mi się podejrzany, Marlowe — podniósł głos Copper. — Kiedy więc podano nam personalia tych dwóch drabów, wpadliśmy obaj z Ybarrą na pomysł, żeby wstąpić tutaj i jeszcze trochę z tobą pogawędzić. Wziąłem ze sobą zdjęcie, jakie zrobiono temu Waldo w kostnicy — dobra robota: oczy oświetlone pod właściwym kątem, porządnie związany krawat, chusteczka pięknie wystająca z kieszeni. Wszystko, jak trzeba. No więc, w drodze na górę na wszelki wypadek wstąpiliśmy do administratora budynku i pokazaliśmy mu to zdjęcie. A on mówi, że zna tego faceta. To pan A.B. Hummel, mieszkanie trzydzieści jeden. Wchodzimy więc tam i znajdujemy trupa. Zaczynamy dochodzenie. Jeszcze nie wiemy, kto to jest, ale ma na szyi pod paskiem sine ślady, które podobno znakomicie pasują do palców Waldo.

— To już nieźle — wtrąciłem. — Myślałem, że to ja jestem jego zabójcą.

Copper przyglądał mi się przez dłuższą chwilę. Z jego twarzy znikł uśmiech — malowały się na niej teraz brutalność i bezwzględność.

— No tak — powiedział. Mamy też coś jeszcze. Znaleźliśmy samochód, którym chciał uciekać Waldo, a w nim wszystkie jego rzeczy.

Nerwowo wydmuchnąłem z ust kłęb dymu. Wiatr uderzał głośno w zamknięte okna. W pokoju panował zaduch.

— Jesteśmy bystrzy chłopcy — rzucił pogardliwie Copper. — Nie sądziliśmy, że możesz mieć tyle odwagi, żeby go zabić. Zobacz, co tu mamy.

Zanurzył kościstą dłoń w kieszeni, powoli wysunął ją spod stolika i rozpostarł na jego zielonym blacie jakiś lśniący przedmiot. Sznur białych pereł z zapinką w kształcie śmigła samolotu. Migotały łagodnie w gęstym od dymu powietrzu.

Perły Loli Barsaly. Prezent od lotnika, który zginął i którego nadal kochała.

Patrzyłem na nie, nie ruszając się z miejsca.

— Ładne, prawda? — powiedział po chwili Copper niemal poważnym tonem. — Czy będzie pan teraz skłonny opowiedzieć nam całą historię, panie Marlowe?

Wstałem, wysuwając spod siebie krzesło, wolno przeszedłem przez pokój i pochyliłem się nad perłami. Największe z nich miały chyba pół cala średnicy. Zupełnie białe, opalizując miękkim, łagodnym blaskiem. Powoli uniosłem je z blatu stolika, na którym leżały obok części garderoby. Były ciężkie, gładkie, piękne.

— Ładne — stwierdziłem. — Narobiły sporo zamieszania. Tak, teraz opowiem wszystko. Muszą być warte niezłą sumę.

Ybarra zaśmiał się łagodnie za moimi plecami. Miał bardzo subtelny śmiech.

— Jakies sto dolarów — powiedział. — Są dobrze wykonane, ale sztuczne.

Znów wziąłem je do ręki. Copper pożerał mnie swymi szklistymi oczami.

— Skąd wiesz? — spytałem.

— Znam się trochę na perłach — odparł Ybarra. — Te są bardzo ładne, kobiety często zamawiają sobie takie, żeby nie ryzykować straty prawdziwych. Ale są gładkie jak szkło. Prawdziwe perły zgrzytają między zębami. Spróbuj.

Wetknąłem w usta dwie czy trzy perły i poruszyłem zębami naprzód i w tył, a potem na boki, nie nagryzając ich mocno. Były twarde i gładkie.

— Tak. Dobra robota — powiedział Ybarra. — Niektóre są nawet trochę nierówne i spłaszczone, jak prawdziwe perły.

— Czy mogłyby kosztować piętnaście kawałków, gdyby były prawdziwe? — spytałem.

— Si. Zapewne. Trudno powiedzieć. Zależy to od wielu spraw.

— Ten Waldo nie był taki głupi — zauważyłem.

Copper podniósł się szybko z miejsca, ale nie dostrzegłem ruchu jego ręki. Patrzyłem na perły. Rąbnął mnie pięścią w policzek, na wysokości zębów trzonowych. Od razu poczułem w ustach krew. Zatoczyłem się w tył, przesadnie markując siłę jego ciosu.

— Usiądź i gadaj, draniu — niemal wyszeptał Copper.

Siadłem i przyłożyłem do policzka chustkę. Dotknąłem językiem rany w ustach. Potem wstałem, podniosłem papierosa, którego mi wytrącił, i zgasilem na popielniczce. Wróciłem na krzesło.

Ybarra, który nadal piłował paznokcie, przyjrzał się jednemu z nich pod światło. U nasady brwi Coppera dostrzegłem kropelki potu.

— Znaleźliście te perły w samochodzie — powiedziałem, zwracając się do Ybarry. — Czy były tam jakieś papiery?

Nie podnosząc wzroku przecząco potrząsnął głową.

— Wierzę ci — powiedziałem. — Oto, jak wygląda prawda. Tego Waldo zobaczyłem po raz pierwszy w życiu dziś wieczorem, kiedy wszedł do baru i spytał o dziewczynę. Niczego przed wami nie zataiłem. Kiedy wracałem do domu, zobaczyłem tę dziewczynę, we wzorzystym bolerku, szerokim kapeluszu i sukni z niebieskiej, jedwabnej żorżety. Dokładnie, jak ją opisałem. Czekwała na windę tutaj, na moim piętrze. Wyglądała na miłą dziewczynę.

Copper zaśmiał się drwiąco. Nie zrobiło to na mnie żadnego wrażenia. Miałem go w rękę, choć nie zdawał sobie jeszcze z tego sprawy. Ale miał się o tym przekonać, i to bardzo niedługo.

— Wiedziałem, co będzie musiała przejść podczas przesłuchania w komendzie — ciągnąłem. — Miałem też wrażenie, że w całej sprawie chodzi o coś więcej. Ale nie podejrzewałem ani przez chwilę, że mogła popełnić jakieś przestępstwo. Była po prostu miłą dziewczyną, która znalazła się w trudnej sytuacji i na-'' wet nie zdawała sobie z tego sprawy. Zaprowadziłem ją do siebie. Wyciągnęła rewolwer. Ale nie zamierzała strzelać.

Copper wyprostował się gwałtownie na fotelu i zaczął oblizywać wargi. Twarz miał zupełnie nieruchomą. Przypominała mokrą rzeźbę z szarego kamienia. Nie wydawał żadnego dźwięku.

— Waldo był jej szoferem — ciągnąłem. — Występował wtedy jako Joseph Coates. Ona nazywa się Lola Barsaly. Jej mąż jest inżynierem, wybitnym specjalistą od hydroelektrowni. Te perły dał jej kiedyś pewien facet, a ona powiedziała mężowi, że są sztuczne. Waldo dowiedział się jakoś o jej romansie z tym facetem, a kiedy mąż powróciwszy z Ameryki Południowej zwolnił go, bo wydawał mu się zbyt przystojny, gwizdnął jej te perły.

Ybarra podniósł nagle głowę; jego zęby zaśniły w uśmiechu.

— To znaczy nie wiedział, że są fałszywe?

— Podejrzewam, że ukradł autentyczne perły i kazał je skopiować.

— Możliwe — kiwnął głową Ybarra.



— Ukradł też coś jeszcze — ciągnąłem. — Zabrał z teczki pana Barsaly dokumenty, dowodzące, że utrzymuje on pewną kobietę w Brentwood, za miastem. Szantażował więc równocześnie męża i żonę — a żadne z nich nie wiedziało o drugim. Rozumiecie?

— Rozumiem — wycedził Copper przez zaciśnięte wargi. Jego twarz nadal przypominała mokrą rzeźbę z szarego kamienia. — Mów dalej, do diabła!

— Waldo nie bał się ich — mówiłem dalej. — Podał im swój adres, Było to bez sensu, ale zaryzykował, chcąc uniknąć dodatkowych komplikacji. Ona przyjechała dziś wieczorem pod ten dom z pięcioma tysiącami, za które miała odkupić swoje perły. Waldo nie zjawił się. Wjechała więc na górę, żeby go poszukać, i wychodząc weszła o jedno piętro wyżej. Tak wyobrażają sobie kobiety środki ostrożności. No i wtedy ją spotkałem. Przyprowadziłem ją tu. To ona była w garderobie, kiedy odwiedził mnie Al Tessilore, chcąc zlikwidować świadka. — Wskazałem palcem na drzwi. — Wyszła stamtąd ze swym małym rewolwerem i przyłożywszy mu lufę do pleców uratowała mi życie.

Copper siedział bez ruchu. W wyrazie jego twarzy było coś przerażającego. Ybarra schował pilnik do małego, skórzanego etui i powoli wsunął go do kieszeni.

— To wszystko? — spytał łagodnie.

Przytaknąłem ruchem głowy.

— Mogę jeszcze dodać, że dowiedziawszy się od niej, gdzie mieszka Waldo, poszedłem tam poszukać pereł. Znalazłem zwłoki mężczyzny. W jego kieszeni były nowe kluczyki w pokrowcu z reklamą agenta firmy Packard. Za rogiem znalazłem samochód i odwiozłem go właścicielce, przyjaciółce pana Barsaly. Ten Barsaly wysłał poprzednio do Walda znajomego pracownika Spezzia Club, by odkupił od niego te papiery. Facet próbował zaoszczędzić otrzymane od Barsaly'ego pieniądze i odebrać papiery z pomocą rewolweru. Ale Waldo okazał się szybszy od niego.

— To już wszystko? — rzucił cicho Ybarra.

— Tak, to wszystko — odparłem, dotykając językiem rany w ustach.

— Czego żadasz? — spytał powoli Ybarra.

Copper wykrzywił konwulsyjnie twarz i uderzył dłonią w masywne udo.

— Dobry jest ten facet — powiedział drwiąco. — Daje się omotać podejrzaną dziwce i łamie wszelkie przepisy, a ty jeszcze go pytasz, czego żąda? Dostanie to, na co zasłużył, makaroniarzu!

Ybarra wolno zwrócił ku niemu głowę.

— Nie sędzę. Myślę, że wycofasz wszystkie zarzuty i dasz mu to, czego zażąda. Pokazał ci właśnie, jak powinien pracować dobry policjant.

Copper przez dobrą minutę siedział bez ruchu, w kompletnym milczeniu. Nikt z nas nie drgnął. Potem Copper pochylił się naprzód, rozchylając przy tym poły swej marynarki. Z pochwy, którą miał pod pachą, wyjrzała kolba policyjnego rewolweru.

— Więc czego żadasz? — zwrócił się do mnie.

— Tego, co leży na stoliku. Kapelusza, bolerka i sznura fałszywych pereł. Chciałbym też, żebyście zataili przed dziennikarzami pewne nazwiska. Czy to zbyt wiele?

— Właśnie, to zbyt wiele — powiedział niemal łagodnie Copper. Przechylił się i nagle rewolwer znalazł się w jego dłoni. Oparł rękę na biodrze, kierując ku mnie wylot lufy.

— Wolę wsadzić ci kulę w brzuch i zeznać, że stawiałeś opór przy aresztowaniu. Odpowiada mi to bardziej, ponieważ z mojego raportu wynika, że to ja aresztowałem tego Ala Tessilore. Również ze względu na moje fotografie w porannych gazetach, które rozwożą właśnie do kiosków. Wolę, żebyś nie dożył momentu, w którym będziesz mógł się ze mnie śmiać, synku.

Nagle zaschło mi w ustach. Słyszałem dochodzący z daleka szum wiatru. Przypominał odgłos strzałów.

Ybarra zaszurał nogami.

— Ten facet rozwiązał za ciebie kilka zagadek — powiedział chłodno. — Żąda za to tylko, żebyś dał mu te rzeczy i zataił przed dziennikarzami kilka nazwisk. To znaczy przed prokuratorem okręgowym. A tobie i tak powinno zależeć, żeby się o nich nie dowiedział.

— Wolę załatwić to po swojemu — upierał się Copper. Niebieskawy rewolwer tkwił w jego dłoni nieruchomo, jak kawał skały. — I lepiej dla ciebie, żebyś potwierdził moje słowa.

— Jeżeli nazwisko tej kobiety zostanie ujawnione, wszyscy dowiedzą się, że złożyłeś fałszywy raport i próbowałeś oszukać kolegę — powiedział Ybarra. — Za tydzień nie będą nawet o tobie pamiętać w komendzie.

Szczęknał kurek rewolweru. Wpatrywałem się w duży palec Coppera, przesuwający się w kierunku spustu.

Ybarra wstał. Lufa gwałtownie zwróciła się w jego stronę.

— Zobaczymy, czy makaroniarz jest tchórzem. Sam Copper, schowaj ten rewolwer.

Ruszył z miejsca. Zrobił cztery spokojne kroki. Copper wstrzymał oddech i nie poruszał się, jak człowiek wykuty z kamienia.

Ybarra posunął się jeszcze o krok i nagle rewolwer Copperra zaczął drżeć.

— Odłóż to, Sam — powtórzył spokojnie Ybarra. Jeżeli zachowasz zimną krew, wszystko zostanie po staremu. Jeśli nie, będzie po tobie.

Zrobił jeszcze jeden krok. Copper szeroko otworzył usta, gwałtownie wciągnął powietrze i zapadł się w swym fotelu, jakby uderzony w głowę. Powieki opadły mu na oczy.

Ybarra wyszarpnął mu rewolwer ruchem tak szybkim, że w ogóle tego nie zauważyłem. Potem cofnął się, opuszczając rękę, w której trzymał broń.

— To ten gorący wiatr, Sam. Zapomnijmy o całej sprawie — powiedział wciąż tym samym, spokojnym, niemal delikatnym głosem.

Ramiona Copperra opadły jeszcze niżej. Schował twarz w dłoniach.

— Okey — wymamrotał niewyraźnie.

Ybarra cicho przeszedł przez pokój i otworzył drzwi. Posłał mi leniwe spojrzenie swych półprzymkniętych oczu.

— Zrobiłbym wiele dla kobiety, która ocaliła mi życie — powiedział. — Zgadzam się na twoje warunki, ale nie myśl, że jako policjant jestem tym wszystkim zachwycony.

— Ten facet wiszący za łóżkiem nazywa się Leon Valesanos — powiedziałem. — Był krupierem w Spezzia Club.

— Dziękuję — odparł Ybarra. — Chodźmy, Sam.

Copper ciężko podniósł się z fotela, podszedł do wyjścia i znikł mi z oczu. Ybarra przekroczył próg i zaczął zamykać za sobą drzwi.

— Jedną chwileczkę — zatrzymałem go.

Odwrócił wolno głowę, z lewą dłonią na klamce.

Prawa ręka zwisała luźno przy jego boku.

— Nie robię tego dla pieniędzy — powiedziałem. — Państwo Barsaly mieszkają na Fremont Place, numer dwieście dwanaście. Możesz sam doręczyć jej te perły. Barsaly obiecał mi pięćset dolarów, jeżeli gazety nie wymienią jego nazwiska. Przekażę je na fundusz pomocy dla wdów po policjantach. Nie jestem tak piekielnie sprytny, jak ci się wydaje. Po prostu tak się złożyło, a twój kolega okazał się draniem.

Ybarra spojrzał w kierunku pereł leżących na stoliku po drugiej stronie pokoju. Oczy mu załśniły.

— Sam je doręcz — powiedział. — Dziękuję za te pięć stów. Myślę, że Fundusz je dostanie.

Delikatnie zamknął za sobą drzwi. Po chwili usłyszałem szcęk zatrząskiwanej windy.

7

Otworzywszy okno, patrzyłem wychylony, jak samochód policyjny odjeżdża. Wiatr wdzierał się do pokoju, ale nie zrobiłem nic, żeby temu przeszkodzić. Jeden z obrazów zsunął się ze ściany; dwie figury szachowe potoczyły się po blacie stolika i spadły na podłogę. Bolerko Loli Barsaly drgało, wstrząsane podmuchami powietrza.

Wszedłem do kuchni, żeby napić się whisky, a potem wróciwszy do pokoju zatelefonowałem do niej, nie bacząc na spóźnioną porę.

Niemal natychmiast podniosła słuchawkę. Poznałem po jej głosie, że jeszcze nie spała.

— Mówi Marlowe. Czy możesz spokojnie rozmawiać?

— Tak... tak — odparła. — Jestem sama.

— Znalazłem pewną rzecz. A raczej znalazła ją policja. Ale twój ciemnoskóry przyjaciel oszukał cię. Mam sznur pereł. Sztucznych. Myślę, że sprzedał prawdziwe, kazał zrobić kopie i przyczepić do nich starą spinkę.

Milczała przez dłuższą chwilę. Potem spytała słabym głosem.

— Mówisz, że znalazła je policja?

— Tak, w samochodzie, który wynajął Waldo. Ale nic nie ujawnię. Dogadałem się z nimi. Zajrzyj rano do gazet, to sama zrozumiesz, dlaczego tak się stało.

— No cóż, to chyba wszystko. Chciałabym tylko odzyskać tę zapinkę.

— Oczywiście. Czy możesz spotkać się ze mną jutro o czwartej w barze Esquire?

— Naprawdę jesteś bardzo miły — powiedziała serdecznie. — Mogę. Frank ciągle jeszcze jest na swoim posiedzeniu.

— Te zebrania muszą być piekielnie męczące — odparłem. Potem pożegnaliśmy się.

Zadzwoiłem pod numer Rosjanki, która mieszkała w Zachodnim Los Angeles. Barsaly jeszcze tam był.

— Niech mi pan wyśle rano czek na te pięćset dolarów — powiedziałem mu. — Może go pan od razu wystawić na policyjny Fundusz Pomocy. Tak czy owak pieniądze przeznaczone są dla nich.

Poranne gazety wydrukowały na trzeciej stronie dwa zdjęcia Coppera i pochlebnią dla niego relację na pół kolumny. Nie było ani słowa o małym, ciemnym człowieczku znalezionym w mieszkaniu 31. Zrzeszenie Właścicieli Domów też miało swoich ludzi na odpowiednich stanowiskach.

Po śniadaniu wyszedłem na miasto i stwierdziłem, że wiatr całkowicie ustał. Powietrze było świeże, łagodne, nieco zamglone. Spokojne, szare niebo wisiało nisko nad ziemią. Pojechałem na bulwar, wybrałem najlepszy sklep jubilerski i położyłem mój sznur pereł na kawałku czarnego aksamitu pod niebieskawą lampą. Facet w wysokim kołnierzu i sztuczkowych spodniach spojrzał na nie bez większego zainteresowania.

— Ile są warte? — spytałem.

— Przykro mi, proszę pana, ale nie zajmujemy się wyceną. Mogę podać panu nazwisko eksperta.

— Nie zwracaj pan głowy. To sztuczne perły, wykonane w Holandii.

Skierował światło lampy na naszyjnik, pochylił się lekko i dotknął palcami kilku pereł.

— Czy moglibyście zrobić taki sam naszyjnik i dopasować do niego tę zapinkę? Jak najprędzej — dodałem.

— Jak to: taki sam? — spytał nie podnosząc głowy. — To nie są holenderskie perły. Zrobiono je w Czechach.

— Okey. Czy możecie je skopiować?

Potrząsnął głową, odsuwając aksamitną podkładkę, jakby obawiał się, że poplami mu palce.

— Musiałoby to potrwać trzy miesiące. W Stanach nikt tego nie robi. Jeśli chce pan mieć dokładne kopie — co najmniej trzy miesiące. Zresztą nasza firma nie podejmuje się takich robót.

— To wspaniale, że tak dbacie o reputację — powiedziałem, wsuwając swą kartę wizytową pod jego czarny rękaw. — Niech mi pan poda nazwisko kogoś, kto je skopiuje nie za trzy miesiące i niekoniecznie bardzo dokładnie.

Wzruszył ramionami i odszedł. Zjawił się po pięciu minutach i oddał mi kartę. Na odwrocie napisany był jakiś adres.

Sklep starego Lewantyńczyka na Melrose Avenue był w gruncie rzeczy rupieciarnią. Na wystawie leżały najróżniejsze przedmioty: składany wózek dziecięcy, waltornia, lornetka z masy perłowej w pluszowym etui, a nawet jeden z tych „Specjalnych Sześciostrzałowych Rewolwerów” z kurkiem, jakie wyrabia się jeszcze dla szeryfów Zachodu, których dziadkowie byli pionierami.

Stary Lewantyńczyk miał jarmułkę, dwie pary okularów i gęstą brodę. Obejrzał moje perły i ze smutkiem potrząsnął głową.

— Za dwadzieścia dolarów mogę zrobić podobny naszyjnik. Nie będzie identyczny, rozumie pan. Nie mam tak dobrego szkła.

— Czy perły będą się bardzo różnić od tych?

Rozłożył swe silne, muskularne dłonie.

— Powiem panu prawdę. Nawet dziecko je rozpozna.

— Niech pan go zrobi — powiedziałem. — Z tą zapinką. I oczywiście chcę odebrać moje perły.

— Jasne, O drugiej.

Popołudniowe dzienniki zamieściły wzmiankę o drobnym, ciemnoskórym Urugwajczyku nazwiskiem Leon Valesanos. Doniosły, że znaleziono go powieszonoego w pewnym mieszkaniu. Policja prowadzi śledztwo.

O czwartej wkroczyłem do długiego, chłodnego baru Esquire. Szedłem wzdłuż szeregu łóż, aż dostrzegłem w jednej z nich samotną kobietę. Miała płaski kapelusz z szerokim rondem, wytworną brązową spódnicę, koszulową elegancką bluzkę i krawat.

Usiadłem obok niej i położyłem przyniesioną ze sobą paczkę.

— Nie otwieraj jej — powiedziałem. — W gruncie rzeczy lepiej ją w całości wrzucić do pieca.

Spojrzała na mnie ciemnymi, znużonymi oczami. Obracała w palcach wąską szklanekę, z której unosił się zapach likieru miętowego. Była bardzo blada.

— Dziękuję.

Zamówiłem whisky z wodą sodową i kelner oddalił się.

— Czytałaś gazety?

— Tak.

— Rozumiesz teraz, że ten facet, Copper, wziął na siebie twoje zasługi? Dlatego właśnie nie mogą teraz zmienić całej historii ani cię w nią wciągnąć.

— To już nie ma znaczenia — powiedziała. — Ale i tak jestem ci wdzięczna. Bardzo cię proszę, pokaż mi te perły.

Wyciągnąłem naszyjnik, który owinięty bibułką spoczywał w kieszeni mojej marynarki, i przesunąłem go po stole w jej kierunku. Srebrna zapinka w kształcie śmigła zaśniła w świetle ściennego kinkietu. Błysnął drobny brylant. Perły były matowe jak kulki z białego mydła. Nie pasowały nawet do siebie rozmiarami.

— Miałaś rację — powiedziała bezbarwnym głosem. — To nie są moje perły.

Nadszedł kelner z moim cocktailem, więc zręcznym ruchem położyła na nich torebkę. Gdy się oddalił, raz jeszcze wzięła je w palce, wrzuciła do torebki i posłała mi blady, smutny uśmiech.

— Zatrzymam zapinkę, tak jak mi radziłeś.

— Nic o mnie nie wiesz — powiedziałem powoli Wczoraj wieczorem uratowałaś mi życie i przez moment byliśmy sobie bliscy, ale ten moment już minął. Dalej nic o mnie nie wiesz. W komendzie pracuje detektyw nazwiskiem Ybarra, który był obecny kiedy znaleziono perły w walizce Waldo. Gdybyś się chciała upewnić...

— Nie bądź głupi — przerwała mi — Już po wszystkim. Było to wspomnienie. Jestem zbyt młoda, żeby żyć wspomnieniami. Kochałam Stana Phillipsa, ale on odszedł, już dawno temu.

Przyglądałem się jej bez słowa.

— Dziś rano mój mąż poinformował mnie o czymś, czego dotąd nie wiedziałam — dodała spokojnie. — Rozchodzimy się. Mam więc dziś niewiele powodów do wesołości.

— Przykro mi — powiedziałem niezręcznie. — To chyba wszystko, co chciałem ci powiedzieć. Może się kiedyś spotkamy. Może nie. Nie mam wielu znajomych w twoim środowisku. Wszystkiego dobrego.

Wstałem. Przez chwilę patrzyliśmy na siebie w milczeniu.

— Nie tknąłeś swojej whisky — zauważyła.

— Wypij ją. Od tego peppermintu robi się człowiekowi niedobrze.

Stałem przez chwilę, oparty o stół.

— Daj mi znać, gdyby kiedykolwiek ktoś ci dokuczał — powiedziałem.

Nie oglądając się wyszedłem z baru, wsiadłem do auta i jadąc na zachód w kierunku Sunset Boulevard dotarłem do nadbrzeżnej autostrady. Wszystkie ogrody, jakie mijalem po drodze, pełne były poskręcanych, poczerniałych liści i kwiatów spalonych przez gorący wiatr.

Ocean jednak wydawał się chłodny i ospały jak zwykle. Dojechałem niemal do Malibu, zaparkowałem wóz i usiadłem na wielkim głazie, leżącym na czyjejś parceli. Zaczął się już przypływ. W powietrzu unosił się zapach wodorostów. Przez chwilę spoglądałem na powierzchnię wody, potem wyciągnąłem z kieszeni perły z czeskiego szkła i kolejno zsuwałem je ze sznurka.

Rozsypany je na lewej dłoni, siedziałem jeszcze przez chwilę nieruchomo, pogrążony w myślach. W gruncie rzeczy nie było się nad czym zastanawiać. Znałem całą prawdę.

— Ku pamięci pana Stana Phillipsa, który był po prostu hochsztaplerem — powiedziałem głośno.

Kolejno rzucałem perły w wodę, między pływające po jej powierzchni mewy.

Każda z nich wzbijała małą fontannę kropel. Mewy poderwały się i krążyły nad powierzchnią wody, próbując chwycić wpadające do morza perły.

KONIEC